

KORNEL MAKUSZYŃSKI

LIST Z TAMTEGO ŚWIATA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

w którym pradziadek zleciał ze ściany, co dwóch młodzieńców wprowadziło w zdumienie

Pani Marta Cegłowska, z domu Mościrzecka, była od niewielu lat wdową. Nieboszczyk mąż, pragnąc jej jako tako osłodzić gorycz samotności, pozostawił jej na otarcie łez maluteńki mająteczek, w którym tęsknie ryczały liczne krowy i rzewnie beczały cielęta. Wszystko kwitło tam na wiosnę i dojrzewało w lecie. Pani Marta dawno już przekwitła i dojrzewała coraz to piękniej. Była to osoba pulchna i łagodnego usposobienia, zawsze wesoła i uśmiechnięta jak pogodna niedziela. Wielcy myśliciele, a sam szekspir pośród nich, stwierdzili niejednokrotnie, że złe namiętności, skryte gniewy i podstępne żądze obierają sobie siedlisko w ludziach chudych. Nie dzieje się tak zawsze, lecz dzieje się dość często. Pulchna jak pączek pani Marta nie wiedziała nic o złośliwościach żywota i o zdradach, czyhających na każdym zakręcie dnia. Wierzyła wszystkiemu i wszystkim, kochała Boga, ludzi, las, zwierzęta i kamienie, zawsze była gotowa do usług i biegła szybko z pomocą, ledwie posłyszawszy cichy jęk lub wezwana spojrzeniem milczącym, lecz boleśnie wymownym. Odmieniając roztropnie pokorne słowa Hioba, mówiła sobie często, patrząc na swój dobytek: “Bóg dał, niech wezmą biedni i głodni ludzie!”

Jeżeli jednak grzechem jest nadmierna ciekawość, przyznać należy z odrobiną smutku, że zacna, przedobra, rumiana, pulchna, wesoła i serdeczną radością nadziana pani Marta wielką była grzesznicą. Działo się to bez wątpienia z niezmiernej życzliwości dla świata i ludzi, że miła ta niewiasta usiłowała przy każdej sposobności “sięgać tam, gdzie wzrok nie sięga”, i dowiedzieć się o wszystkim, co się odbywa na niebie, na ziemi i pod ziemią. Nie stała się przez to filozofem, musiałaby bowiem schudnąć od wielkiego wysiłku myśli, a tego nikt z jej otoczenia nie zauważył. Ciekawość jej była szczególnego rodzaju: zawsze zadawała pytania, wcale nie oczekując odpowiedzi. Gdyby nie była taka pulchna i okrągła, powinna była przybrać kształt znaku zapytania - ? -. Gdyby na wszystkie jej pytania odpowiadano dokładnie i wyczerpująco, nie starczyłoby jej pogodnego żywota na wysłuchanie miliarda trzystu siedemdziesięciu trzech milionów słów. Przy tym pytania przez nią zadawane nie różniły się zbyt od pytań zachłannie ciekawych dzieci, chcących na ten przykład dowiedzieć się koniecznie: “z czego się robi słońce?” Pani Marta miewała podobne zmartwienia. Gdy ktoś stwierdził w jej obecności z niezachwianym spokojem i z należytą wiarą w swoje słowa, że

dzisiaj jest sobota, zapytywała ciekawie: “Dlaczego dzisiaj jest sobota?” Człowiek anielsko cierpliwy byłby jej odrzekł snadnie, że dzisiaj dlatego jest sobota, gdyż wczoraj był piątek, mógłby się jednakże nadziać na pytanie: “A dlaczego wczoraj był piątek?” Ci przeto, którzy mieli niewątpliwy zaszczyt i szczęście przebywania w jej pobliżu, nie odpowiadali nigdy, i to nie tylko na pytania bez sensu, ale i na pytania z jakim takim sensem, co się wreszcie stało źródłem utrapień dla tej ciekawej osoby. Otaczało ją jednak zawsze wiele miłości, chociaż i na ten temat zapytywała w braku kogo innego - własnego serca:

- Dlaczego mnie ludzie tak kochają?

Pulchne serce też jej nie odpowiedziało.

Pani Marta czytała właśnie ulubioną książkę pt. Sto tysięcy - dlaczego? - kiedy do pokoju weszła miła Kasia, dziewczoja takiej postury, że gdyby w kącie nie było pieca, można by mniemać, że piec był wyszedł na chwilę i teraz właśnie powraca.

- Proszę pani! - oznajmiła głosem czarnym i wróżącym nieszczęście. - Listonosz przyszedł.

- O! - zdumiała się pani Marta.

A dlaczego przyszedł?

Żywy piec wzruszył ramionami, albowiem od czasów wprowadzenia poczty wiadomym się stało dość okazałej liczbie ludzi, dlaczego przychodzi listonosz.

Pani Marta rzadko otrzymywała listy, nie mając wielu osób bliskich, z najbliższą zaś, a w tej chwili przebywającą w zaświatach: z nieboszczykiem mężem, porozumiewała się w sposób rzewny i jej tylko wiadomy. Nie należy się przeto, w drodze wyjątku, dziwić zbytnio jej ciekawości. Listonosz, posłaniec bogów, tym tylko różnił się od Merkurego, że miał ogromne wąsy i palił fajkę. Wydobył z torby podłużne zawiniątko, opatrzone pięcioma ogromnymi pieczęciami, czerwonymi znakami czarnej tajemnicy.

- O Boże! Co to jest? - zdumiała się pani Marta.

Ponieważ żywi i umarli mogli poświadczyć z ręką na sercu, że jest to paczka, wysłana przez pocztę, listonosz nie kwapił się z odpowiedzią, tej zbędnej operacji wyjąć fajkę z ust. Z wielką, lecz milczącą powagą wskazał pani Marcie palce miejsce, w którym powinna położyć swój podpis, za czym wręczył jej zawiniątko.

- Czy pan by się czego nie napił? - zapytała ona ciekawie. u nóg, drgnął, wyjął z gęby i odrzekł z tłumionym wzruszeniem.

- O, i jak jeszcze!

Jest rzeczą godną podziwu, że pani Marta zadawała czasem i takie pytania, na które otrzymywała odpowiedź szybką, pewną i pełną zapału. Nie mogła jednak znaleźć dość prędkiej odpowiedzi na własne, gorączkowe pytania:

- Co to być może? Co to być może?

Zdrowy rozum podszeptął jej roztropną radę, żeby pokruszywszy krwawe pieczęcie i potargawszy pogmatwane sznurki, zajrzeć do wnętrza tajemnicy.

Zdumionym jej oczom ukazała się butelka, a sądząc z treściwych na niej napisów, wdowa po wódce, zwanej "wyborową". Nie było w niej bowiem wódki. W butelce, starannie zakorkowanej i zalakowanej, tkwił papier, zapewne list.

- Ale dlaczego w butelce? - szeptała zdumiona pani Marta.

Spojrzała dookoła, jak gdyby szukając tego, co jej miał na to odpowiedzieć. "Cicho wszędzie, głucho wszędzie..."

- Czy ja mam to otworzyć? - zapytała pani Marta panią Martę.

Pani Marta odpowiedziała rozsądnie pani Marcie, że jeśli tego nie uczyni, nie dowie się nigdy o dręczącej tajemnicy butelki.

Stało się!

Z trudem, drżącymi rękami, wydobyla papier, wygładziła go i zaczęła czytać. Blask słońca wpadł przez otwarte okno i pelzał po liście, jak gdyby chciał go odczytać również.

List brzmiał:

"Najdroższa, uwielbiana, wzniosła, jedyna, promienista ciociu!..."

- Dlaczego "promienista"? - szepnęła ciocia.

"Niech Cię nie zdziwi nasza niezmierna przezorność, która nam kazała ważny ten list zamknąć we flasce. Jak o tym wszyscy wiemy, w tych okolicach, w których leżą Twoje włości, zdarzają się dwa razy do roku ogromne powodzie. Gdyby się to właśnie teraz stało, list nasz byłby narażony na wielkie niebezpieczeństwa, przeto zwyczajem rozbitków, powierzających ważne pisma burzliwemu morzu, staramy się list nasz zabezpieczyć na wszelkie sposoby. Stąd ta flaszka po wódce. Nie my jednak wypiliśmy jej zawartość. My pijamy jedynie wodę źródlaną, sok z marchwi, a w dniach obfitych kwaśne mleko. Pustą butelkę otrzymaliśmy w podarunku od pewnego znakomitego pisarza, który w ten sposób chciał wesprzeć naszą młodość. Teraz Ty butelkę tę racz przyjąć, o promienista ciociu!

- Ale dlaczego "promienista"? - zdumiała się ciocia po raz drugi.

"...Wysyłają w takim zamknięciu to pismo, też w sposób jak najpewniejszy jego głęboką tajemnicę. o trzykroć wspaniała ciociu! Błagamy Cię, abyś w tej jeżeli bowiem będziesz czytać może się zdarzyć, że upadniesz ze zdumienia. Zdarzyło się bowiem coś, czego

rozum ludzki wyjaśnić nie zdoła. Z trwogą powierzamy to papierowi, który się może dostać w niepowołane ręce. Spal przeto to pismo natychmiast po przeczytaniu, a popioły porozrzucaj we cztery strony świata! A zanim papier spalisz, zajrzyj wpierw do pieca...”

- Dlaczego ja mam zaglądać do pieca? zakrzyknęła zdumiona pani Marta.

A list odrzekł:

“...bo może i tam siedzi kto ukryty, ktoś, co czyha na tajemnicę! Czuj duch! Miej sto par oczów i jeszcze więcej uszów! Stań się lisem i węzem! Pamiętaj, wspaniała ciociu, że pochodzisz z rodu Mościrzeckich! A dlaczego?”

A dlaczego? - powtórzyła ciocia jak echo.

“Dlatego, że w ubiegły piątek, w dniu szóstym sierpnia o godzinie jedenastej minut 59, a więc na minutę przed północą, jeden z Mościrzeckich, rejent Apolinary Mościrzecki, dał znak spoza grobu. Jak o tym wiesz, jest to nasz przodek. Był łysy i miał wielką brodawkę po lewej stronie nosa. otóż, kiedyśmy właśnie klęczeli przy wieczornej modlitwie, stało się coś, co nas przejęło grozą i największym zdumieniem: nasz prapradziadek bez żadnego powodu zleciał z wielkim trzaskiem ze ściany. Ani nie było trzęsienia ziemi, ani żaden tramwaj nie przejeżdżał w pobliżu, a jednak praszczur spadł i legł na podłodze...”

- Ale dlaczego spadł? - zapytała z trwogą pani Marta.

“...Nie wiemy, dlaczego! Obraz wisiał na mocnym gwoździu, a ściana nie pękła. Pękły natomiast stare, złocone ramy, spoza których wypadło zapieczętowane pismo. Nie otwarliśmy go dotąd, albowiem nie posiadamy do tego prawa. Pismo to jednak wygląda na testament, który przez wiele lat przeleżał w ukryciu za ramą.

Czy zdajesz sobie sprawę, wniosła ciociu, jakie mogą być następstwa tego przedziwnego zdarzenia? My jesteśmy oszołomieni i pełni przeczuc. Nie co dzień się zdarza, aby czcigodny praszczur bez żadnego powodu spadał ze ściany. Coś w tym być musi! Ale co? Nie wiemy. Nie możemy Ci w tym krótkim liście pisać wszystkiego i dlatego błagamy Cię na czterech kolanach, abys przyjechała natychmiast. Wiemy o tym doskonale, że wcale nie jesteś ciekawa...”

Ciocia Marta wzruszyła ramionami.

“...lecz obecność Twoja, ciociu z rodu Mościrzeckich, jest nieodzowna. Opasz więc swoje biodra, wdziej sandały, weźmij kij pielgrzymi i przybywaj niezwłocznie! Skoro przybędziesz do Warszawy, udaj się na ulicę Zawilą nr 16. Dom, w którym mieszkamy, znajduje się po prawej stronie ulicy - jeżeli wkroczysz w nią od strony zachodniej, po lewej natomiast - jeśli zdążać będziesz od wschodu. Rozpoznasz go zresztą dość łatwo, ulica bowiem jest nie zabudowana i dom ten jest jedynym przy niej budynkiem. Oznaczony jest wprawdzie

numerem 16, lecz inne jeszcze nie istnieją. Gdybyś mimo tego nie mogła go odnaleźć, zapytaj jakiegoś przyzwoicie wyglądającego przechodnia. Czasem się taki przypadkiem zabłąka do naszej dzielnicy. Znają nas tu zresztą dość dobrze, bo mamy długi w sześciu sklepikach, w jednej pralni i u jednego szewca. Tak się nam jakoś zdaje, że czcigodny przodek zleciał ze ściany w samą porę. Postawiliśmy go pod ścianą, skoro wisieć na niej nie chce, i przystroiliśmy obraz kwiatami z naszych pól i łąk. Jeśli jest tak, jak myślimy, zdobędziemy się na ogromny wydatek i okadzać go będziemy wschodnimi wonnościami.

Nie możemy pisać dalej, bo pradziadek wodzi za nami spojrzeniem. Zdaje się, że jest zadowolony, widząc, że piszemy do jednej z Mościrzeckich, szanownej, czcigodnej, wspaniałej, dobrej i kochanej. Stanie się coś wielkiego! przybywaj przeto na rodzinną naradę, pożyczwszy skrzydeł od orła lub sokoła, bo o łabędzie u nas trudniej. A gdybyś mogła przywieźć z sobą nieco spyży: kasz, mąki, masła, sera, jajek, kawy, herbaty, słoniny, salcesonu i kiełbasy, słowem wszystkiego, w co obfituje bujna Twoja ziemica, będzie to rzeczą roztropną, albowiem my J oddani ćwiczeniom duchowym, nie myślimy zbytnio o sprawach ziemskich.

Całym sercem Twój Jan i Józef Mościrzeccy.

Pradziadek łączy pozdrowienia”.

Ciocia Marta dawno już była rozrzewniona, w tej zaś chwili czuła, że dwie kryształowe łyżki usiłują gwałtem wydobyć się na świat. Ciocia Marta była bowiem kobietą czułego serca. Płakała często, nigdy jednak ze zmartwienia, lecz zawsze z rozczulenia. Płakała na chrzcinach, weselach, pogrzebach, jubileuszach, przy czytaniu wzruszających ksiązek i serdecznych listów. Listy wzruszały ją dlatego, że otrzymywała je nieczęsto, a nigdy w butelce po wódce. Dzisiaj taki wypadek zdarzył się po raz pierwszy. Rozczuliły ją słowa dwóch bratanków, skierowane wprost do niej.

Miała słabość do tych dwóch dorodnych młodzieńców, którzy od wielu lat przyjeżdżali do niej na czas wakacji. Wprawdzie kilkotygodniowe te wizyty przypominały nalot szarańczy, tym się jednak nie przejmowała zbytnio dobra i gościnna ciotka. Pułk wygłodniałego wojska nie mógłby zjeść więcej niż panowie Jan i Józef Mościrzeccy. Było w nich coś z niedźwiedzi, tuczających się przezornie i zdobywających sadło na zimowe głody. ojca już nie mieli, matka zaś wyszła za mąż po raz drugi i mieszkała za granicą, oni zaś z dobrotliwą pomocą Pana Boga, który mianował Swoim ambasadorem panią Martę, wiedli żywot pogodny, chociaż chudy, wesoły, chociaż często głodny. Obaj mieli głowy otwarte, dlatego widać było wyraźnie, że są nadziane dynamitem. Nikt nigdy nie mógł przewidzieć, co się w tych pomyślonych łbach wylęgnie i jakie się w nich zrodzą pomysły.

Zdolne były szelmy, niepospolicie inteligentne i nadzwyczaj obrotne. Jan Mościrzecki postanowił być muzykiem, Józef zaś malarzem. obaj uczyli się pilnie i namiętnie, przeto wielkie żywiono nadzieje, że Mościrzeccy staną się kiedyś ozdobą rodzimej sztuki. Przyszłość była nieznana, teraźniejszość natomiast pełna była burzliwych niepokojów, awantur, hałaśliwej radości, wspaniałych okrzyków, śpiewów i płasów, stawania na dwóch głowach, zjadania tego, czego by się nie odważył połknąć uczciwy struś, i wiecznych przeprowadzek. Szanujący się, choć ciemny, ponury i wilgotny dom nie mógł na dłużej niż na dwa-trzy miesiące ofiarować gościny tym dwóm szaleńcom. Albowiem, choć ich było tylko dwóch, nigdy nie było ich dwóch, lecz zawsze najmniej czterech lub sześciu. Nocowało u nich zawsze ze trzech młodych poetów, malarzów lub muzykusów, tałatajstwo spod ciemnej gwiazdy i umarłego księżyca. Zjawiają się niespodzianie, potem “jedzą, piją, lulki palą”, grają, śpiewają i krzykiem urągają poważnej nocy. Panowie Mościrzeccy nie dziwili się bynajmniej, kiedy dom oświadczał im, aby też i innej dzielnicy i innemu domowi umilili życie. Z uśmiechem, bez żalu, z pogodnym zrozumieniem ponurej ludzkiej natury, nie znoszącej śpiewu, muzyki, kolorów i radości, zwoływali gromkim głosem kilku zaprzysięgłych przyjaciół. Przyjaciele, w sprawach tych już mocno zaprawni, zjawiali się licznie i wkrótce szli wesołym pochodem przez zdumione miasto. Dwaj nieśli łóżko, dwaj wyliniała kanapę, inni sztalugi, ten lampę, tamten miednicę, obraz lub krzesło. Do tej wielbłądziej karawany przyłączały się wyrostki i rozmaite wolne zawody, tak że wkrótce pochód stawał się triumfalny. W ten sposób zjawili się przy ulicy Zawilej, w jednym domu, samotnym jak pustelnia. Zajęli apartament pod dachem, w pobliżu nieba i gwiazd.

Tam to zleciał ze ściany rejent Apolinary wyobrażony na konterfekcie poczeriałym, popękany i popstrzonym przez Było to bez wątpienia malowidło cenne jako rodzinna pamiątka, nikt jednak nie zgłaszał do niego pretensji. Tułała się wspomnieniach legenda, że nieboszczyk rejent, łupiskórca, piniacz i ciułacz, po śmierci ani grosza ukochanym spadkobiercom i nigdy nie było wiadomo, co począł z majątkiem. Pochowano go wprawdzie w poświęconej ziemi, lecz jego portretu nikt brać nie chciał. Namalowany rejent wędrował ze strychu na strych, aż go wreszcie pajęczyn odkrył prawnuk, który zostać malarzem. Przytulił pradziadka, oczyścił mu oblicze gorącym mlekiem, potem zawiesił na ścianie.

Weseli bratowie patrzyli często na portret rejenta w ciężkiej zadumie. Wtedy mówił Jan do Józefa:

- Jak myślisz, czy rejent w dawnych czasach mógł zrobić majątek?

- Oczywiście, że robił!

A w jaki sposób?

- W bardzo prosty sposób. Gdzie dwóch sprzedaje lub kupuje, tam rejent korzysta. Nie można ani pożyczyć, ani oddać, nie można się ożenić ani nie można umrzeć bez rejenta. To znaczy umrzeć można, lecz bez testamentu, co jest niewygodne i przysparza żywym mnóstwo kłopotów.

- Ja umrę bez rejenta! - rzekł z mocą brat Jan.

- Nikt ci tego zabronić nie może, nie było zresztą wypadku, aby muzyk musiał sporządzać testament ze względu na majątek. Ale że rejent odszedł z tego świata bez testamentu, jest to sprawa dziwna i niesłychana. Ha!

- Co ci się stało?

- Patrz, patrz!... Rejent!

Jan spojrzął z przestachem na poczerniały portret pradziadka, który się najwyraźniej przez krótką chwilę uśmiechał. Potem twarz znowu zamarała i patrzyła srogo i surowo.

- Przywidzenie!... - szepnął Jan.

- Być może... być może... Nie dowierzam rejentom - szeptał Józef. - Sam Fredro był o nich nieszczerólnego mniemania.

- Nie gadaj tyle! - ostrzegł go Jan. - To jakiś bardzo dziwny portret.

Od tej chwili spoglądali na pradziadka spođe łba, szczególnie nocą. Skoro sobie raz ubrdali, że portret się uśmiechnął, jak im się wydało trochę złośliwie i trochę jadowicie - już nie zaznali spokoju. Jan doradzał nieśmiało, aby malowidło zawiesić obliczem do ściany, Józef natomiast był zdania, że za taką niewątpliwą obrazę nieboszczyk może się zemścić na rodzonych prawnukach, mało bowiem przemawia. za tym, by rejenci mieli nadmiar serca. Łysy nieboszczyk z brodawką koło nosa wisiał przeto dalej, spoglądając na nich wzrokiem nieczułym i zimnym.

- Może jego drażni twoja muzyka i twój klawicymbał? - rzekł Józef.

- Jeżeliby był rozdrażniony, toby się nie uśmiechnął. Czy nie myślisz, że ten niepospolicie rozumny człowiek śmieje się z twoich obrazów?

- I to nie! Mam wrażenie, że tego szlachecka w kontuszu gniew chwyta, bo jego ród szlachecki został zhańbiony i sponiewierany. Jeden prawnuk muzyk, a drugi malarz! Ha! Żebyśmy handlowali końmi... Ale muzyk, ale malarz! Ja bym się nie dziwił, gdyby z wielkiej abominacji zleciał ze ściany.

Brat Józef wypowiedział to w złą godzinę.

Okazało się, że pradziadek rejent nie uczynił tego bynajmniej ze złośliwości. Miał w tym cel rozumny i ważny, wskutek czego oszołomieni bracia napisali czym Prędeż do ciotki Marty, jedynej bliskiej duszy, na którą zawsze można było liczyć.

Ciocia Marta istotnie postanowiła natychmiastowy wyjazd do zatroskanych bratanków. Ciekawość rozparła ją do tego stopnia, że spulchniała jeszcze bardziej. odczytała list siedem razy, usiłując w nim odnaleźć sprawy ukryte i nie domówione. Bracia Mościrzeccy o wszystkim pisali dość mgliście, wyraźnie natomiast o maśle i kielbasach. Poprzez dobre jej serce przemknęła smuga zwątpienia i kilkakrotnie zapytywała własnej duszy, czy też ten cały tajemniczy list nie jest podstępem w celu zdobycia większej ilości produktów jadalnych, szybko Jednak zdławiła tę myśl Jak czarną wronę. Bratankowie miłowali ją miłowaniem wielkim I nie wazyliby się dla mizernej kielbasy z odrobiną czosnku narażać ją na niepokoje i na trudy podróży. Postanowiła przeto wyruszyć natychmiast.

Zwróciła się do Kasi z rozsądnym pytaniem:

- Czy Kasia wie, że ja wyjeżdżam?

Dziewoja nie mogła o tym wiedzieć, bo i skądże?

- A czy Kasia powie w stajni, aby konie były na szóstą?

Owszem, Kasia powie, gdyż nie jest to połączone ze zbytnim trudem.

- A czy Kasia wie, dlaczego ja wyjeżdżam?

Dziewoja zamyśliła się głęboko, westchnęła kilka razy z wielkiego wysiłku, ale nie mogła dojść rozumnej przyczyny wyjazdu.

- A czy Kasia może pójść do spiżarni i przygotować szynkę i kielbasy, i masło?

- Pani jedzie do panów Mościrzeckich! krzyknęła dziewczyna w nagłym natchnieniu.

- O, Boże! - rzekła zdumiona pani Marta. - A jak Kasia na to wpadła?

Nawet dla wiejskiej dziewczyny wniosek był prosty, że tam, gdzie się pojawi szynka, tam się zjawi natychmiast jeden Mościrzecki, a gdzie zapachnie kielbasa, pojawi się drugi. Sława młodych głodomorów zawędrowała pod strzechy.

Ciocia Marta powędrowała przeto do Warszawy, objuczona taką ilością jada, jak gdyby miała odbyć podróż od równika do bieguna W pociągu zadała wielką ilość i rozumnych. Wypytywała wszystkich żywych: dokąd jadą, po co, na jak po przyjeździe? Konduktor musiał jej odpowiedzieć na pytania, czy pociąg zdąży we właściwym kierunku, czy przybędzie na czas, czy nie zabraknie węgla i wody, ile lat ma pan konduktor, czy jest żonaty i czy bliską rodzinę. Jedni odpowiadali, inni nie odpowiadali, dziwili się jednak wszyscy. Zwyczajnie - jak to ludzie: jeden w drugim rad widzi idiotę, a sam jest niezmiernie mądry. Nie było jednak takiej siły, która by mogła panią Martę od zadawania pytań, iż kto pyta, ten Marta zajęchała wedle tej metody do Warszawy bez wypadku, rzecz można szczęśliwie. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że jakiś człowiek nazbyt niecierpliw, popędliwy i działający bez głębszego zastanowienia mógł

chwycić dobrą ciocię i cisnąć ją przez okno pędzącego pociągu, a struchlały świat byłby usłyszał ostatnie jej pytanie: “Dlaczego wyrzuca mnie pan przez okno?”

Pytając wytrwale dotarła równie szczęśliwie na ulicę Zawilą, do domu, na którym wedle wszelkiego prawdopodobieństwa za lat sto jaśnieć będzie prawdziwa tablica z fałszywego z marmuru z promiennym napisem: “ W tym domu przed wiekiem mieszkali i tworzyli Jan i Józef Mościerzewscy.

Burgabia domu, uprzejmie zagadnięty, objaśnił ciocię, że istotnie w przybytku tym mieszkają dwaj panowie tego nazwiska, że mieszkają od miesięcy trzech, nie płacą od miesięcy trzech, co się zresztą musi skończyć publicznym skandalem i wyrzuceniem dwóch młodych panów na zbity łeb. Zdumiał się jednakże, usłyszawszy pytającą odpowiedź, pełną szlachetnej dumy:

- A jak pan myśli, po co ja jeszcze żyję na świecie?

Tyle było w tym pytaniu utajonej godności i taka obfitość zażywnych obietnic, że mąż ten zdjął czapkę, skłonił się, po czym skwapliwie wyniósł toboły na wysokie Parnasy.

Na wielu bramach rozmaite widnieją napisy.

Na dantejskiej piekielnej bramie czernił się napis zgoła straszliwy i krew w żyłach mrozący. W każdym jednak wypadku były to napisy treściwe i wiele w nich było sensu. Na bramie, wiodącej do jaskini dwóch młodych zbójców, wypisana była cała literatura z dodatkiem ilustracji. Brama ta, właściwie drzwi, służyła poza tym za miejsce dla miejscowej korespondencji, którą prowadzili goście z gospodarzami tego podejrzanego lokalu. Gość pełen gniewu, nie zastawszy w domu panów Mościerzewskich, pisał uprzejmie i z wylaniem:

“Byłem, nie zastałem, odszedłem. Na drugi raz wytlukę drzwi, a wam zęby!” Inny pisał tkliwie:

“Małpy nie powinny opuszczać klatki!”

A inny jeszcze:

“Mądry nie zastanie w domu głupiego!”

Wyborne te sentencje i złote myśli młodych pozostawili panowie Mościerzewscy w stanie nienaruszonym, ułatwiając tym sposobem zadanie gościom późniejszym, którzy nie trudząc się kładli jedynie swój podpis pod gotową sentencją, dodając jedynie na własny rachunek jakieś słowo mocno zawiesziste i pełne obelżywej treści.

Od siebie wypisali gospodarze na drzwiach wiele haseł i zawołań, bez których nie można się było dostać do wnętrza siedziby:

“Nie wchodzić bez zameldowania się u sekretarza!”

“Pukać mocno, najlepiej pustą głową!”

“Witaj, jeśli przynosisz pieniądze. Żegnaj, jeśli po nie przychodzisz!”
“Kto tu przychodzi, sam sobie szkodzi!”
“Świnia i gość nigdy nie mają dość!”
“Żebrakom i muzykantom wstęp wzbroniony, gdyż jeden już tu mieszka!”
“Pluć tutaj nie wolno, od tego jest pierwsze piętro!”
“Nie ma noclegów bezpłatnych! Najtańsze miejsce kosztuje trzy papierosy!”
“Tutaj można zamawiać marsze żałobne i portrety na katafalku!”
“Psów, krów i koni wprowadzać nie wolno. Kozy w wyjątkowych wypadkach!”
“Kędy wszedłeś, wychodź tędy, bo cię przeklnę w imię Boga!” (Mickiewicz).
“Gościu, usiądź na schodach i odpocznij sobie!” (Prawie Kochanowski).
“Panom złodziejom z góry wyraża się współczucie!”
“Nie ma tego złego, co by tędy nie weszło!”
“Wejść albo nie wejść? Oto jest pytanie!” (Wedle Szekspira).
“Najlepiej - nie wejść!” (Mościrzeccy).

Ciocia Marta ze zgrozą czytała te napisy i przyglądała się złowrogiej psiej mordzie z wyszczerzonymi zębami, namalowanej kunsztownie zapewne przez bratanka Józia. Cerber ten miał odstraszać gości niepożądanych.

- Dlaczego oni to wszystko napisali? - zapytała zdumionej duszy.

A odpowiedział jej dozorca:

- Bo są pomyłone. A czasem to chodzą całkiem na goło!

- Ach, ach! A dlaczego?

- Bo pod dachem jest gorąco - odrzekł posepnie ten człowiek i odszedł, pozostawiając panią Martę przed piekielną bramą.

Na to tylko czekali stęsknieni bratankowie.

Widzieli ciocię, zajeżdżającą przed dom, słyszeli jej głos na schodach, nie mogli jednak powitać dostojnej osoby na granicy swego państwa, gdyż diabeł tak nie unika święconej wody, jak oni unikali dozorca domu, śmiertelnego swego wroga, zawziętego i nieprzejednanego. Dopiero kiedy wróg zapadł się w czeluście, otwarli z nagłą drzwi - (które będą kiedyś umieszczone w muzeum - i przywitani ciocię zdławionym okrzykiem niebotycznej radości. Jan porwał toboły, Józef ciotkę. po czym zaczęli ją ścisnąć potężnie, ale już we dwóch, jeden bowiem nie mógłby pulchnej kobieciny objąć w całej pełni.

- Czyście poszaleli? - zdyszany, lecz wyraźnie szczęśliwym głosem pytała pani Marta.

- O królowo! - wołał Jan.

- O cudzie świata! - wołał Józef.

- Ach, to wy tutaj mieszkacie? - pytała królowa, będąca cudem świata, odetchnąwszy. Mogła zapytać równie roztropnie, czy ten dom został zbudowany na miejscu, czy przywieziony z Ameryki.

- A to co takiego? Zielone Świąta?

To pytanie było słuszne, albowiem wytworny apartament panów Mościrzeckich przyozdobiony był na zielono mnóstwem gałęzi i szablami tataraku.

- To na cześć cioci! - zgodnie obaj zakrzyknęli.

- Och, czy ja jestem biskupem? - zawołała rozrzewniona.

Nawet oni, szaleni z radości i pijani niezmiernym wzruszeniem, zdawali sobie sprawę, że ciocia nie jest biskupem. Usadowili ją jednakże na honorowym fotelu, który miał trzy nogi, a zamiast czwartej protezę z drewnianej paki, po czym stanęli po obydwóch stronach jako straż honorowa. Jan kładł wciąż rękę na serce, co w języku ludów pierwotnych oznacza wielką miłość, Józef zaś łpał oczami w stronę powały, co miało oznaczać, że jest w zachwyceniu. W cioci Marcie roztopiło się serce.

A wtedy jeden z nich rzekł nieśmiało:

- Ciocia zapewne jest zmęczona i zapewne głodna...

- Czy jestem głodna? A co mi dacie jeść, złote chłopaki?

- Mamy już gorącą wodę... - śmiertelnym głosem rzekł Jan.

- I nieco soli... - dodał głucho Józef. Ale jeden z nas natychmiast wyskoczy do sklepiku i za momencik...

- Po co ma wyskakiwać? - rzekła ciocia. A ja z czym tu przyjechałam? Z pustymi rękami?

Mrugnęła wesoło, wskazując spojrzeniem toboły brzuchate i potężnie nadziane.

Uczta była radosna i pełna okrzyków. Ciocia wciąż pytała, a oni jedli, niewiele czasu marnując na chude słowa. Ciocia zdołała jednakże pojąć, że zamieszka u nich, w malarskiej pracowni, w której z wszelką pewnością nie ma myszy, chociaż bowiem są to stworzenia słynne z wstrzemięźliwości i byle czym się żywiące, musiałyby tu skapieć głodową śmiercią. I mysz ma swój rozum i ucieka z mieszkania, do którego wprowadza się malarz, muzyk, rzeźbiarz, poeta lub też człowiek uczony. W pracowni tej nie ma też duchów, bo dom jest niedawno zbudowany, a cmentarza nigdy w pobliżu nie było. Stoi tam jedynie pradziadek oparty o ścianę. Jeśli o niego idzie, można by żywić niejakie obawy, że zechce dać znać o sobie, lecz uczyni to niechybnie w sposób przyjazny.

Dreszcz wstrząsnął ciocią Martą.

- To on tam jest? - spytała cicho, jak się mówi o kimś bardzo chorym.

- Tam... A spadł z tego gwoździa!...

- Z tego gwoździa? Czy to możliwe? A dlaczego on spadł? Czy powiecie mi wreszcie, co to wszystko znaczy?

- Oczywiście, że powiemy, ale niech go ciocia wpierw zobaczy... - rzekł Józef.

Procesją weszli do pracowni i stanęli na wprost portretu, który na nich najmniejszej nie zwrócił uwagi. Ciocia wpatrywała się pilnie w pana rejentowe oblicze, jak gdyby czekała, że czcigodny przodek do niej przemówi i wyjaśni, dlaczego takie przedziwne wyprawia awantury.

- Dlaczego nazywacie go pradziadkiem? Zapytała szeptem.

- Dla wygody - odrzekł Jan. - Jest on naszym prapradziadkiem, a pradziadkiem cioci, po co jednak tracić czas na przydługie wyrazy? Wiemy o tym. A czy ciocia wie, kiedy on umarł?

- A skąd ja mam o tym wiedzieć?

- Bo to ważne!

- A czemu to jest ważne?

- Zaraz się ciocia dowie... Janek, zobacz, czy kto nie podsłuchuje pod drzwiami!

- Nikogo nie ma... - szepnął brat powróciwszy. - Już można!

Pan Józef Mościrzecki wyjął z czeluści pieca but, a z buta pożółkły papier. Ciocia patrzyła jak urzeczona.

- Proszę spojrzeć - mówił malarz szeptem. - Gdy nasz przodek spadł ze ściany, rozleciała się rama, a spoza ramy wypadło to pismo!

- Czy podobna?

- Jak nas tu ciocia żywych widzi!

- A co tam jest napisane?

- Nie wiadomo! Pismo jest opatrzone pieczęciami...

- Ach, ale dlaczego nie złamaliście pieczęci?

- Bo nie wolno!

- A czemu nie wolno?

- To jest jakieś dziwne pismo... - objaśniał malarz. - Albo testament, albo coś podobnego. Niech ciocia posłucha, co rejent napisał na wierzchu.

- Co? Co? Prędeż, bo czy myślisz, że ja mogę długo wytrzymać?

Malarz czytał uroczyście, pilnie się zblakłemu przyglądając pismu:

“Proszę i nakazuję, aby równo w lat pięćdziesiąt po mojej śmierci zgromadzili się wszyscy żyjący wówczas z rodu Mościrzeckich i po Mszy świętej za spokój mojej grzesznej

duszy najstarszy z rodu pismo to odczytał. Jest cno wagi największej i nakazy zawiera, które gdy spełnione zostaną, potęgę i bogactwo rodowi mojemu zapewnią”.

Apolinary Mościrzecki

Po długiej chwili ciszy ozwało się ciche pytanie pani Marty:

- A daty nie ma?

- Dziwne to, ale nie ma. Data zapewne jest wewnątrz... Rozumie teraz ciocia, dlaczego to jest ważne, aby się dowiedzieć, kiedy rejent zszedł z tego świata. Czy ciocia w żaden sposób nie może sobie tego przypomnieć?

- A dlaczego ja bym miała o tym pamiętać? I dlaczego ma to być takie ważne? Czy nie myślicie, że od jego śmierci minęło chyba ze sto lat?

- Możliwe - rzekł malarz. - Dlaczego tedy już ktoś kiedyś tego listu nie otworzył?

- A jak miał o nim wiedzieć? - spytała słusznie ciocia.

- Istotnie... - mówił Józef zamyślony. W dawnych czasach chowano ważne dokumenty albo w książkach, dlatego że ich nikt nie brał do rąk, albo za obrazami, bo ich nikt nigdy nie okurzał i nie czyścił. Nasz pradziadek był jednak dobrej myśli i przekonany, że jednak w ciągu lat pięćdziesięciu zdejmie ktoś obraz ze Ściany, ale się pomylił. Czekał, czekał, a nie mogąc się doczekać, wychylił się z niebiosów i zapewne nogą strącił własny portret.

- Wiedział, że jest w przechowaniu u prawnuków mądrych i roztropnych - rzekł Jan z powagą.

- I cóż my teraz zrobimy? - pytała w zamyśleniu ciocia.

- Ja myślę - mówił Józef - że dla porządku musimy ustalić rok śmierci pradziadka. Następnie trzeba będzie w jakiś sposób zebrać razem wszystkich żyjących Mościrzeckich, aby w ich obecności odczytać to pismo.

- A czy to warto? - zapytała ciocia z powątpiewaniem.

- Cioteczko złota! - zawołał malarz. Myślę, że nasz pradziadek rejent, człowiek zapewne poważny, nie robi sobie spoza grobu igraszek. Pisze on o “potędze i bogactwie”. Wyraźnie i własnoręcznie napisał te wspaniałe słowa. Licho wie, co się do tego czasu mogło stać z tym bogactwem, ale czemu nie spróbować? Rejenci to chytry ludzie, więc i nasz przodek nie był zapewne w ciemni bity. Albo zakopał garnek z dukatami, albo je ukrył w inny sposób.

- A czemu ich nie zostawił synowi?

- Skąd to można wiedzieć? Starzy ludzie miewają najdziwaczniejsze pomysły. Może chciał, aby jego syn sam się dorabiał majątku?

- Czy ciocia nie słyszała o jakichś wielkich majątkach Mościrzeckich?

- Ja? Czy mój dziadek, którego pamiętam, musiałby ciężko pracować, gdyby Mościrzeccy byli bogaci?

- W takim razie rejent miał jakieś ważne powody do ukrycia skarbu... Może czasy były niespokojne, może szalała wojna, może syn był daleko, gdzieś na obczyźnie? Dowiemy się o wszystkim! Czy ciocia nam pomoże?

- Dlaczego o to pytasz, kochanie? Czy pochodzę z Mościrzeckich, czy nie?

- Z wszelką pewnością! Czy ciocia ma jakieś rodzinne dokumenty?

- Czy ja mam jakie dokumenty? A gdybym je miała, to co z tego będzie?

- Coś będzie... Ustalimy daty i nazwiska, ile się tylko da, potem wezwiemy przez gazety wszystkich Mościrzeckich i wszystkie z domu Mościrzeckie na walny sejm. Przepraszam, kiedy się ciocia urodziła?

- A co to ciebie obchodzi? - zdumiała się ciocia, oblewając się rumieńcem.

- Nic, nic! - odrzekł szybko Józef. - Ja tylko tak sobie... Zrobimy przeto tak: jeżeli ciocia pozwoli, pojedziemy do cioci...

- Za co? - mruknął muzyk.

- O, Boże! - zawołała pani Marta. - Czy mnie na to nie stać?

- Bardzo dziękujemy... Tam przejrzymy papiery... A potem zaczniemy poszukiwania. Coś mi się tak zdaje, droga ciociu, że będziemy gorąco błogosławić naszego czcigodnego przodka, rejenta Apolinarego Mościrzeckiego...

- Chryste Panie! - krzyknęła pani Marta zdławionym głosem. - Czy mnie oczy nie mylą?

- Ha! - zawołał cicho Jan.

- Ha! - zawył cicho Józef.

Rejent Apolinary, dotąd spokojnie sterczący pod ścianą, teraz jakby ruszony przyrzeczeniem, że będzie błogosławiony przez prawnuków, osunął się powoli i legł na podłodze, jak gdyby już uspokojony kładł się na spoczynek wieczny.

ROZDZIAŁ DRUGI

w którym zaczyna się oczekiwanie prawowitych potomków rejenta

W starym rodzinnym modlitewniku, będącym w posiadaniu pani Marty, znaleziono wiele cennych dat, dawnym bowiem obyczajem na wewnętrznej stronie okładki wpisywano imiona nowo narodzonych i dzień zjawienia się ich na bożym świecie. Kto nie posiadał takiej świętej księgi, pisał kredą na drzwiach, kto zaś pisać nie umiał, co się często w lechickiej zdarzało ziemi, ten nigdy nie umiał powiedzieć, kiedy się urodził, i nigdy nie wiedział, ile ma lat. Starzy ludzie liczyli niekiedy do pewnego czasu, a kiedy rachunek im się zmacił, przestawali liczyć i mieli zawsze lat “około stu”. Głęboka w tym tkwiła filozofia, albowiem bardzo starym ludziom staje się to z czasem obojętne, czy mają pięć lat mniej, czy też więcej.

Babki pamiętały zazwyczaj lepiej niż dziadkowie, chytrym babkom jednakże dowierzać nie było można, od niepamiętnych bowiem czasów zawsze były młodsze niżli starsze, niekiedy zaś - zatrzymawszy rwący bieg czasu - trwały jak kamień na jednym miejscu i poza lat siedemdziesiąt za żadne skarby ruszyć się nie chciały. Nikt kontrować temu się nie ważył, albowiem babki pływały zawsze we wielkiej czci, poza tym zaś nawet najlepsze wśród nich gwałtownego były usposobienia i miały zawsze pod ręką giętki kij, straszny niesfornym wnukom.

Pani Marta, sprytnie nagabywana przez łądackich bratanków, wyłowiała w czarnej wodzie pamięci wiele opowieści, zasłyszanych w młodości, i wiele rodzinnych legend. Młodzi Mościrzeczcy dodawali jedno do drugiego i dowiedzieli się niemało i o rodzie, i o rejencie.

Ród Mościrzeckich był rodem omszałym od dawności. Nie mógł wprawdzie najchełpliwszy nawet z Mościrzeckich powiedzieć tak, jak to podobno butny jeden szlachcic głosił, że Ewa z rajy była de damo Pierożyńska - (tak się zwał!) - lecz początek tego rodu ginął w mrokach. Kiedy pani Marta z dumą o tym wspomniała, szepnęła Jan Józefowi, że dawność ich rodu jest tak niezmierna, iż niewątpliwie od nich to dopiero małpy pochodzą, które znacznie później doszły do ludzkiej godności. W herbie mieli Mościrzeczcy wiewiórkę i zdarzały się czasy, że miłe to stworzenie było ich jedynym żywym inwentarzem, albowiem zacny ten ród chudy był ponad wszelkie pojęcie. Musiał kiedyś jakiś Mościrzecki przehulać albo przeprosować fortunę, nie pozostawiwszy nawet mizernego orzeszka dla nieszczęsnej wiewiórki.

Niewiele też ród ten znaczył i do nadmiernych nie doszedł godności. Raz jeden się zdarzyło, że kanonik Zygmunt August Mościrzecki mógł być zostać infułatem, lecz nie doczekał tego niestety, zjadłszy na odpuszcie dwanaście kóp kołdunów; co go miłego pozbawiło żywota. Opowiadano też, że jedna Mościrzecka omal nie poślubiła wojewodzica, tak wielkiej była piękności, wojewodzina jednakże miała sen, w którym ją święty Marcin ostrzegł przed zamiarami syna, przeto nie dopuściła do tego małżeństwa. Nie było przeto zbyt wiele szczęścia w tym rodzie, skoro przeciw niemu okoniem stawał nawet tak dobrotliwy i łaskawy święty.

Dopiero rejent Apolinary zaczął dorabiać się fortuny, łowiąc, co się dało, w mętnej wodzie stanisławowskich czasów, i odkupił Przypłocie, majątność rodową, w której od niepamiętnych czasów na cześć herbowego klejnotu hodowano wiewiórki. One zaś, jak gdyby pomne tego, że do Mościrzeckich z prawa należą, sprawiły, że szlachcic, co majątnością władał, za pół darmo odsprzedał ją rejentowi, nie mogąc zdzierżyć temu rudemu tałatajstwu, co w niepoliczonych ilości gziło się na każdym drzewie, wciskało się bezwstydnie do komnat, do czeladnej, do spiżarni i do spichrzów, gryząc wszystko, co się ugryźć dało. Szlachcic długo cierpiał, gdyż lubił zwierzęta, wreszcie ręce opuścił, widząc, że z torbami pójdzie.

Pan rejent, niewiele mając sentymentu dla ogoniastych, na nic niepomny, zaledwie majątność odzyskał, zabrał się do wiewiórek, które piszcząc z radości, ufnie witały pana rodzzonego. O nieszczęsne! Zgubiła je nadmierna ufność i małowiele upłynęło czasu, a wszyscy okoliczni Żydowie nosili bekiesze podbite wiewiórczym futerkiem, a na dziesięć mil dokoła grodeturowe jubki klucznic i gospodyń też nim były przystrojone. Rejent był człowiekiem zmyślnym i tym tylko był zmartwiony, że wiewiórki nie dają mleka, tylko nikczemne futerko.

Rejent urodził się w 1760 roku. Już w bardzo młodych latach począł łysieć, z czego prorokowano roztropnie, że będzie kauzyperdą albo rejentem, co się stało. ożenił się, długo przedtem penetrując, czy panna, którą zamierzał poślubić, nie jada nadmiernie i nie jest z liczby tych, o których powiadano, że - "majątków, pasz a fonfrów dużo". - Wziął pokaźny posag, który rozpozyczył na srogie procenty lekkomyślnej młodzieży, co w szalonej woczesności wiodła żywot mizeracki, jedząc, pijąc i grając w karty. Wszędzie miał jakieś sumy, legaty, zastawy i dożywocia. Łupieżcą był wielkim i wcale nie małym. Jak drapieżny szczupak w stawie krążył milczkiem, wypatrując zdobyczy, o którą było łatwo w czasach, kiedy się już "pod koniec miało starszylacheckiemu światu", gdy magnaci w jedną noc trwonili fortuny w spelunkach u podejrzanych Włochów, z których się każdy mianował "neapolitańskim hrabią". Rejent wiedział wszystko o wszystkim i jak sęp krążył ostrożnie i czujnie. Pożyczał, potem dławił, cisnął i brał łup, że zaś był nabożny., gorąco dziękował Bogu, że stworzył tylu głupich, a jemu dał rozum bystry i przemyślność lisa.

Był już - jak wówczas mówiono - "pod siwizną", kiedy mu się syn narodził, po czym trzy córki, po czym znowu syn. Po pierworodnym wpadł w humor tak przedni, że ukochanej małżonce ofiarował toruński pierniczek, wyobrażający króla Zygmunta Wazę, od lat dziesięciu przechowywany w kantorku na radosne i szczęśliwe okazje. Małżonka wyłamała sobie na pierniczku dwa zęby, wdzięczna jednak była szczodremu mężowi, nie nawykła do tak wspinających hojności. Zmarła na św. Michała bez gromnicy, bo rejent nie pozwalał na zbytki. On zaś oddał Bogu ducha w roku sławnym 1830. Uczynił to niechętnie, Pan Bóg zaś równie niechętnie, niemal że z abominacją, ducha tego przyjął.

Ten ważny rok odnaleziony został w księdze pani Marty. Jasnym było tedy, że list pośmiertny czy też testament rejenta łupiskórcy powinien być odczytany w roku 1880, kiedy to nawet jej nie było jeszcze na świecie. Widać jednak, że rejent nieco przesadnie "bryknął rozumem", ukrywszy pismo za ramą, przekonany, że ciekawość ludzka wszędzie zajrzy, gdyż on właśnie tak byłby uczynił. Młodzi Mościrzeczcy, rzecz całą głęboko i wszechstronnie rozważywszy, doszli do przekonania, że tajemnicze owo pismo musiało mówić o czym innym, nie o majątnościach pozostałych po rejencie. Żadna z rodzinnych opowieści nie wspominała o sprawach majątkowych po jego śmierci. Schedą podzielili się dwaj synowie, byle czym zbywszy nieśmiałe siostry, a w tej chwili - w roku 1936 siedzi na Przypłociu potomek rejenta w najprostszej linii, nikomu zresztą, nawet pani Marcie nie znany.

Rodzina Mościrzeckich rozmnożyła się jak ongi herbowe wiewiórki, rozsiała się po Polsce i po szerokim świecie i jeden o drugim mało wiedział. Czego tedy chciał rejent z tym swoim pismem, zwróconym do wszystkich Mościrzeckich - Bóg wiedzieć raczy? Albo mu się na starość wielki rozum pomieszał, albo jakąś zbrodnię popełnił i chciał ją po pół wieku naprawić, albo też go sumienie ruszyło i oddawszy majątność dzieciom, cały ród zapragnął skarbami ukrytymi obdarzyć.

Wszystko to być mogło i nad tym właśnie pani Marta i dwaj młodzieńcy na próżno łamali sobie głowy. Skutek tych wielkich duchowych utrapień był zgoła różny, gdyż pulchna ciocia od nadmiernego myślenia gwałtownie chudła, młodzieńcy zaś obficie tyli. opowiadają, że ile razy ktoś na świecie dokona znakomitego odkrycia, wtedy z niezmiernej trwogi ryczą wszystkie woły, stu bowiem ich braci kazał zakatrupić Pitagoras na ofiarę bogom, kiedy ułożył swoje twierdzenie o trójkątach. Kiedy na gospodarstwie pani Marty rozmyślali Mościrzeczcy - gęsi, kaczki i kury objawiały obłąkaną trwożę, nic bowiem skrzydlatego nie mogło się ostać przed ich demoniczną żarłocznością.

Być może, że i z tego powodu roztropni młodzieńcy przedłużali nadmiernie narady, coraz to nowe i coraz śmielsze snując domysły, tym bardziej że ciocia coraz to dziwniejsze

zadawała pytania, na które nie mogłoby odpowiedzieć siedmiu mędrców greckich i stu najtęższych filozofów wszystkich czasów. Muzyk Jan powiedział do malarza Józefa, że ciocia nie modli się: “ojcze nasz, któryś jest w niebie...”, lecz zapytuje pokornie: “Ojcze nasz, czy jesteś w niebie?” - na co Pan Bóg, wszystko rozumiejący, łagodnie się uśmiecha. Wreszcie jednak trzeba było coś postanowić, aby nie niecierpliwic pana rejenta, który ze swej strony - i za życia, i po śmierci - wszystko uczynił, co do niego należało. Dał znak gwałtownym sposobem i nie należało drażnić ducha. Rejent nieboszczyk może się stać groźniejszy niż rejent żywy. stanęło przeto na tym, że dobrotliwa ciocia wyłoży pieniądze dla wspólnego dobra, niewątpliwie bowiem cały ród coś na tym zyska, a młodzi Mościrzeczcy przypilnują całej sprawy.

W roku 1936 - w dniu św. Kornela, jednego z najpogodniejszych świętych - 16 września, ukazało się w trzech gazetach stołecznych i kilku prowincjonalnych ogłoszenie, wzywające wszystkich, od rejenta Mościrzeckiego z Przypłocia wywodzących się obojga płci Mościrzeckich, aby we własnym interesie weszli niezwłocznie w ciągu miesiąca w porozumienie z Janem i Józefem, przedstawivszy równocześnie dokumenty, niezbitie stwierdzające prawdziwość pochodzenia. Słowa: “we własnym interesie” były podkreślone, nie wspomniano jednak w wezwaniu o celu rodzinnego zlotu.

- Nie należy budzić w nikim niezdrowych nadziei! - orzekł muzyk.

- Nadzieje budzą się same - odpowiedział malarz. - Nadzieja jest jak mucha. Ledwie promień słońca zabłyśnie, już zaczyna bzykać.

- Ilu może być na świecie Mościrzeckich? zapytała pani Marta.

- Pewnie tyle, co much. Chociaż my dwaj przypominamy raczej pracowite pszczoły.

Pan Bóg, widać, nie usłyszał tych słów, bo nie zagrzmiało.

Po długich i roztropnych rozważaniach postanowiono, że miejscem walnego zjazdu będzie Warszawa, a mianowicie ulica Zawila nr 16, o czym wyraźnie napisano w ogłoszeniu. Mogło się jednak zdarzyć, że wojowniczy burgrabia tego domu rzuci się sam jeden na czeredę Mościrzeckich jak Samson na Filistynów i swą własną porazi ich szczęką, pomyslawszy ponuro, że będzie musiał sprzątać schody po licznych gościach nie płacących lokatorów. Należało go przeto ułagodzić i tak chytrze omamić, aby jak przeklęty Siciński z Upity nie zerwał sejmku Mościrzeckich. Ponieważ ludzie, znający czarny kunszt i tajemnice magii, wchodzili w układy z samym diabłem, można było żywić nadzieję, że chytrych zażywszy sposobów, okiełzna się straszliwca. Gdy pan Twardowski, niepospolity czarownik, w balladzie Mickiewicza “zadzwoził kieszka pomału, z patrona zrobił się kondel” taka jest bowiem przeklęta moc złota. Młodzi Mościrzeczcy użyli tego samego środka z własnego wprawdzie

natchnienia, lecz złoto wycyganiwszy od ciotki. Burgrabia domu przy ulicy Zawilej, ujrawszy pieniądze, najpierw zdębiał i tak się jakoś zdawało przez krótką chwilę, jak gdyby mu na zawsze odjęta została mowa i zdolność poruszania się. Oczy mu wyszły na wierzch, jak gdyby ujrzał coś przeraźliwego i ponad ludzkie pojęcie. Potem dopiero krzyknął potężnie i z szybkością maratońskiego posła pobieżał do najbliższego szynku, aby ukoić radosne szaleństwo.

Trójce Mościrzeckich nic innego nie pozostało nad cierpliwe oczekiwanie krewnych, bliskich i dalekich. Ponieważ dziwne zdarzenie wzięło rzec można - swój początek w zaświatach i pochodziło w prostej drodze od nieboszczyka, należało oblec się w jaką taką powagę. Jan uważał za przesadny pomysł Józefa, aby w samym środku pracowni ustawić katafalk na cześć arcyprzodka, co pisze listy spoza grobu, i otoczyć go lasem płonących świec, aby przed takim *castrum doloris* każdy ze zgłaszających się składał uroczystą przysięgę, że nie jest samozwańcem. Godził się natomiast na obicie czarnym papierem jednej ściany i na zawieszenie na niej ruchliwego portretu, ale na bardzo mocnym haku, słusznie mniemając, że rejent, raz zażywszy wesołej rozrywki, zechce ją powtarzać, zmierziwszy sobie nieruchawą beczynność. Tak też uczynili i łysy rejent spoglądał z wysoka i czekał wraz z nimi na tych, którym pozostawił tajemnicze dziedzictwo.

Nagle Jan uderzył rozwartą dłonią w czoło tak gwałtownie, jak gdyby chciał na nim zabić dokuczliwą muchę.

- Drzwi! - krzyknął rozzwierającym głosem.

- Jakie drzwi? - odkrzyknął Józef.

- Nasze drzwi! Przecie może się u nas zjawić jakiś ksiądz Mościrzecki albo senator Mościrzecki, albo hrabina z domu Mościrzecka. Wyobraź sobie, co się stanie, gdy odczytają literaturę na naszych drzwiach! Ha! Ksiądz zawróci i ucieknie, a hrabina zemdleje.

- Ciocia Marta czytała i nic! - zaśmiał się Józef.

- Ciocia hoduje świnię i nic jej nie może zdziwić. Ale hrabina... Bierz szczotkę i wodę i chodźmy myć drzwi!

Józef westchnął ciężko i mruknął:

- Czego człowiek nie zrobi dla rodziny!...

Ale, ale... Woda jest, ale nie mamy szczotki.

- Masz jednak pędzel i farby. Weźmij najgrubszy pędzel i najczarniejszą maź, najlepiej zwyczajną smołę, i zaszmaruj wszystko, ale tak, aby ślad nie pozostał.

Wandalski ten postępek nie tylko, że zniszczył niebotyczne pomniki wzniosłej myśli ludzkiej i arcydzieło malarstwa, wyobrażające złego psa, lecz sprawił zarówno, że wesołe

dotąd wejście do przybytku młodości zaczęło przypominać odrzwia do rodzinnego grobowca. Dwaj młodzieńcy wdrygnęli się, patrząc na ponure dzieło, lecz jedna w nich i tejże samej chwili zaczęła kielkować nadzieja, że skoro tylko piekielna awantura szczęśliwie się zakończy, nowe ich drzwi będą nabijane diamentami słów i lśnić będą siedmiorako tęczami rozkosznych sentencji. Znacznie ich to pocieszyło i pokrzepiło w nich serca. Należało jedynie pilnie czuwać nad tym, aby któryś z przyjaciół nie zjawił się w złą godzinę, zanim się zaczną tłoczyć Mościrzeccy, i by na czarnej tablicy drzwi nie napisał czegoś, co by pierwszego ze zjawionych krewnych mogło przyprawić o nagły obłęd. Każdego wieczora oglądali drzwi starannie, aby je utrzymać w czcigodnym stanie. Uczynili też walny przegląd mieszkania i po głębokiej rozmowie z sumieniem przypomnieli sobie wyborną radę księdza Robaka, który orzekł, że przed zjawieniem się cesarza Napoleona - "trzeba wymieść śmiecie". Wymiatali je starannie z każdego kąta, uczyniwszy przy tej sposobności dziwne odkrycia, a mianowicie: kołnierzyki na piecu i poza piecem, jakieś stare, sieroce spodnie pod szafą, trzysta siedemdziesiąt siedem niedopałków papierosów pod paką, udającą czwartą nogę fotela, a sześć żywych pajaków w pudle klawicymbała. Po dość uciążliwej pracy człowiek mógł w tym mieszkaniu spędzać jakąś godzinę bez abominacji.

Młodzieńców trapić zaczęła niecierpliwa myśl, kiedy się zaczną zjawiać pierwsi goście. Płonęli z wielkiej ciekawości jak łojowe świece i coraz to spoglądali na tajemnicze pismo, lecz ani z niego, ani z zimnej twarzy rejenta nie można było niczego odczytać.

- Jak myślisz? - mówił Jan. - Kiedy się zjawią?

- Ci, co mieszkają w Warszawie - odrzekł roztropnie malarz - powinni się zgłosić jutro, pojutrze. Nie wiem jednak, czy są tu jacy Mościrzeccy, bo bylibyśmy o nich coś wiedzieli. A jeżeli nie my, to ciocia... W spisie telefonicznym nie ma ani jednego, mogą jednak tkwić w okolicach Warszawy.

- A co będzie, jeśli się nikt nie zgłosi?

- Jeżeli będą myśleli, że to jakaś podrywka, i dowiedzą się ubocznymi drogami, że poszukiwani są przez dwóch gołych drapichrustów, wtedy się przyczają. poczekamy miesiąc, dwa, potem we troje: ciocia i my, otworzymy pismo. *Tres faciunt collegium*. Nie myślę jednak, aby się tak stało. Sądząc po nas dwóch, Mościrzeccy odznaczają się wspaniałą inteligencją, szybko więc zwietrzają, że stało się coś nieoczekiwanego i wielkiej wagi. Każdy z nich pomyśli, że skoro tyle pieniędzy wydano na ogłoszenia w gazetach, nie uczyniono tego bez znakomitego powodu. Czy mówię roztropnie?

- Siedmiu mędrców nie mogłoby tego uczynić lepiej. od razu widać, że jesteś potomkiem rejenta...

- Mów: “pana rejenta” - szepnął brat ostrzegawczo. - Mam niejasne wrażenie, że pradziadek podsłuchuje.

- ...pana rejenta! Czcigodnego pana rejenta! - wrzasnął Józef.

- Doskonale. Jak myślisz, kto się zjawi pierwszy? Mężczyzna czy kobieta?

- A czy to nie jeden diabeł?

- Odpowiadasz pytaniem na pytanie, jak ciocia Marta. To wcale nie wszystko jedno, bo moim zdaniem, jeśli do naszej jaskini wejdzie najpierw kobieta, z całej sprawy będzie figa z makiem. Pamiętaj o tym, że jeśli myśliwy spotka przed polowaniem na swej drodze kobietę, od razu zawraca do domu, bo doświadczenie wieków wykazało, że po spotkaniu kreatury damskiego rodzaju nikt nigdy niczego nie upolował.

- Patrzcie, patrzcie!... Trzeba przeto, żeby się pierwszy zjawił jakiś szlachetny mąż. Powiedz mi jednak, bracie rodzony, co się stanie, jeśli pierwszy przyjdzie ksiądz?

- Ha!

- Dlaczego wydałeś dziki okrzyk: ha?!

- Bo wbiłeś mi klina w głowę.

- Jest nadzieja, że klin w wodnistej treści twojej głowy puści zielone pędy. Jakżesz więc będzie z księdzem?

- Musielibyśmy w najbliższym maglu zasięgnąć opinii ludzi bywałych i doświadczonych. Ale, ale! Mam doskonały sposób, aby odczynić uroki i aby się tu zjawił pierwszy Mościrzecki, i do tego nie ksiądz!

- Jakież to sposób?

- Poczekaj... Usiądź w fotelu i przygotuj się na niezwykle odwiedziny. Siadasz?

- Siadam.

- Czekasz?

- Czekam. Jak długo mam czekać?

- Niedługo.

Józio Mościrzecki wdział kapelusz i jedną rękawiczkę, gdyż drugą zgubił w zimie, i zniknął za drzwiami. Po chwili ozwało się pukanie.

- Kto tam? - zawołał Jan.

- Czy zastałem pana Mościrzeckiego? pytał brat Józef wchodząc z ukłonem.

Jan podniósł się z godnością, odklonił się i rzekł:

- Miło mi pana powitać... Nazywam się Mościrzecki... Z kim mam honor? ...

- Ach! Ja nazywam się również Mościrzecki i przychodzę, wezwany przez ogłoszenie w gazecie. Myślę, że jestem pierwszy.

- Istotnie... To dobry znak, proszę pana.

Jedno tylko... Niech się pan nie obrazi, ale zmuszony jestem poprosić pana o jakieś dowody, że pan jest istotnie Mościrzeckim.

- Zupełnie słusznie. oto są moje papiery!

Jan począł pilnie badać podany mu rachunek z pralni i rzekł z godnością:

- Starożytny ten dokument świadczy niezbicie o tym, że pan jest członkiem naszego rodu i potomkiem rejenta... Najczcigodniejszego pana rejenta!... W pierwszej chwili miałem niejakie wątpliwości, za co pana serdecznie przepraszam.

- Jakież to pan miał wątpliwości? - zapytał "gość" wcale groźnie.

- Niech to pana nie dotknie, ale nie podobała mi się pańska twarz... Bo widzi pan, Mościrzeccy odznaczają się wybitną szlachetnością rysów i tryskającą im z oczów inteligencją, tymczasem twarz pańska...

- Kończ pan!

- Dobrze. Otóż twarz pańska przypomina żywo zniekształcone oblicze małpoluda, który niedawno przestał być małpą, a jeszcze nie stał się człowiekiem. Wcale bym się nie zdziwił, ujrawszy pana kołyszącego się na gałęzi kokosowej palmy i drapiącego się kosmatą ręką w polędwicę.

- Ach, ty zatwardziały kretynie! - krzyknął "gość".

Rozejrzał się szybko dookoła, szukając jakiegoś ciężkiego przedmiotu. a nie znalazłszy niczego pod ręką, usiłował ściągnąć but z lewej nogi i cisnąć nim w brata Kaina. Nagle znieruchomiał i rozszerzonymi oczami wpatrzył się w portret pradziadka.

- Widzisz? - szepnął.

- Widzę...

Nieboszczyk rejent spoglądał na nich ze zgrozą i najwyraźniej poruszał potężnym nosem na znak wielkiej alternacji.

- Pradziadek nie zna się na żartach - rzekł cicho Jan. - Trzeba go ułagodzić cichym westchnieniem. Twój pomysł zażegnania uroków był dobry, ale przesadziliśmy nieco we wzajemnej adoracji. Chodźmy stąd, bo ja się naprawdę zaczynam bać.

Wyszli na palcach, ścigani posępnym spojrzeniem rejenta. Postanowili, że w jego, chociaż tylko namalowanej, obecności, zachowywać będą śmiertelną powagę. A ponieważ tej nocy pradziadek nie zleciał ze ściany, był to znak, że niewątpliwie machnął ręką na te niemądre igraszki i już spokojnie czeka wraz z nimi na wielkie rzeczy, które się tu będą działy.

ROZDZIAŁ TRZECI

w którym gdy kto damę spotka, wie od razu, że to ciotka

Zaczęli się jednak z ludzkiego ula wyrażać prawdziwi Mościrzeczcy. Niecierpliwa wieść biegła i trącała jakiegoś Mościrzeckiego, wołając:

“Wstań, opasz biodra swoje i idź czym prędzej na ulicę Zawilą!” - W ten natarczywy sposób obudziła pannę Katarzynę Mościrzecką, mającą wprawdzie lat coś ponad czterdzieści, lecz tak dzielną i zamaszystą, że mogłaby bez większego trudu poprowadzić do ataku pułk gwardii napoleońskiej. Patrzyła na świat bystro szarymi, mądrymi oczami i nic nie mogło jej ani dziwić, ani zatrwożyć. Wyniosłej postawy, silna i, jak można było jeszcze poznać z wybitnych śladów, ongi dorodna, panna Katarzyna sprawiała pośród kruchych niewiast wrażenie potężnego dębu pośród drżących olch.

Kochano ją powszechnie, choć wiele na jej temat czyniono żartów. Mówił ktoś, że gdyby archanioł zgubił trąbę, którą miał wzywać ludzkość na Sąd Ostateczny, poprosiłby uprzejmie pannę Katarzynę, a ona wspaniałym okrzykiem obudziłaby wszystkich zmarłych. Powiadał inny, że gdyby w Zakopanem jakiś szaleniec ukradł Giewont i na jego miejscu postawił wyniosłą tę niewiastę, poznaliby ludzie dopiero po dniach trzech, że z Giewontem jest coś w nieporządku.

Tak bardzo panna Mościrzecka przypominała srogą górę. Opowiadanie, że gdzie uderzyła w ziemię nogą, tam wytryskiwało źródło, uważamy za niejaką przesadę, prawdą jest natomiast, że mogła jedną ręką zarzucić na plecy ciężki wór kartofli. Ponieważ wielu dorodnych młodzieńców pomyślało w swoim czasie, że dziewczyna, która taką potrafi sztukę, mogłaby przez roztargnienie uczynić to samo z własnym mężem, gdyby go miała, nikt się nie kwapił, aby zdobyć tak potężną żonę. Katarzyna Mościrzecka została tedy panną, co jej bynajmniej nie przejęło zmartwieniem. Pracowała niezamordowanie jako nauczycielka, a to było najdziwniejsze dziwo, że ona kochała dzieci ponad wszelkie pojęcie, a dzieci kochały ją jak najlepszą matkę. Sroga panna Katarzyna umiała uśmiechać się tak jak słońce letniego poranka. Głos miała twardy, a serce miękkie. Nogi drżały ze strachu pod dzieckiem, które ją pierwszy raz ujrzało, a po niewielu chwilach to samo dziecko rzucało się w jej ramiona.

Zjawiała się przy ulicy Zawilej jednego poranka, a że w jednej ręce miała walizkę, a w drugiej parasol, kopnięciem w czarne drzwi oznajmiła całemu domowi, że przybył gość. Porwali się w trwodze panowie Mościrzeczcy i witali ją unieżenie, nie wiedząc, kto zacz. A kiedy

głos, grzmiący jak Surma Gradowa, zakrzyknął, że oto przybywa pierwsza z wezwanych, aby się dowiedzieć, po co ją tu z dalekich przywołano stron, poprosił ją Jan, aby przede wszystkim raczyła spocząć.

- Na czym? - z powątpiewaniem zapytała panna Katarzyna. - Przecie to rusztowanie pode mną się zawali!

- Gdyby pani usiadła ostrożnie...

Panna Mościrzecka usiadła i bystrze rozejrzała się dokoła.

- Kurz nie ścierany przynajmniej od miesiąca! - mówiła z żywą boleścią. - Czy wy nigdy nie sprzątaacie?

- Owszem, bardzo często, a około Wielkiej Nocy nawet gruntownie. Niedawno urządziliśmy olbrzymie sprzątanie - odrzekł Józef stropiony.

- A okna czasem się tu otwiera?

- Czemu pani o to pyta?

- Bo tu czuć dymem i myszami. Myszy są?

- Ze dwie, ze trzy... - bąknął Jan chytrze, bo niedawno przysięgli cioci Marci, że nigdy ich tu nie było.

- To dobrze, bo ja bardzo lubię myszy...

Młodzieńcy spojrzeli z jawnym zdumieniem na białogłową, która lubi myszy, a ze zdumieniem jeszcze większym spojrzeli na siebie, kiedy po kilkunastu szybkich pytaniach, przypominających huraganowy ogień wielu dział szybkostrzelnych, o powodach i celach rodzinnego zlotu, oznajmiła im głosem szorstkim jak szorstki ręcznik:

- Zanim się wszyscy zbiorą, upłyną najmniej dwa tygodnie. Tak czy nie? oczywiście, że tak! A musimy czekać na wszystkich. Wobec tego i ja zaczekam, a ponieważ na hotel mnie nie stać, zamieszkać tutaj u was. Jest mi to najzupełniej obojętne, jak i gdzie. Mogę spać nawet na piecu, tylko że się nie zmieszczę. Tam jest jeszcze jeden pokój?

- Tak, ale...

- Co za "ale"? Jakie "ale"? Wy jesteście Mościrzeccy i ja jestem Mościrzecka. Reszta mnie nie obchodzi. Jesteśmy bliskimi krewnymi i nie ja was szukałam, tylko wy szukaliście mnie. Dlaczegoś zbladł jeden z drugim? Za moje utrzymanie zapłacę. Kochajmy się jak Żydzi, a liczymy się jak bracia.

- Chyba na odwrót! - rzekł zuchwale Jan.

- Wcale nie na odwrót. Brat zawsze brata ocygani, byle się tylko zdarzyła sposobność. Ale, ale! Czy się nikt jeszcze nie zgłosił?

- Pani jest pierwsza.

- Możesz, młodzieńcze, nazywać mnie ciotką. Nie będzie to zbyt dużym zaszczytem ani dla mnie, ani dla was, ale tak będzie wygodniej.

Kim wy właściwie jesteście?

- On jest muzykiem - odrzekł ponuro Józef - a ja jestem malarzem.

- Chopin i Matejko, psiakość! - zakrzyknęła panna Katarzyna. - Nie przypuszczałam, że się coś podobnego znajdzie w naszej rodzinie. Mój nieboszczyk ojciec grywał często na trąbie, aby sobie wzmocnić płuca, i trąbił własne kompozycje, ale od tej muzyki można było dostać pomieszania zmysłów. A ty, młody człowieku, możesz mi pokazać któryś z twoich obrazów? - Proszę bardzo... Tam wisi... - rzekł Józef niepewnie.

- Aha! A co to ma być? Wałacy się dom?

- Nic podobnego! To jest twarz młodej kobiety!

- Patrzcie, patrzcie - mówiła jakby do siebie panna Katarzyna. - Twarz młodej kobiety... Może to jest nawet twarz... A dlaczego ona ma jedno oko na czole, a drugie za uchem?

- Bo ja tak maluję, jak widzę - mruknął chmurnie malarz. - To nowa szkoła...

- Stara szkoła też malowała, tak jak widziała - zaśmiała się grubym głosem panna Katarzyna. - Ale ja się chyba na tym nie znam. A gdzie jest ten portret, o którym gadaliście, że zleciał ze ściany?

- W drugim pokoju. Tędy, proszę!

Panna Mościrzecka spojrzała szarym spojrzeniem w oblicze rejenta, a rejent spojrzał na nią chmurnie. Patrzyli sobie w oczy przez dłuższą chwilę, wreszcie ona roześmiała się, a młodzieńcy byliby przysięgli na wszystkie świętości, że i rejent poweselał.

- Czemu się pani śmieje? - zapytał Jan.

- Bo mi wesoło! I wy myślicie, że on nam zostawił skarb?

- Czemuż by nie?

- A ja myślę, że jeżeli go pogrzebano w lichej, sosnowej trumnie, on wycygał od sąsiada metalową i wmówił w nieszczęśnika, że mu wielką czyni łaskę.

Na malowanym obliczu rejenta odbiło się żywe zadowolenie, że go o taką pomówiono bystrość w interesach.

- My jednak jesteśmy głęboko przekonani... - zaczął Jan.

- Słusznie, słusznie! - wtrąciła nowa ciotka. - Myślicie, że rejent zakopał garniec dukatów? Wszystko to być może... Rejenci robili pieniądze, a garncarze lepili garnki. Daj, Panie Boże, abyśmy znaleźli dukaty. Z tym tylko bieda, że pieniędzy może być mało, a

Mościrzeckich może się zgłosić kilka kóp. Jeden dostanie chyba tylko garnek. Ilu nas jest dotąd?

- Czworu. Pani, nasza ciotka Marta Cegłowska i my dwaj.

- Ciotka Marta? Czy to ta, która wszystkich o wszystko pyta i której mało kto odpowiada?

- Ta sama. Czy pani ją zna?

- Owszem, znam. Spotkałam ją przed paru laty i wtedy mnie zapytała, czemu nie palę fajki i czy nie zamordowałam jeszcze żadnego dziecka. Ale to zacna i przedobra kobieta. Zapewne zobaczę ją tutaj przy odczytywaniu pisma nieboszczyka rejenta. Być może, że mnie zapyta, czy przyjechałam do Warszawy konno. Bardzo się cieszę, że ją zobaczę. Chłopcy, czy umieścicie mnie w tym pokoju?

- Skoro nie może być inaczej...

- Nie, nie może być! - odrzekła stanowczo panna Katarzyna. - Rejenta, chociaż zlatuje z gwoździa, wcale się nie boję i może się zdarzyć, skoro jest taki ruchliwy, że on się odwróci do ściany. Musicie wiedzieć, że ja głośno gadam przez sen, a czasami nawet śpiewam. Mówią, że bardzo fałszywie. Niech was to w nocy nie przestraszy. Bardzo wam dziękuję, żeście tacy gościnni i że jeden z drugim nie zemdlał z radości na mój widok. Przyjemnie się tutaj będzie mieszkało. A teraz dajcie mi ścierkę i jakąś szczotkę!

- Czy my mamy szczotkę? - zapytał smutno Jan Józefa.

- Jest, ale to Kaliban. My się od niego trzymamy z daleka...

- Aha! A gdzież on mieszka?

- W podwórzu, na lewo... ostrzegamy jednak...

- Dobrze, dobrze!

Nowa ciotka trzasnęła drzwiami i po głuchym dudnieniu można było poznać, że zbiega po schodach.

- Zdaje mi się, że dom drży! - mówił szybko Józef. - Czemuś się zgodził, aby u nas zamieszkała?

- Spróbuj odmówić!

- Boże Wszechmogący! - jęknął malarz. Co to będzie, jeżeli wszyscy, którzy się zgłoszą, zechcą u nas zamieszkać?!

- O to nie ma obawy, bo nasza nowa ciotunia skręci kark jednemu po drugim. Całe szczęście, że nam Pozwoliła zostać. Cicho, wraca!

Panna Katarzyna powróciła ze ścierką, szczotką i kubłem. Nikt nigdy do najdalszej potomności wiedzieć nie będzie, w jaki sposób ujarzmiła dzikiego słonia, Walentego. Zapewne

spojrzeniem zimnym i stalowym, którym mu zapowiedziała krótką śmierć po długich męczarniach. Nieszczęsny wolał oddać ścierkę i szczotkę niżli życie. Gdyby natomiast obaj struchlali młodzieńcy wiedzieli, co ich czeka, byłiby sami tkliwymi głosami słowików namawiali burgrabiego, aby raczej wybrał męczeństwo, niż działał na ich zgubę, od tego dnia bowiem każdego poranka musieli spełniać straszliwą i ponurą pracę ze szczotką i ścierką. Ciotka Katarzyna wydawała jedynie rozkazy jak murzyńska królowa swoim zastrachanym niewolnikom. Musieli jednak przyznać sprawiedliwie, że ich dobrze karmiono. Dotąd jadali byle gdzie, w podejrzanych garkuchniach, gdzie znalezienie sznurka w zupie, trzech much w sosie lub guzika w cieście należało do zdarzeń tak pospolitych, że nikt z jedzących najmniejszej na to nie zwracał uwagi. Odrzucał sznurek lub przezornie chował guzik i zjadał dalej.

Teraz ciocia gotowała sama - "kucharz doskonały" - oni zaś jako kuchciki spełniali czynności uboczne, nie wymagające błysków geniuszu: obierali kartofle, rozpalali ogień, myli talerze. Czasem w jednym z nich, czasem w drugim wzniosły duch stawał dęba i rżał, dość było jednak jednego szarego spojrzenia panny Katarzyny, aby rozszrony duch podkulił pod siebie ogon i w milczeniu zaczął zmywać garnek. Ciocia miała jednak w tkliwym sercu dość wyrozumiałości i pragnąc im umilić niewdzięczną pracę snuła piękne opowieści głosem przypominającym dalekie dudnienie grzmotu. Po kilku dniach zaczęło im się wydawać, że nową ciotkę znają od wieków, i oto po głębszym namyśle uśmiechnął się najpierw Jan, a zaraz potem Józef. Dowiedzieli się od niej o wielu przygodach z jej żywota, który był pracowity niezmiernie i tak szary jak jej mądre oczy. Muzyk Jan zdumiał się, kiedy ta grzmiąca góra zaczęła rozprawiać o muzyce i o jej nieśmiertelnym pięknie, ludzkości aż po skończenie świata nie przestanie tęsknić dusza człowieka, nasłuchująca niebiańskiej melodii nawet w ciemnej pustce, pośród gwiazd, grających strunami promieni.

Zdumiał się malarz Józef, kiedy ten damski dragon począł rozprawiać o cudach światła, które zdolne jest rzucić tęczę na kałużę, a zmarzłą grudę błota zamienić w diament. Donośnym głosem uwielbiała słońce, bez którego - jak pewien powiedział poeta: "wszystko na świecie byłoby tym tylko, czym jest" - a przeto: szarością, czernią, smutkiem, surową prawdą bez tęczy ułudy, bez precudownej zmienności, bez barwy złotej, srebrnej i purpurowej.

Umiała mówić pięknie i bez wysiłku, a tak prosto i jasno, jak gdyby miała do oznajmienia dobre i radosne jedynie nowiny. Zaczęli jej słuchać z zapartym oddechem, dziwiąc się wielce, że tyle widziała na tej zgrzebnej ziemi i tyle z niej umiała zebrać blasków jak złocistych kłosów. Już im się zmywanie talerzy nie wydało takie nudne i uwłaczające ich skrzydlatej dumie. Z wolna zaczęli mianować ją "ciocią", zaczęli śmiać się razem z nią, choć im się nieraz zdawało, że rejent spogląda na to wszystko wzrokiem złowrogim.

Miała jednak rację ciocia Kasia - (już nie okrutna Katarzyna) - że nie ona pana rejenta, lecz pan rejent będzie się bojał jej. Od czasu jej pobytu w tym domu nie dał znaku Życia. Może kalkulował W mądrej głowie znakomitego kauzyperdy, że nie ci dwaj niedowarzeni młokosi, nie pani Marta, dobrotliwa i niezaradna, lecz właśnie ta mocna i potężna kobieta potrafi rozwikłać jego dzieło, które zamierzył. Ze wszystkiego, co się dotąd zdarzyło, widać było wyraźnie, że się rejent niepokoi i dręczy w zaświatach. Pozostawił potomków, którzy się rozbiegli po świecie, pozostawił pismo, którego nikt nie odczytał, więc się zapewne gryzł w sercu i na rozpaczliwe ważył się imprezy. Teraz krew z jego krwi, kość z jego kości, Katarzyna Mościrzecka, która by mogła, chwyciwszy za szczyty, przybliżyć do siebie góry, dopóty nie spocznie, dopóki swego nie dokona.

Dość długo czekano w domu przy ulicy Zawilej na resztę Mościrzeckich. Z oznaczonego terminu dni trzydziestu ubiegła już połowa, a poza panną Katarzyną nikt się nie zgłosił.

Młodzieńcy zaczęli snuć przypuszczenia, że poza nimi ród wygaś, mądra ciocia natomiast była zdania, że Mościrzeckich musi być wielkie mnóstwo, lecz nie zgłaszają się w obawie, że coś komuś za coś trzeba będzie płacić. Obydwa domysły pisane były na wodzie, po której przyżegłował dnia jednego dziwny ludzki stwór.

Był to młodzian wysoki i nieprzyzwoicie chudy. Przyjemną gębę miał zasianą hreczką piegów, jak gdyby ktoś na niej rozprysnął żółtą farbę. Wesole, niebieskie oczy patrzyły bystro spoza rogowych okularów, które musiały być nieodzownym dodatkiem do tej dziwacznej figury, mogło się bowiem wydawać, że z tej wysokości, na której znajdowała się jej głowa, figura nie zdoła niczego zobaczyć bez szkieł na ziemskich nizinach. Ciocia Kasia potężnego była wzrostu, przybysz jednakże, wyniosły jak maszt, przewyższał ją znacznie, toteż spojrzała na niego z trwożliwym szacunkiem. A on nic - tylko się uśmiechał. Uśmiech tego dryblasa był zgoła czarujący. Wszystko się promieniście uśmiechało na tej fizjonomii: i usta, i oczy, i każdy muskuł, nakrapiany piegami. Stwór ten z wszelką pewnością nie posiadał w sobie żółci i nie był zdolny do uczuć burzliwych i gwałtownych. Wroga, jeśliby mógł mieć wrogów, rozbrajał zapewne tym tkliwym, ślicznym, zniewalającym uśmiechem. Brzydki był jak złośliwa karykatura, a na pierwszy jego widok chciało się wyciągnąć w jego stronę serdecznym ruchem obie ręce i uścisnąć wielkoluda, byle ostrożnie, aby go nie przełamać w połowie jak kruchego patyka. Gdy wszedł do pokoju, uczyniło się w nim jakoś radośnie i miło. Uśmiechnął się nakrapiany wielkolud, a w tej samej chwili uśmiechnął się kościsty dragon - ciocia Kasia. Uśmiechnął się po raz drugi i trzeci, a panowie Jan i Józef odpłacili mu natychmiast tą samą złotą monetą, będącą w wiecznym obiegu wśród ludzi uczciwych i dobrych. Przedziwny

młodzieniec nie mógł mieć więcej ponad lat osiemnaście, i to jedynie mogło budzić niezmierny podziw, że w tak krótkim czasie wyrósł ponad rozsądną miarę.

Głosem miękkim - (i w głosie też miał uśmiech!) - oznajmił, że się zowie Ralf Mościrzecki i że się zjawia na wezwanie, bo strasznie lubi wszelkie awantury, przeczuwa zaś, że się jakaś zdarzy. Urodził się w Ameryce i pewnie dlatego jest taki wysoki, gdyż w Ameryce wszystko jest na wielką skalę. Dziwne imię Ralf otrzymał na pamiątkę chrzestnego w Ameryce, Polaka, Ralfa Modrzejewskiego, nazywanego tam Modjeskim. Obecnie bawi w Polsce, skąd się wywodzi jego ród, przybył do Zakopanego na doroczny zjazd "Polaków z zagranicy". Na te zjazdy przybywają młodzi Polacy ze wszystkich zakątków świata i w ślicznych domkach przy drodze do Doliny Kościeliskiej wymieniają serca i dusze, ten z Australii, tamten z Kalifornii, gdzież jest bowiem taki kąt na tym bożym świecie, gdzie by wiatr jakiegoś nie posiał Polaka? Przeczytawszy ogłoszenie, zjawia się po to przede wszystkim, aby poznać nie znaną rodzinę i opowiedzieć rodzicom w Detroit, że na własne oczy widział innych Mościrzeckich. (Uśmiechnął się jak słońce). - Już widzi troje krewniaków, dwóch wybornych dżentelmenów i jedną niezmiernie miłą lady. - (Uśmiechnął się jak majowy poranek.)

Na kościste oblicze ciotki Kasi wypełznął blady rumieniec. Rzekła potężnie:

- Dotąd nic nie wiem, jakie nas łączy pokrewieństwo, ale może mnie pan... możesz, Ralfie... nazywać mnie ciotką.

- To będzie byczo! - zakrzyknął wspaniały dryblas. - Dobre słowo, nieprawdaż? Nauczylili mnie tego w obozie w Zakopanem.

Pochyliwszy się uściskał nową ciotkę, potem poklepał po plecach najpierw Jana, potem Józefa, wciąż się uśmiechając. Bracia chcieli go powitać w ten sam amerykański sposób, powstrzymali się jednak w ostatniej chwili na ostrzegawczy głos ciotki, że go mogą przypadkiem z wielkiej miłości połamać na kawałki.

Chociaż nikt tego od niego nie żądał, Ralf Piegowaty, wciąż się uśmiechając, pokazał im dokumenty, z których wynikało niezbicie, że jest najprawdziwszym Mościrzeckim, chociaż niewypowiedzianie chudym Mościrzeckim. Pouczony z kolei o powodach natarczywego wezwania na sejm rodzinny, pilnie obejrzał demoniczny portret reagenta, który się świdrującym spojrzeniem wpatrzył w oblicze młodzieńca.

- Ten dżentelmen mi się nie podoba! rzekł Ralf po raz pierwszy bez Uśmiechu.

- Czemuż to? - spytała szeptem ciotka.

- Nie wiem... To znaczy: jeszcze nie wiem.

Jego oczy źle patrzą... A czemu miss ciotka mówi tak cicho?

- Bo nam się zdaje - wyjaśnił go szybko Jan - że on wszystko słyszy i rozumie. Raz zleciał ze ściany, a raz położył się na podłodze.

Niedawno uderzał czymś ciężkim. A ubiegłej nocy słysząc było jakieś gadanie...

- To ja zapewne mówiłam przez sen... - rzekła chmurnie ciotka.

- O key! - zawołał Ralf. - Czy nic więcej nie robił?

- Na razie nic więcej.

Polak z zagranicy pokręcił głową gdzieś wysoko, niemal pod samym pułapem. Poprosił potem najuprzejmiej, aby mu pokazano pana rejentowe pisanie. Obydwaj bratowie podnieśli z trudem trójnog, udający fotel, odwrócili go i z jego brzucha, nadzianego morską trawą i szczątkami sprężyn, wydobyli kalosz, a z kalosza owinięty w jaskrawy gałganek list rejenta.

Ralf Piegowaty i ciotka bez piegów patrzyli na tę operację z nie ukrywanym zdumieniem.

- Musieliśmy to dobrze schować! - rzekł Jan. - Są zawsze na świecie złoczyńcy, polujący na wielkie tajemnice.

- Przecie o tym liście nikt nie wie! - szepnęła ciocia.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi! Ciocia Marta mogła się przed kimś wygadać!...

Ralf ujął ostrożnie poźółkłe papierzyska i obejrzał pilnie ze wszystkich stron. Zbadał pieczęcie i odczytał polecenie rejenta, pisane do potomności, potem zaczął wachać papier.

- Poczul pismo nosem! - zaśmiał się głośno Józef.

- Węchem tego nie odczytasz! - rzekła ciotka.

W tej chwili Ralf Piegowaty kichnął potężnie raz, drugi i trzeci.

- Na zdrowie! - zawołał Jan.

- Dziękuję... Ale to dziwne!

- Co w tym dziwnego? Powąchałeś zakurzony, stęchły papier, więc kichasz.

- Być może, ale to jakiś dziwny kurz. Ten papier wydziela osobliwą woń.

- Ale jaką?

- Czy ja wiem? Powąchajcie sami.

Ciocia wzdrygnęła się i nie chciała zbliżyć nosa do pozagrobowego pisania, natomiast młodzieńcy czynili to z zapalem i zaczęli kichać na wyścigi.

- Zbutwiały papier, kurz i pajęczyny mówiła ciotka z wahaniem. - Oh! oh! - zakrzyknęła nagle, wskazując ręką portret. Patrzcie, patrzcie! Na Boga! Przecież on się uśmiecha!

Musiało się jej coś przywidzieć, zanim bowiem trzej młodzieńcy zdołali się odwrócić, chmurne oblicze rejenta zastygło i nie widać było na nim nawet śladu uśmiechu.

- Ja bym go jednak odwrócił do ściany! rzekł cicho Jan.

- A ja bym odmówiła Wieczne odpoczywanie... - szepnęła ze zgrozą ciotka.

Ralf Piegowaty uśmiechnął się z wdziękiem i machnął ręką. Nie obawiał się duchów i nie wierzył, aby malowidło mogło wyprawiać rozmaite sztuki z twarzą. Ze ściany mogło zlecieć z dziesięciu powodów, tak jak z dziesięciu powodów trzeszczy w nocy szafa, nic w tym jednak nie ma nadzwyczajnego. Należy przeto list rejenta ukryć znowu w kaloszu z lewej nogi i czekać sposobnej chwili, w której się wszystko wyjaśni i kiedy na wołanie jednego nieboszczyka Mościrzeckiego zjawią się wszyscy żywi Mościrzeccy. Na razie uśmiechnięty Ralf musi sobie znaleźć jakieś legowisko, w którym znajdzie się łóżko, odpowiedniej dla niego długości.

- Jestem bardzo nieszczęśliwy - mówił wesoło - bo zawsze muszę spać skurczony. Nie mogę spać w pociągu w sypialnym wozie, gdyż nogami, które wystawałyby poza okno wagonu, zaczepiałbym o słupy telegraficzne. Najwygodniej by mi było spać stojąco w kącie pokoju. Czy nie wiecie, mili krewniacy, gdzie bym się mógł przytulić w Warszawie? W hotelu byłoby mi samemu smutno.

Młodzieńcy, którym Ralf niezmiernie przypadł do serca, wyrazili głęboki żal, że go nie mogą pomieścić u siebie, w mieszkanku już przeludnionym, mają natomiast wiernych przyjaciół, z których każdy będzie szczęśliwy, mogąc ugościć tak uroczego młodziana z dalekiego miasta Detroit. Po długiej naradzie los padł na pewnego malarza mieszkającego w pobliżu.

Ciocia została z rejentem, chłopcy zaś powiedli Ralfa w triumfie na szóste piętro straszliwego domu, rojnego jak ul, tym się jednak różniącego od ula, że nie pachniał miodem.

Przyjaciół malarz, ujrawszy maszt w ludzkiej postaci, najpierw szeroko otworzył oczy, potem je zamknął, po czym je znowu otworzył.

- Dżentelmenie - zapytał wreszcie uprzejmie. - Co tam słyhać w wyższych sferach?

- Nic nowego - odrzekł Ralf ze słodyczą. - odpowiedział malarz. - A jak się pan czuje na dolinach.

- Pod zdechłym psem! - odpowiedział malarz. - Czy pan przyszedł kupić mój obraz?

Ralf obwiódł spojrzeniem obwieszone obrazami ściany i rzekł:

- Niestety, nie jestem ślepy!

- To doskonale! - zawołał malarz z zachwytem - bo to nie są moje obrazy, tylko moich przyjaciół. Ale, ale! Niech pan zatłucze tego pająka na powale, bo się bydlę ze mnie naigrawa, że go nie mogę osiągnąć... Wybornie! Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co...

Teraz dopiero zaczęli się witać bardzo ceremonialnie, kiedy zaś Mościrzeccy wyjawili cel wizyty, malarz znalazł się w siódmym niebie.

- Świetnie się składa, drogi panie. Mieszka nas tutaj siedmiu, ale wczoraj jeden wyjechał, więc byłoby nam smutno w takiej samotności. Zawsze co siedmiu, to nie sześcioro. Braci Śpiących też było siedmiu. Więc pan pochodzi z Ameryki? Patrzcie, patrzcie! Czy to prawda, że tam ludzie chodzą głową na dół?

- Zdarza się - odrzekł Ralf z powagą. u nas opowiadają to samo o was.

- Aha, to bardzo ciekawe! A czy pan uwierzy, stary tomahawku, że ja nigdy nie paliłem amerykańskiego papierosa ?

- Serce mi się kraje! - zawołał z głęboką rozpaczą Ralf Piegowaty. - Służę panu...

- Bracie rodzony! - krzyknął malarz chwytając papierosy. - Morowy z pana chłop, a ja z wdzięczności nigdy pana nie namaluję, bo rodzona matka nie poznałaby pana. Gdzie pan chce spać? W tym pokoiku to niemożliwe, bo się pan nie zmieści, ale w pracowni jest przestronnie. Wprawdzie od roku nikt tam nigdy nie zamiatał, ale nikt nigdy nie miał na to czasu. W swoim kącie może pan jednak robić, co się panu podoba. Może pan nawet kupić sobie kozę, byle nie włąziła na obce tereny.

Wesoły Ralf był serdecznie zadowolony z nowego mieszkania i sześcioro nowych przyjaciół, przyjemnych urwipołciów, którzy mu zaproponowali założenie wędrowniej panoramy, aby go jako wielkoluda pokazywać za grube pieniądze. Okupił się jednak niezliczoną ilością już polskich papierosów i piwa, co skłoniło ku niemu wszystkie serca i zdobyło mu szeroki rozgłos. Codziennie rano zdążał na ulicę Zawilą, gdzie sprawy coraz bardziej stawały się zawile. Rejent wisiał zły i chmurny i nie dawał znaku życia, uporczywie wpatrując się w fotel, kryjący jego wielką tajemnicę. Ciocia niecierpliwiła się, a dwaj bracia nasłuchiwali kroków na schodach.

Dnia jednego oznajmiono im wielką nowinę, że się nowi Mościrzeccy ukazali na zamglonym widnokregu. Jedną była panna Janina Mościrzecka, sierota, córka maszynisty, który zginął w katastrofie kolejowej, jakieś smutne, śmiertelnie zapracowane biedactwo. Następnie zjawił się Alojzy Mościrzecki, aptekarz, człowiek kłótlivy i szukający na każdym kroku awantury, co było dziwne, aptekarze bowiem odznaczają się zazwyczaj usposobieniem łagodnym i raczej wzniosłym, krzątając się bowiem przez całe życie w pobliżu śmierci, stali się na poły filozofami. Na dzień następny zapowiedziała się na godzinę dwunastą wdowa, Zofia Klementyna Mościrzecka, zgłaszająca się w imieniu małego synka, Macieja.

- A kiedy walne zgromadzenie? - spytał Ralf.

- Jeśli się w ciągu tygodnia nikt więcej nie zgłosi - odpowiedział Jan - to za tydzień. Przyjdiesz jutro?

- Oczywiście, o dwunastej!

- A jak ci się mieszka?

- Jak u Pana Boga za piecem. Nie wiecie, czemu się tak mówi? Czy u Pana Boga jest piec?

- Musi być - rzekł Józef. - Skąd pada śnieg? - Z nieba. Więc i w niebie musi być czasem zimno.

- Nie gadajcie głupstw! - wtrąciła się ciocia. - Za takie gadanie będzie wam gorąco, ale w piekle.

- Będziesz najwyższym diabłem, przyjacielu Ralfie - szepnął Jan.

Nazajutrz, punktualnie o godzinie dwunastej, ozwało się nieśmiałe pukanie do drzwi. Ralf, który się usadowił naprzeciwko konterfektu rejenta, uśmiechnął się szeroko, gdyż mu się wydało, że ze wszystkich oczekujących zjawienia się nowych Mościrzeckich najżywsze zajęcie okazywał rejent. Ralf byłby przysiągł, że zastrzygł uszami i uporczywie namalowane oczy zwrócił w stronę wejścia. Ubawiony śmiesznym złudzeniem zaśmiał się - głośno wprawdzie, ale jakoś niepewnie. Ten donośny śmiech powitał wchodzących, Jan bowiem zdążył już otworzyć drzwi.

Do pokoju weszła pani jeszcze młoda, a już zupełnie siwa. Na pięknej, nieomalże bardzo pięknej twarzy, znać było jak gdyby na zawsze zrosłe z nią cierpienie. Nieuchwytny smutek, jak cieniutka, pajęczej misterności zasłona, przesłaniał jej jasne, szczere spojrzenie i bladą twarz o zarysach najszlachetniejszej kamei. Widać było, że przybywając do grona nie znanych ludzi, pragnie z dużym trudem zdobyć się na uśmiech, uśmiech ten jednak bledziutki i ledwie widoczny wyglądał jak nikły kwiat w łożdce smutku, kwiat, co się rozwinął i natychmiast opadł, zwiędnięty. Uśmiechnęły się zaledwie jej drobne usta, twarz jednak owita była jakby tchnieniem mroku. Poznać było można od pierwszego wejrzenia, że jakieś wielkie przeorało ją cierpienie.

Weszła, wiodąc za rękę chłopczynę, co mógł mieć lat dziesięć. Był to piękny syn tej pięknej matki, a urok dziecka pomnażał jeszcze tę niezwykłą piękność. Chłopak był dosłownie prześlizgny, dorodny i zgrabny. Płowe włosy Ziemowita, Piastowego syna, miał równo obcięte nad czołem. Wydawał się cudownym hetmańskim pacholęciem. Odziany był w ubranko schludne, lecz wytarte i wypłowiałe. Niemal kurczowo trzymał się matczynej ręki i stąpił jakby niepewnie.

Młodzieńcy skłonili się nisko, a ciocia Kasia, zerwawszy się szybko z krzesła, wyciągnęła rękę do pięknej pani, wymawiając swoje nazwisko i zaczęła wyliczać imiona trzech młodzieńców, położyła rękę na jego płowej głowie i rzekła tkliwie:

- Jak się masz, maleńki!

Chłopak drgnął i przylgnął nagłym ruchem do boku matki, a jej twarz w tej chwili stężała. Westchnęła i rzekła cicho:

- Maciusiu, przywitaj się z tą dobrą panią... Podaj jej rączkę...

Ciocia Kasia przyjrzała się pilnie twarzyczce dziecka i nagle wyszeptala zdławionym głosem:

- O Matko Święta!

Matka chłopaka położyła ostrzegawczo palec na usta, błagając o milczenie. Tak. Ciocia Kasia zdołała spostrzec, że chłopczyna jest ślepy, choć oczy ma otwarte. Zaczęło ją coś dławić w gardle i w jej widzących oczach ukazały się wielkie łzy. Załamała ręce w bezgłośnie rozpacz na widok tej grozy. Stali tak wszyscy oniemiały i jakby porażeni. Po dłuższej dopiero chwili panna Katarzyna drgnęła, nagłym, energicznym ruchem otarła łzy i przyklękawszy objęła chłopca ramionami. Usiłowała przemawiać łagodnym szmerem głosu, najpierw niepewnie, potem coraz żywiej, pragnąc każde obolałe słowo ozłocić uśmiechem.

- Ja jestem twoją ciocią, Maciusiu... Ty mnie nie znasz, ale ja ciebie znam... Ty jesteś nasz kochany Maciuś... Prawda? Nie bój się, synku drogi!... Mamusia po to cię przyprowadziła, abyś mnie poznał i trzech bardzo Śmiesznych twoich kuzynków... Wszyscy są strasznie dobrzy i wszyscy się w tej chwili do ciebie uśmiechają...

Tyle było tklivości, rzewności i słodkiej dobroci w głosie tego dragona, jej dotyk był tak łagodny i miękki, że chłopczyk odjął powoli jakby i ostrożnie ręce, które wpił w suknię matki, i począł prawą ręką dotykać szorstkiej, kościstej twarzy tej dziwnej kobiety . która przemawia tak czule. Błądził palcami po włosach i po jej policzkach, a nagle się wzdrygnął i powiedział cicho:

- Masz mokre oczy...

- To nic, to nic... - mówiła zdyszany, gorącym szeptem ciocia Kasia. - Rozplakałam się z radości, że cię widzę, mój maleńki... A teraz twoja mamusia usiądzie, a ty, Maciusiu, przywitasz się z trzema panami, którzy się tak nazywają, jak i ty. Jeden przyjechał aż z Ameryki...

- O, z Ameryki! - uradował się chłopak. Proszę pani, gdzie on jest?

- Tutaj, tutaj! - zawołał zdławionym głosem Ra1f. - Tutaj jestem!

Drżał zacny Ralf Piegowaty, zbliżając się do chłopca. Śmiał się całą gębą, ale dziwnym, cokolwiek pomylonym śmiechem.

- Musisz wiedzieć, Macieju dobrodzieju, że ja jestem strasznie wysoki. Cha, cha! Gdy mi kto chce coś szepnąć do ucha, musi przystawić drabinę.

- Nie może być! - śmiał się chłopczyk. - i co jeszcze? Jaki jesteś wysoki?

A wielkolud zaczął bredzić:

- Jaki wysoki? Straszliwie! Raz jeden niemądry bocian chciał na mojej głowie uwić gniazdo, bo myślał, że to szczyt drzewa.

- Bocian?

- Tak, bocian! A innym razem, kiedy spałem w Ameryce na łące, przyszli jacyś ludzie i chcieli mnie śpiącego wkopać do dołu, bo myśleli, że znaleźli słup.

- A ty uciekłeś?

- Ja nie, tylko oni uciekli, kiedy słup do nich zagadał.

- To świetnie! Ale czy ja mogę dotknąć twojej twarzy?

- Oczywiście...

- A czy tu jest drabina? - zapytał Śmiejąc się chłopczyk.

Wszyscy się uśmiechnęli, a najgłośniejszym, zaraźliwym śmiechem, śmiał się Ralf.

- Drabiny nie ma, ale ja przyklęknę... Nie, to nic, bo choćbym ukląkł, jeszcze będę taki wysoki jak piec. Ale ja się położyę! Będę leżał przez całą długość pokoju, a nogi wyciągnę do przedpokoju. Proszę o miejsce, panie i panowie.

Z rumorem i trzaskiem zwałił się na podłogę i wyciągnął ręce w stronę chłopczyka.

- Oto masz moją gębę! - wołał ze śmiechem.

Maciuś lekko przebiegł po niej palcami, dotknął ust i oczów, a po niejkiej chwili rzekł z powagą:

- Ale ty musisz być śliczny!

Ralf Piegowaty zaczerwienił się jak panienka, tak że nawet sto tysięcy trzysta pięćdziesiąt pięć piegów znikło pod tą czerwienią.

- Owszem - mówił - są tacy, którzy też są zdania, że jestem śliczny. Ale tylko w Ameryce - dodał z żalem. - Ha, Maciusiu najdroższy, pójdź w moje objęcia!

Chwycił uszczęśliwionego chłopca w objęcia i pocałował go całować. Potem go w - Znajdujesz się na straszliwej wysokości, bo ponad piecem!

- Nie może być! - śmiał się Maciuś.

- Mógłbym cię podnieść wyżej, ale nie można, bo powała przeszkadza.

- Maciusiu, męczysz pana... - rzekła matka.

- Wcale nie! - wołał Ralf z wysokości.

A teraz, drogi przyjacielu, przybliżę cię do dwóch straszliwych gęb. Daj rączkę! Dotknij... To oblicze, które nie jest ani w części tak nadobne, jak moje, należy do jakiegoś Józefa, który mi sięga do brzucha. To bardzo dobry twój wujaszek. Wiesz, co on robi? Namaluje twój portret, bo to malarz.

- Co to portret? - zapytał niepewnie chłopczyk.

- On tak robi, że jeden Maciuś będzie żywy, a drugi, zupełnie taki sam, namalowany na płótnie.

- To bardzo śmiesznie!

Ralf uczynił krok i gadał dalej, szczęśliwy jak nigdy.

- A tu jest druga twarz. To wujaszek Jan. Nie bój się, możesz go dotknąć, bo on nie kąsa. Czasem tylko zgrzyta zębami, ale przez sen. Wujaszku Janie, czy nie ugryziesz naszego Maciusia?

- Nigdy! - wrzasnął Jan.

- I kochasz go?

- Strasznie go kocham, więcej niż ty!

- To niemożliwe! - zawołał Ralf. - Słyszysz, złoty Macieju? On twierdzi, że kocha ciebie więcej niż ja.

Ślepy chłopczyk zmarszczył na chwilę czoło, jakby nad czymś rozmyślał, po czym nagłym ruchem otoczył rękami szyję nowego, takiego cudownego przyjaciela, i zaczął go całować. Błyskawica szczęścia przewinęła się złotym błyskiem wśród piegów Ralfa. Przycisnął dziecko do chudych piersi i tak trwał.

- Maciusiu... - szeptał. - O, mój Maciusiu...

Potem, jakby go lekki chwycił oblęd, począł tańczyć ze swym brzemieniem i płaśać jak Dawid przed Arką.

- Zagraj im, Jasiu! - krzyknął ze Śmiechem malarz.

Jan podskoczył do fortepianu, dosiadł go jak rumaka i zdawało się, jakoby wbił w niego ostrogi. Klawicymbał, poznawszy jeźdźca, runął w cwał z grzmotem dźwięków.

W tejże chwili Ralf poczuł, że z dzieckiem dzieje się coś dziwnego: chłopczyk rozluźnił ręce i jakby odrętwiały skierował martwe oczy w tę stronę, w której wytryskała muzyka. Zdumiony Ralf spojrzał pytająco na jego matkę, a pani Zofia dała mu szybki, milczący znak, aby usiadł przy niej. Uczynił to natychmiast, nie wypuszczając dziecka z ramion.

Maciuś miał w tej chwili twarz skupioną, zasłuchaną i wniebowziętą. Zdawało się, że zapomniał o wszystkim i o wszystkich. Rozchylił usta, jak gdyby i ustami łowił każdy dźwięk.

Jego matka podniosła się, zbliżyła się na palcach do fortepianu i nachyliwszy się szepnęła kilka słów do grającego Jana. Jan skinął głową i z niezwykłą biegłością ściszył skoczną melodię, potem jak gdyby ją zdmuchnął. Po kropce milczenia zaczął grać znowu.

Ralf poczuł, że chłopczyna drgnął. Spojrzał na jego twarzyczkę, w tej chwili anielsko piękną. Maciuś zakrył powiekami zamarte oczy, przechylił w tył głowę i słuchał całym sobą.

Nie było większego szczęścia na ziemi ani na niebie. W tym dziecięcym, upojonym zasłuchaniu było coś tak pięknego, że Ralf nie śmiał oddychać i usiłował uciszyć mocno bijące serce.

Malarz stał nieruchomo oparty o fortepian i nie mógł odjąć wzroku od tego zasłuchanego dziecka. Jakież to nieszczęśliwe dziecko i jak bardzo w tej chwili szczęśliwe! Pan Bóg chciał mu widać wynagrodzić rozpacz ciemności i na tej duszyczce złote struny jak na lutni, a każda dźwięczała tym samym dźwiękiem, co drżał w powietrzu.

Muzyk jak gdyby przeczuwał, że gra przed niezwykłym słuchaczem, dla którego muzyka jest całym ogromnym światem, pełnym cudów, grał jak nigdy. Skupiony i blady dotykał klawiszów jakby z czułą miłością. Zdawało mu się, że gra na sercu tego najbiedniejszego dziecka, więc go nie może zranić uderzeniem fałszywym ani nutą dręczącą. Grał melodię własną, narodzoną w tej chwili, śpiewającą miękko jak wiosenny wiatr.

Słuchaj, słuchaj, biedny chłopczyno! I ty, który nie widzisz, zobaczysz: trawy szmaragdowe, pośród których wije się gadający strumień, złote blaski na wodzie, rozszumiane drzewa, usłyszysz cichutkie głosy z niebieskiej oddali, niosące się przez powietrze.

Ciocia Kasia, siedząca nieruchomo, głęboko zadumana, położyła w pewnej chwili kościstą rękę na ręce biednej matki. Poglądziła ją leciutko i miękko. Obie kobiety znały się zaledwie od godziny i nie wiedziały o sobie nic ponad to, że jedna z nich jest bardzo nieszczęśliwa. Ale tego było dość, bo i po cóż więcej? Pani Zofia spojrzała głęboko w szare oczy cioci Kasi i nie mogąc ukryć wzruszenia, załkała cicho.

A stara panna szepnęła cichutko:

- Nie płacz, biedactwo, nie płacz... Bóg jest bardzo... Bóg jest bardzo miłosierny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

w którym uśmiecha się miłość, a pognębiona zbrodnia zgrzyta zębami

Alojzy Mościrzecki, aptekarz z zapadłego miasteczka, wpadał na ulicę Zawilą trzy razy dziennie i wyprawiał srogie awantury. Co to wszystko znaczy? Czy młokosy chcą sobie z niego zakpić? Na kpiny nie pozwoli, gdyż jest człowiekiem poważnym i szanownym i nie wypadł sroce spod ogona. Kiedy się to wszystko skończy? Pan aptekarz nie ma czasu i nie myśli nazbyt obłąkanej Warszawie, burego psa. Wzywa innych członków rodu, bo kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi. Skisły gniew bulgotał w nim ciężko jak lawa. Aptekarz bladł i czerwieniał, a czasem tupał nawet nogami, aby ich porazić i przerazić.

- Przypominam panu, że znajduje się pan w obecności kobiety! - zwróciła mu cierpko uwagę ciocia Kasia.

Aptekarz spojrzał spoza okularów z jadowitym grymasem na obliczu. Nie rzekł nic, jasnym jednak było, że ironicznym spojrzeniem odmawia jej tej wysokiej godności. "Ładna mi kobieta - zdawał się mówić - która by mogła wziąć szafę na plecy jak Samson bramę miasta Gazy i wynieść ją za miasto!"

- Wolę już patrzeć na rejenta! - mruknęła panna Katarzyna i odwróciła się z hałasem.

Młodzieńcy usiłowali ułagodzić tygrysa, który sprzedawał kmiotkom olej rycynowy .

- Musi pan poczekać tak jak my wszyscy... Czytał pan pismo rejenta... Musimy dotrzymać warunków... Od dnia dzisiejszego za tydzień otworzymy testament.

- A cóż ja będę robił przez tydzień, ha?! wrzasnął pan Alojzy.

- Niech pan ogląda warszawskie apteki... poradził mu Jan.

- Żeby mnie z zazdrości nagła krew zalała! Niczego nie będę oglądał! Zapowiadam natomiast, że do tej części majątku, która na mnie z prawa przypadnie, doliczę koszty mego pobytu w Warszawie. Słyszysz pan? Zapisuję każdy wydany grosz! Każdy grosz! A to kto znowu?

Jeszcze jeden wspólnik do majątku? - zapytał z gorzką niechęcią, ujrawszy wchodzącego Ralfa.

- Mościrzeckich jest tylu, co słoików w wielkiej aptece - odezwała się, spoglądając przez ramię, panna Katarzyna.

Aptekarz zabił ją spojrzeniem jednego oka, a pociskiem z drugiego usiłował uczynić to samo z Ralfem.

- Czemu się pan śmieje? - krzyknął z nagłą pasją.

- Bo dzisiaj jest wtorek - odrzekł Ralf uprzejmie. - Dla mnie każda sposobność jest dobra... Witam pana! Jak się pan miewa?

- A co to pana obchodzi?

- Nic a nic, ale u nas w Ameryce jeden drugiemu zadaje takie pytanie przy spotkaniu. To pan jest aptekarzem? Bardzo się cieszę, że pana spotkałem...

- Nie widzę powodu do radości...

- Niech pan spojrzy na moją twarz, a zobaczy pan ten powód. Cieszę się, bo może pan jako aptekarz posiada jakiś dobry środek przeciw piegom.

Pan aptekarz nieco złagodniał i odrzekł chmurnie:

- Na piegi nie mam, bo w mojej okolicy nie widziałem piegów. Posiadam natomiast wyborny środek na porost włosów. Ale tego w tym towarzystwie nikomu nie potrzeba... Żegnam panów! Dzisiaj wyjadę i za tydzień się zgłoszę, a jeśli i za tydzień nic się nie stanie, udam się o pomoc do policji.

- Na Boga! - krzyknął Ralf. - Niech pan tego nie czyni. Dlaczego niewinni ludzie mają kończyć życie w więzieniu?

- Pan skończy życie w zakładzie wariatów! - wrzasnął aptekarz i trzasnął drzwiami.

- Nigdy nie pójdę po lekarstwo do jego apteki - mówił z boleścią Ralf. - Zamiast rumianku dałby mi strychniny. Nie widziałem dotąd tak zgorzkniałego aptekarza... Ale co to ja chciałem powiedzieć? Prawda! Otrzymałem list od ojca, który posiada jedynego piegowatego syna. Napisałem mu o wszystkim bardzo dokładnie, co go musiało bardzo ubawić. Mój stary to wesoły człowiek, który zrobił wielki majątek, bo wynalazł butelki grające wojskowe marsze, kiedy się z nich nalewa. To lepszy wynalazek niż ten, o którym opowiadają Francuzi. Pewien sprytny mąż ogłaszał, że wynalazł filiżanki dla jednorękich z uszkiem z tej strony, po której pijący jegomość ma rękę...

- O, nieporównany kretynie! - zaśmiał się Jan.

- Jesteśmy bardzo bliskimi krewnymi odrzekł Ralf ze słodyczą. - Otóż mój ojciec pisze, że mogę zostać w Polsce, jak długo mi się podoba, i że w sprawie z testamentem rejenta mogę też postąpić, jak mi się podoba. Przysłał mi urzędowy papier. Wcale za mną nie tęskni, gdyż pracuje nad nowym wynalazkiem, na którym zarobi nowe miliony.

- Jakież to wynalazek!

- Buty oświetlone elektrycznością i oświetlające drogę. To genialny człowiek! Usiłowałem coś podobnego zrobić na własną rękę i jeden wynalazek bardzo mi się nawet udał,

ale mi zabrakło kapitału. Wynałazłem mianowicie takie zapalki, które główki mają z przeciwnej strony niż zapalki dotąd używane.

- Krwi! Krwi! - wrzasnął Józef i cisnął w Ralfa poduszką.

- Czy ciocia poświadczy w sądzie, że mnie tutaj chciano zabić? - spytał Ralf ponuro.

- Bardzo chętnie! - odrzekła ciocia Kasia ze śmiechem. - Ale powiedz mi, drogi chłopcze, urodzony w Ameryce, jak to się stało, że mówisz po polsku tak bezbłędnie?

Ralf spoważniał.

- To zasługa mojej matki. Nie było takiej chwili, aby o tym zapomniała. Czytaliśmy razem głośno, modliliśmy się głośno. Najcierpliwszy nauczyciel nie tępi tak chwastów w niechlujnej mowie uczniów, jak ona to czyniła i bez wytechnienia dotąd czyni. I dlatego też wysłała mnie do Polski, abym się napił wprost ze źródła. To cudowna, złota matka!

Ciocia Kasia rzekła w zadumie:

- Czy wiesz, mój drogi, co powiedział pewien mądry pisarz? Powiedział tak: "Ponieważ Pan Bóg sam nie może być wszędzie, więc dlatego stworzył matkę!"

- Stworzył też i ojca z kijem, chociaż nie oświetlonym elektrycznością. Mój papa kąpany jest w gorącej wodzie, ale poza tym jesteśmy w serdecznej przyjaźni. Bardzo jest dumny z mojego wzrostu, ale zawsze powiada z wielką miłością, że jeżeli nie będę dobrym Polakiem, to mnie skróci o głowę.

- Będzie długo szukał! - mruknął Józef.

- Czy ciocia słyszy, jak tu oczerniają najbliższych krewnych? Aha! Byłem dzisiaj rano z wizytą też u bliskich krewnych, ale dobrze wychowanych. Odwiedziłem panią Zofię i Maciusia...

- I co, i co? - zapytała gorąco ciocia.

- Nic nadzwyczajnego... Nędza z biedą, głodem i chłodem. Pani Zofia ożywiła się nieco, gdyż ma nadzieję, że może coś wyniknie z tej awantury ze spadkiem. To cudowna kobieta! Całe szczęście, że Maciuś nie może widzieć, jak ona odejmuje sobie od ust, aby jego nakarmić. Mieszkają u jakiejś kuzynki, dobrej, starej kobiety, która uwielbia Maciusia. Pojęcia nie macie, co to za niezwykły chłopak! Wyrośnie z niego jakiś muzyczny geniusz. Pani Zofia zarządzała do niedawna wielkim domem na wsi, gdzie był fortepian, i dziecku pozwalano na nim grać. Dusza tego chłopczyny rwie się do fortepianu... Przez cały czas moich odwiedzin skomlało biedactwo, aby tu przyjść i posłuchać muzyki.

- Czemuś go nie przyprowadził, podły Jankesie! - krzyknął Jan.

- Dlatego, że jest to dziecko niezmiernie muzyczne i tęskni do dobrej muzyki...

Uwaga! Jeśli rzucisz we mnie tym wazonem, ja cisnę w ciebie szafą! Nie wziąłem go ze sobą,

bo deszcz leje. Zresztą mam lepszy pomysł. Chłopca trzeba uczyć grać, a jakże będzie grał, skoro nie ma na czym. Więc już w najbliższym czasie będzie miał pianino.

- Pianino? Skąd?

- Skąd? A czy ja wiem? - mówił Ralf niepewnie. - Spotkałem jednego znajomego, który jest bardzo bogaty... Tak, właśnie tak... Powiadam mu: "Proszę pana, czy mógłby pan kupić pianino biednemu, ślepemu chłopczykowi?" - Dosłownie, tak powiedziałem... - A on odpowiada: "Ależ bardzo chętnie!" - Więc się tym bardzo ucieszyłem i powiedziałem mu...

- Nie wiedzieliśmy, że masz w Warszawie znajomych... - przerwał mu Jan, patrząc na niego przenikliwie. - Któż to taki?

Ralf odparł niechętnie:

- Mało go znam... Taki z brodą, gruby i niski... Dobry człowiek...

- A gdzie go spotkałeś? - pytał Jan uporczywie.

- Zdaje mi się, że na Marszałkowskiej. Po co mnie tak badasz? Czy nie wolno dobremu człowiekowi pożalować biednego dziecka?

- Wolno, wolno! Ale po kiego licha ten dobry człowiek! że jak najęty! Ralfie najdroższy! Ty dobry człowieku z brodą, człowieku gruby i niski! Czemuś ponadto nie dołgał, że ten brodaty grubas ma na twarzy cerę jak brzoskwinia? Wszystko umiesz, ale kłamać nie umiesz! Gadaj zaraz! Kupiłeś już pianino?

- Jeszcze nie - odrzekł Ralf nieśmiało. Chciałem ciebie właśnie prosić o pomoc, abyś wybrał najlepszy instrument. A łąłem, bo po co kto ma wiedzieć, że to ode mnie? Mój stary przysłał mi taki czek, że mógłbym kupić całą Filharmonię... Pianino to fraszka! Będiesz go uczył, stary Janie?

- Oczywiście, że będę, amerykańska fujaro!

Wiesz, że cię kocham?

- I ja! - krzyknął Józef.

- I ja! - grubym, cokolwiek drżącym głosem rzekła ciocia Kasia. - Bóg ci to wynagrodzi, drogi chłopcze... A wiesz, co ja zrobię? Kiedy zakończymy tę całą sprawę, zamieszkać w Warszawie i wezmę ich do siebie. Biedna pani Zofia nie da sobie rady z niewidomym dzieckiem, a ja dzieci uwielbiam. Gdyby to było możliwe, pomogłabym im już teraz, ale cóż...

- Cioteczko - ozwał się głos na wysokościach - nie trzeba!... Spotkałem jednego znajomego...

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

- Nie powiem już ani słowa! - rzekł Ralf obrażony.

- O najcudowniejszy mandrylu! - wołał Jan. - Gdybym mógł skoczyć na piec albo na szafę, ucałowałbym twoją piegowatą gębę.

- Gardzę czułościami pawianów - odrzekł Ralf ponuro. - Ale proszę o ciszę, gdyż jeszcze nie skończyłem.

- Coś ty jeszcze zmalował? - zapytał Józef.

- Coś lepszego niż twoje obrazy... Czy ciocia słucha w dalszym ciągu, jak mnie, rodaka, bezustannie znieważają w ojczystym kraju? Ale jestem wyższy ponad to! Otóż słuchajcie. Ponieważ mam wiele czasu, odwiedziłem jeszcze jedną kuzynkę.

- Jaką, do stu par Mościrzeckich?!

- Pannę Janinę...

- Aha, tę, co się niedawno zgłosiła... A skąd znalazłeś jej adres?

- Tępy Europejczyk szukałby długo i może nadaremnie, bystry Amerykanin natomiast odczytał jej adres tu, na tym piecu, na którym go ty sam, młody, lecz obiecujący bęcwale, zapisałeś.

- Ha! - zdumiał się Jan. - Istotnie, zapisałem wszystkie adresy na piecu. Patrzcie, patrzcie! Na oko nakrapiany podczłowiek, a w rzeczywistości Nick Carter, amerykański detektyw! I cóż to za stworzenie ta panna Janina! Wiemy o niej bardzo mało...

Ralf usiadł z namaszczeniem, wpatrzył się w powałę, jak gdyby sobie wszystko na niej zanotował, i zaczął mówić z nabożnym przejęciem:

- Ma oczy koloru orzecha, które są czasem złote, kiedy się w nich odbija jakiś blask włosów... Widzieliście jej włosy?

Jan trącił łokciem Józefa i zmrużył figlarnie lewe oko. Ciocia patrzyła na Ralfa z zaciekawieniem.

- Włosy jej - bredził Ralf westchnąwszy - przypominają dojrzałe zboże. Przecudowne włosy! A głos ma niski, głęboki, aksamitny... Wielki muzyk wydobywa taki głos z wiolonczeli... Człowiekowi łyzy się cisną do oczów, kiedy słyszy taki głos... Ręce ma długie i wysmukłe...

- Nam się zdawało, że ma odrobinę zadarty nos... - bąknął Jan, mrużąc łajdacko na odmianę prawe oko.

- Zadarty? - zdumiał się Ralf. - Może być, ale cóż z tego? Zadarty troszeczkę nos może być też śliczny! Znamionuje usposobienie pogodne i wesołe. Ha! A jakież to nos miał Kościuszek? - dokończył zaczepnie.

- Pan Naczelnik Kościuszek nie był panienką...

Ralf spojrział na Jana, jak gdyby się nagle obudził z pięknego snu i wyglądał cokolwiek nieprzytomnie. Muzyk tymczasem oblekł przezornie fizjonomię w dostojną, stateczną, pełną zadumy powagę. Miał taką minę, jakby wzniosłe rozważał sprawy wzniosłe, wobec tego uspokojony Ralf zakończył treściwie:

- W życiu moim nie widziałem piękniejszej dziewczyny!

- Nawet w Ameryce? - zdumiała się szczerze ciocia.

- W Ameryce? Tam nie można odróżnić jednej od drugiej, bo wszystkie namalowane są wedle jednego wzoru. Chińczyków i amerykańskich pań nikt od razu nie rozezna. A w Polsce jest tyle prześlicznych dziewcząt, że można by nimi obdzielić cały świat, a przecież każda jest inna, w każdej jest coś odrębnego...

- Kochany jesteś, Ralfie! - rzekła ciocia. - Ale i ja byłam kiedyś, kiedyś polskim dziewczęciem, a nikt o mnie nigdy nie powiedział...

- Ciociu! - wrzasnął Ralf - przecie jeszcze dziś, gdy się ciocia po swojemu uśmiechnie, robi się taka jakaś piękna!...

Na szorstkie oblicze panny Katarzyny wypłynął rumieniec, jak różana jutrzienka na niebo stalowej barwy. Odwróciła powoli głowę i patrzyła w zadumie przez okno.

- Więc panna Janina jest taka urocza... zaczął mówić szybko Jan, patrząc na manewry cioci. - Istotnie. Zbyt krótko była u nas, więc nie obejrzelśmy jej dokładnie. A co ona robi?

- Szyje. Mieszka na czwartym piętrze w małej izdebce na Starym Mieście i szyje bieliznę. Wciąż ma do czynienia z jedwabiami, a jej własne życie jest szorstkie i zgrzebne. I co na to powiecie? Jest wesoła i szczęśliwa! Nie chciałem wierzyć własnym oczom. Ogromnie ucieszyła się z moich odwiedzin i gadaliśmy przez dwie godziny. A potem... Ciociu, czy ja dobrze zrobiłem?

- A co zrobiłeś, drogi chłopcze?

- Posłałem jej sto pięćdziesiąt róż i pięć kilogramów słodczy...

- Może i dobrze zrobiłeś, tylko że posłałeś nieco za wiele. I róż, i słodczy... Może radośniej byłaby dziewczyna przyjęła coś, czym można zaspokoić głód, ale o tym nie mogłeś wiedzieć. O młodości!

- Obawiam się - rzekł boleśnie Jan że z wielkiego uwielbienia zakatrupiłes nieszczęsną pańienkę...

- W jaki sposób? - krzyknął Ralf. - Czyś oszalał?

- Ja nie. Oczywiście, że może ją zamordowałeś, bo albo ją zadusi zapach stu pięćdziesięciu róż, albo zginie w męczarniach po zjedzeniu pięciu kilogramów słodczy.

Ralf patrzył na niego przez chwilę otumanionym wzrokiem, potem zerwał się nagle. - Do widzenia! - zawołał głucho. - Bardzo się spieszę... Przyjdę jutro!

Słychać było, jak zbiega, przeskakując po pięć stopni schodów.

- Powiadają Francuzi - mówił śmiejąc się muzyk - że: "Pierwsze westchnienie miłości jest ostatnim westchnieniem rozumu".

- Szczęśliwy, kto w ten sposób utracił rozum... - zaszemrała cicho, lecz dziwnie smutno ciocia Kasia. - Po co nastraszyliście tego złotego chłopca?

- Nie szkodzi, ciociu! Przeciwnie, będzie szczęśliwy, że będzie mógł zobaczyć anioła z rodu Mościrzeckich. Ale to naprawdę złote chłopisko! Jest poczciwy z kośćcami, a że się składa niemal z samych kości, poczciwość jego jest ogromna. Uwierzyć nie mogę, że dotąd przebywał wśród twardych ludzi, którzy się nie bawią w sentymenty. Pianino dla ślepego dziecka, róże dla biednej dziewczyny... Daj mu Boże zdrowie i nieco mniej piegów! A ja się strasznie cieszę, że będę mógł uczyć Maciusia. Wie ciocia co? Nie wiem, czego chce od nas nasz pradziadek rejent, ale trzeba za niego zakupić sto żałobnych mszy za to, że zgromadził tylu uczciwych i dobrych ludzi. Jestem mu wdzięczny z całego serca!

Ostatnie słowa wykrzyknął głośno, spoglądając z ukosa na portret, ale portret milczący był i chmurny.

- Nawet się nie uśmiechnął - szepnął malarz.

- Rozumiem... Przypomniawszy sobie, że sprowadził do nas i pana Alojzego, wrzącego aptekarza.

- Msza za rejenta ma być odprawiona za tydzień - rzekła ciocia, ocknąwszy się z zadumy. - Potem odczytamy pismo. Gdzie się to odbędzie?

- Chyba tutaj. Jest nas dotąd ośmioro Mościrzeckich prócz pani Zofii, matki małego Mościrzeckiego. Pomieścimy się... Chyba że się jeszcze ktoś zgłosi, o czym wątpię. Dzisiaj jeszcze musimy napisać do ciotki Marty, aby się tutaj zjawiała za tydzień. Jaki to będzie dzień? Piątek? Tak, piątek!

- Kto odczyta pismo?

- Powinna odczytać ciocia jako najpoważniejsza.

- Pan aptekarz jest chyba starszy ode mnie!

- Być może, ale pan aptekarz może wpaść w pasję i gotów podrzeć dokument.

- To może pani Marta?

- Niemożliwe! Jest rzeczą wątpliwą, czy w piśmie rejenta zawarte jest choćby jedno pytanie, a twierdzeń z kropką na końcu zdania ciocia Marta nie odczyta za żadne skarby.

- Trudno... Wobec tego ja. Powiedzcie mi, chłopcy, ale uczciwie, czego wy się spodziewacie?

Młodzieńcy wzruszyli ramionami:

- Rozmyślałem nad tym - mówił Jan i doszedłem do wniosku, że gdyby sprawa była błaha, rejent nie byłby żądał takich ceremonii, jak zjazd rodzinny i uroczyste nabożeństwo, Sądząc z tego namalowanego oblicza, które wygląda jak gradowa chmura, dostojny ten człowiek nie miał nazbyt rozwiniętego poczucia humoru i nie był skłonny do żartów. Brak poczucia humoru nie jest żadną wadą - dodał głośno. - Często i najwięksi ludzie go nie posiadali.

Osobiście przeto spodziewam się wielkich rzeczy.

- A ty, Józefie, na nasze nieszczęście nie sprzedany do Egiptu?

- Ja spodziewam się także, Janie w Oleju, ale bez oleju we łbie. Nie można przypuścić, aby rejent był do tego stopnia złośliwy, żeby sobie zakpić z potomków po upływie pół wieku. Po co? Na co? Przypisek na liście, zwrócony do znalazcy, pisany jest i uroczyście, i z wielką powagą. Myślę, że albo niespokojne czasy, albo inne głębokie przyczyny zmusiły przewidującego i mądrego człowieka do nadmiernej ostrożności. Oh! oh! Zdaje mi się, że mówię roztropnie, bo portret się rozchmurzył.

- Zimno mi się robi - szepnęła ciocia. Chodźmy stąd, a najlepiej będzie, jeśli zaraz jutro zamówimy mszę.

- Spokojnie, cioteczko, spokojnie! Swój swojemu nie uczyni krzywdy! Zresztą rejent to honorowy człowiek... "A światłość wiekuista niechaj mu świeci!" - Na wieki wieków, amen! - dokończyła ciocia.

Młodzieńcy, pozostawiwszy ją na straży domu, rejenta i dokumentu, ukrytego w czeluści fotela jak Jonasz w brzuchu żarłocznego wieloryba, poszli w odwiedziny do pani Zofii i Maciusia, zasromani w duchu, że ich w tym uprzedził "dzikus" z drugiej półkuli. Ciocia zajęła się gospodarstwem i przygotowaniem obiadu dla wiecznie głodnych kuzynów, nucąc sobie niskim głosem jakąś melodię od siedmiu boleści i czternastu fałszów. Po upływie niecałej godziny ktoś energicznie zapukał do drzwi. Ciocia otworzyła, dzierżąc w ręce omączony wałek od ciasta jak hetman buławę.

- Ja z polecenia panów Mościrzeckich rzekł wąsaty jakiś dryblas.

Nazwisko Mościrzeckich odczytał z niejakim trudem z zatłuszczonej kartki.

- W jakiej sprawie? - zapytała zdumiona.

Usiłowała zatrzymać wąsatą sumę za drzwiami, figura jednakże wdarła się niemal przemocą do przedpokoju.

“Czuj duch!” pomyślała panna Katarzyna.

A głośno rzekła:

- Czy pana przysłali panowie Mościrzeczy?

Gdzie ich pan spotkał i kiedy?

- Byli u mnie przed półgodziną - odrzekł przybysz głosem, jakim musiała przemówić oślica Balaama, kiedy przemówiła. - Ja jestem stolarz... Kazali mi zabrać do naprawy jakiś fotel, który nie ma nogi.

- Fotel? - zdumiała się ciocia. - Nic mi o tym nie mówili.

- Ale mnie mówili! - odrzekł tamten hardo.

Ciocia Katarzyna zaczęła szybko rozmyślać. Być może, że młodzieńcy pragną jedyny wspaniały swój mebel oporządzić jako tako przed wielkim rodzinnym zebraniem, a zapomnieli jej o tym powiedzieć. Wydać ten fotel czy nie wydać? Sam Hamlet byłby w kłopotcie. W tej chwili jednak przyszło jej na myśl, że chociaż roztargnieni, byliby jednak napisali do niej kilka słów na karteczce, bo przecie w tym fotelu ukryty jest kalosz, a w kaloszu... Nie! Coś nie jest w porządku... Przyjrzała się pilnie mrocznej fizjonomii stolarza, lecz w jego ponurości nie było nic niezwykłego, trudno bowiem żądać od człowieka, który sporządza trumnę, aby miał roześmianą twarz.

- Więc jakżeż będzie? - zapytał szorstko człowiek ponury. - Da paniusia ten fotel czy nie da?

- Nie dam! - z nagłą pewnością odrzekła ciocia. - Niech pan zaczeka na schodach. Panowie, którzy pana przysłali, wrócą niedługo i wtedy go pan zabierze.

- Ja nie mam czasu na czekanie. Dawaj pani fotel!

Potęzna błyskawica jak złoty wąż okrążyła głowę panny Katarzyny.

- Wynosić się! - krzyknęła z wielką mocą.

Wąsaty jegomość wcale się nie przestraszył tego grzmotu i silną ręką usiłował ją odepchnąć, aby wtargnąć do mieszkania. O głupi! Myślał widać - że jest to kobieta na zwyczajną miarę.

- Za drzwi! - krzyknęła głosem nalany jeśli nie krwią, to w każdym razie czymś, co się pieni i bulgoce. Tak Pentesilea, królowa Amazonek, musiała grzmieć, wiodąc je do boju.

Drab ją odtrącił, a wtedy stało się coś, co wspaniałym rymem, ryczącym jak burza, powinno być w bohaterskim opisanym poemacie. Ciocia uderzyła w mego najpierw spojrzeniem: Ciężkim, ołowianym, chmurnym i zabójczym, a zaraz potem zdzieliła go drewnianym wałkiem przez łeb. I znowu po raz drugi, aby było do pary. I znowu po raz trzeci, albowiem wedle wybornej rzymskiej recepty: *omne trinum perfectum* - doskonała jest wszelka trójca. Wąsaty

drażał wrzasnął nieludzkim głosem, uderzony po raz pierwszy. Stracił mowę po uderzeniu drugim. Zachwiał się i zatoczył po trzecim, i całkowicie złamany na duchu, sromotnie podał tył.

Ciocia zatrzasnęła drzwi, wzruszyła ramionami i powróciła do kuchni. Poczęła z doskonałym spokojem krajać kluski, nucąc rzewnie, choć fałszywie tkliwą melodię z Halki: “Gdyby rannym słonkiem wzlecieć mi skowronkiem, gdyby z jaskółeczką pobując po niebie...” wcale o tym nie myśląc, że zdumiona groza. ogarnęłaby przyrodę, gdyby taką na meble ujrzała jaskółeczkę.

Ze spokojem spytała młodzieńców przy obiedzie:

- Czy przysyłałście przed godziną stolarza po fotel?!

- Stolarza?!

- Po fotel?!

- Tak, stolarza po fotel. Przecie mówię po polsku i dość wyraźnie. Był tu jakiś opryszek jakoby z waszego polecenia, który usiłował gwałtem dostać się do mieszkania i porwać owego połamańca na trzech nogach.

- Dziwne... - mruknął malarz.

Muzyk zagwizdał cicho i znacząco pokręcił głową.

- Dawno to się stało?

- Bardzo niedawno. Nie spotkaliście nikogo na ulicy?

- Nikogo, kto by wyglądał na opryszka. Szedł tylko jakiś biedak, który obiema rękami trzymał się za głowę i tak jęczał, że się serce krajało. Ja mu dałem dwa złote, a Józek kilka papierosów. Mówił, że mu na budowie cegła spadła na głowę, powtarzał jednak niezrozumiale: “Przeklęta baba! Przeklęta baba!” Cioteczka uśmiechnęła się rozkosznie.

- To nie cegła. To ja mu rozbiłam łeb wałkiem od ciasta i to był właśnie ten rzekomy stolarz.

- Co to wszystko znaczy? - zatroskał się Jan. - Na co komu ten stary grat?

Ciocia zmrużyła oczy i rzekła mile:

- Czy ciebie często bijali w młodości po głowie? Nie mówię, żeby aż wałkiem od ciasta, ale czymś podobnym? Czy nie rozumiesz, że ten drab wcale nie przyszedł po fotel, tylko po to, coście ukryli w fotelu?

- O rany! - wrzasnął muzyk. - Tak, tak! Istotnie! Chciał porwać dokument!

- Nareszcie... - mruknęła panna Katarzyna. - Ja domyśliłam się tego znacznie wcześniej i łagodnie sprzeciwiłam się rabunkowi.

- Ależ na Boga, ten człowiek mógł ciocię zabić!

- On mnie? Mój chłopcze, kto się trzyma w tej chwili za głowę, on czy ja? Zwracam ci przy tym uwagę, że uderzałam lekko, bo nie znoszę widoku nieboszczyków. Zresztą Bóg z nim! Zastanówmy się, kto go nasłał, bo że nie przyszedł na własny rachunek, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Rozważmy spokojnie: kto wiedział o tym, że dokument ukryty jest w fotelu? Ja wiedziałam i wyście wiedzieli. Ja udaremniłam kradzież, więc mnie ze złodziejskiej bandy należy wyłączyć. Tak czy nie?

- Oczywiście! - odrzekł Jan. - A co z nami.

- Czy możecie dać słowo, żeście nie przysłali opryszka?

- Ciociu! - zawołał Józef.

- Dajecie słowo?

- Dajemy!

- W porządku! Kto następny? Czy pani Cegłowska wiedziała o tym?

- Nie! Ciocia Marta wyjechała dawno, a my bardzo niedawno ukryliśmy dokument w fotelu.

- Więc pani Marta jest niewinna. Dalej! Czy pani Zofia wiedziała?

- Nie. Pokazałem jej papier owego dnia, kiedy Janek grał dla Maciusia, ale miałem go w kieszeni, przygotowany na jej przyjęcie. Ukryłem go po jej odejściu.

- A jak jest z panną Janiną ze Starego Miasta?

- Nie wiedziała o schowku. Natomiast wiedział o nim Ralf, bo w jego obecności i w obecności cioci wydobywałem dokument...

- Ralf wiedział... Dobrze!... A pan aptekarz? - zapytała przeciągle ciotka.

- Aptekarz też wiedział! - rzekł Jan. Za Ralfa ręczę głową...

- A za aptekarza nie ręczysz?

Jan zawahał się i spojrzał bezradnie na brata, a brat równie bezradnie spojrzał na niego.

- Nie chciałbym na nikogo rzucać podejrzeń - odparł z namysłem. - Wiele za tym przemawia, że sprawcą tego grubego zamachu był aptekarz. Istnieje jednak wiele zastrzeżeń. Przede wszystkim aptekarz wyjechał.

- Tak przynajmniej mówił...

- Oczywiście, mógł nie wyjechać i wynająć opryszka do porwania fotela. Co by mu jednak z tego przyszło, gdyby dostał do rąk dokument?

- Bardzo wiele. Wiedziałby, o co idzie, a co ważniejsze, wiedziałby sam jeden. Za jednym zamachem pozbyłby się kilku współników, a ponieważ jest przekonany, że rejent zostawił skarb czy też majątek, stałby się jedynym spadkobiercą.

- Słusznie...O, ktoś puka... Ralf!

- Żyje i jest zdrowa! - zawołał Ralf zadyszany. - Cóż to wy macie takie miny ...

- Człowieku! - zawołał Jan. - Zastanów się głęboko, zanim odpowiesz na jedno pytanie...

- Już się zastanawiam. Pytaj!

- Czy przysyłałeś tu dzisiaj stolarza, aby zabrał do naprawy ten fotel?

- Nie znam w Warszawie żadnego stolarza i nic mnie to nie obchodzi, czy ten fotel ma trzy czy też cztery nogi. Z nikim nie gadałem, nikogo nie przysyłałem.

- Dajesz słowo?

- Najpierw dam ci słowo, a potem dam ci po łbie, bo mi nie wierzysz. O co idzie?

Gdy mu opowiedziano o całej awanturze i o potężnej walce cioci Kasi, Amerykanin zadumał się na wysokościach. Mogło się wydawać, że płynąca górą czarna chmura owinęła się dookoła jego głowy jakby dookoła górskiego szczytu. Musiała to być chmura burzliwa, bo z jego oczów wystrzeliły dwie błyskawice.

- Nie podejrzewacie chyba panny Janiny! - rzekł groźnie.

- Nikt słowa nie mówił o panie Janinie. Z naszych domysłów wynika, że autorem tej awantury jest aptekarz... Zobacz no, Józek, co to tam leży?

Malarz podniósł z podłogi zmiętą kartkę, na której literami, udającymi litery drukowane, wypisane były słowa: - "Mościrzeccy, ul. Zawila 16".

- Ach! - zawołała ciocia. - Tę kartkę zgubił fałszywy stolarz, kiedy go uderzyłam wałkiem.

- Poszukaj, Józiu - mówił słodko Jan czy nie ma na podłodze kilku wybitych zębów?

- Jakoś nie widać... A czy z tej kartki będziemy mądrzejsi?

- Nie bardzo. Pisał ją ktoś sprytnie ostrożny i ktoś, co wiedział, że jest nas dwóch.

- I ktoś - dodał Ralf - co wiedział, żeście wyszli i że w mieszkaniu została tylko ciocia.

Nie zgodzę się jednak na to, by ten "jegomość" był nadmiernie sprytny, bo jeśli chociaż raz jeden widział ciocię, jakże mógł przypuścić, że ją zdoła ocyganić?

- Ralfie! - rzekła ciocia z uznaniem. Będą z ciebie ludzie!

- Już mi to przepowiedziano, kiedy byłem niemowlęciem, bo o poranku moich dni miano niejaki wątpliwości, czy jestem człowiekiem... Ale co teraz należy uczynić, droga ciociu? Nikomu niczego nie udowodnimy, a gdybyśmy nawet udowodnili, co komu z tego przyjdzie?

- Moim zdaniem - mówił Jan z namysłem - należy dokumentu strzec jak oka w głowie przez te kilka dni, które nas dzielą od wielkiej premiery. Nie można nikogo wpuszczać do

mieszkania bez sprawdzenia, kim jest i po co przychodzi. I tak trzeba jakoś urządzić, aby nikt nigdy nie zostawał w mieszkaniu sam.

- A przede wszystkim - dodał Ralf - należy zmienić ten głupawy schowek na jakiś sprytniejszy.

- Więc go wymyśl, skoroś taki mądry! obrażonym głosem powiedział Jan.

- Edgar Allan Poe, wielki amerykański pisarz, uczy, że przedmiot, który trzeba głęboko ukryć, należy umieścić w miejscu najbardziej widocznym, nikt się bowiem nie spodziewa tak przebiegłego sposobu ukrywania. Chińczycy, najwięksi spryciarze i mądrze, twierdzą, że: "najciemniej jest zawsze pod latarnią". Cała rzecz w tym, że już wszyscy wiedzą o tym i nawet aptekarz mógł czytać Poego, bo aptekarze są do wszystkiego zdolni. Należy przeto wymyślić co innego. Ja mam nawet pewien pomysł...

- Przestań tyle gadać... Jakież to pomysł?

Ralf Piegowaty począł drapać chudą ręką po chudej głowie.

- Pomysł jest prosty i niezawodny. Nie wiem tylko... - mówił niepewnie, pilnie patrząc w oczy cioci Kasi. - Nie wiem tylko...

- Ale ja już wiem! - zawołała z uśmiechem ciotka. - Dawajcie ten papier!

Wydobyto kalosz, a z kalosza pana rejenta pisanie. Ciocia owinęła je w chusteczkę, po czym odwróciwszy się ukryła zawiniątko na wzniosłej piersi.

- Niech mi je kto spróbuje odebrać! rzekła głosem, w którym drżała niecierpliwie wiązka niecierpliwych piorunów jak w ręce Jowisza. - Czy o tym myślałeś, drogi chłopcze? Ha! Co ci się stało?

Ralf postawił oczy w słup i wyciągniętą ręką - głos nagle utraciłszy - wskazywał portret rejenta.

Obraz kołysał się lekko na haku, a rejent miał minę najwyraźniej zachwyconą i wniebowziętą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W KTÓRYM NIEJAKI PAN DZIURAWIEC WYKRZYKA: "NAZYWAM SIĘ MILION!"

Od cioci Marty przybiegła zadyszana depesza, pytająca natarczywie: "Czy ja muszę przyjechać?" - Odpowiedziano jej również sposobem pospiesznym, że bez niej rodzinne zebranie nie będzie warte funta kłaków. Wielki dzień zbliżał się nieuchronnie. Ciocia Katarzyna nie rozstawała się z dokumentem w słusznym mniemaniu, że może się znaleźć pomyłony złodziej, co ukradnie fotel, najbardziej jednak pomyłony przenigdy nie ukradnie cioci Katarzyny. Strzeżono jej pilnie. Nie wychodziła nigdy sama i nigdy samotna nie zostawała w mieszkaniu. Aptekarz zapadł w mrok i nie ukazywał się na widnokręgu.

Do szczęśliwego czy też fatalnego piątku brakło jeszcze dwóch dni. Nie było już wielkiej nadziei, by się jeszcze ktokolwiek zgłosił, tak że na małym zebraniu postanowiono zamknąć listę. I wtedy właśnie spoza zasłony mroków ukazała się jeszcze jedna figura, wcale dziwaczna. Nie był to właściwy Mościrzecki, lecz przybywał w zastępstwie. Jegomość ten oznajmił niemal z triumfem, że się zowie Adam Dziurawiec i jest administratorem, pełnomocnikiem, rękodajnym, okiem, uchem i prawą ręką pana Wojciecha Mościrzeckiego, właściciela rodzowego majątku Mościrzeckich - Przypłocia. Pan Wojciech Mościrzecki z powodu dwudziestu siedmiu chorób mniejszych i większych sam przybyć nie mogąc, przysłała tu jego, Adama Dziurawca, aby się dowiedział, w czym rzecz. Przybywa dlatego w ostatniej niemal chwili, gdyż wieść o rodzinnym zlocie dotarła do Przypłocia zbyt późno, okrężną drogą.

Pan Dziurawiec czynił wrażenie raczej sympatyczne, gdyż bez uśmiechu patrzeć na niego nie było można. Był to wybitny elegant swoistego chowu. Włosy miał zlepione jakąś zawieszistą pomadą i beczelnie farbowane, także i wąsy. Mówiąc, wciąż się kłaniał, nie wiadomo komu, to w nim bowiem było najdziwniejsze, że nigdy nie patrzył na tego, do którego przemawiał. Oczy miał niespokojnie rozbiegane i tak ruchliwe, jak gdyby nieustannie czegoś szukały. Jego oko lewe nigdy nie wiedziało, co czyni prawe. Prawe miało własne interesy, pozostawiając lewemu całkowitą swobodę w robieniu poszukiwań na najbliższym terenie. Były to oczy zgoła magiczne: jedno wpatrzyło się; z należytych szacunkiem w pannę Katarzynę, drugie zaś równocześnie z wielkim zdumieniem w piegowate oblicze Ralfa. Po chwili lewe oko pana Dziurawca mierzyło od stóp do głowy Jana, a prawe oko mierzyło Józefa od głowy do stóp. Szybkie, latające spojrzenia dotykały wszystkiego po kolei: lewe oko wbiło się jak sztylet w portret reagenta, podczas kiedy prawe uderzyło w piec. Pachnący pomadą pan Dziurawiec nie

był wcale zezowaty, miał jedynie oczy jakby na sprężynach. Nie można było tego zbadać naprędce, nie ulega jednak wątpliwości, że musiał widzieć i to nawet, co się odbywa za jego plecami. Spoglądając na Jana, ukłonił się Ralfowi, po czym wydobył z kieszeni papier, opatrzony srogimi pieczęciami, głoszący urzędowym i suchym stylem, że pan Dziurawiec posiada wszelkie prawa przynależne Wojciechowi Mościrzeckiemu, jako jego ambasador, minister pełnomocny i poseł nadzwyczajny.

Nie było innej rady, lecz trzeba było raz jeszcze rozpocząć opowieść o piśmie rejenta. Nie była z nim jednak sprawa nazbyt łatwa, bo pan Dziurawiec był człowiekiem obrotnym i czujnym w interesach. Zadawał pytanie za pytaniem, zawsze rozsądnie, a przede wszystkim szybko. Dowiadywał się o imiona i nazwiska, o wiek i zajęcie wszystkich pretendentów i zdawało się, że dziwnymi oczami usiłuje przebić ściany, aby dojrzeć nieobecnych. Wbił wreszcie lewe oko w chmurną twarz rejenta, prawe w fortepian, ukłonił się Józefowi, a rzekł do cioci Kasi:

- Szanowna pani ma dokument przy sobie... Czy mógłbym go obejrzeć?

Ciocia spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Skąd pan wie o tym, że ja mam dokument?

Pan Dziurawiec zawisnął spojrzeniem na szczycie głowy Ralfa, skłonił się piecowi i rzekł z huczną radością:

- Cha, cha! Mam przecie oczy i widzę...

W pewnym miejscu na sukni pani rysuje się kwadrat złożonego grubo papieru.

- Jak to pan może widzieć, skoro pan patrzy w inną stronę?

- W inną stronę? - ze szczerym zdumieniem odrzekł pan Dziurawiec. - Od dziesięciu przynajmniej minut nie spuściłem z pani spojrzenia!

- To dziwne... - mruknęła ciocia. - Za chwilę pokażemy panu dokument.

Wyszła do kuchni, odprowadzona kilku jego ukłonami, z niesłychaną rozrzutnością skierowanymi we wszystkie strony świata.

- Uwielbiam młodzież! - zawołał nagle, zawisnąwszy spojrzeniem na haku lampy. A panowie są jeszcze bardzo młodzi... Pan Mościrzecki niezmiernie się ucieszy dowiedziawszy się, że ma tylu miłych i tak bliskich krewnych.

- Któż by się nie ucieszył? - rzekł Ralf, patrząc jednym okiem w podłogę, a drugim w powałę, usiłował bowiem dokazać, ale bez wielkiego powodzenia, tej samej sztuki, w której pan Dziurawiec był nieporównanym mistrzem.

- Pan pochodzi z Ameryki? - pytał mistrz uprzejmie, patrząc na Jana.

- Ja nie - równie uprzejmie Jan. - Tamten pan...

- Toteż ja do niego mówiłem, a nie do pana - mówił pan Dziurawiec kłaniając się Ralfowi i patrząc na Józefa.

Powikłania zostały na razie przerwane, gdyż weszła ciocia z dokumentem w rękę.

Pan Dziurawiec ujął pismo z niezmierną ostrożnością, oddając równocześnie ukłon portretowi. Uważnie obejrzał pieczęcie, wcale na nie nie patrząc, i ważył pozagrobowy list w rękę, jak gdyby usiłował poznać wagę ukrytych we wnętrzu słów. Spoglądając na piec, odczytał kilkakrotnie niewiele zblakłych wyrazów, po czym - chcąc zapewne dać chwilę spoczynku zgonionym i znużonym do siódmego potu oczom, nakrył je powiekami. Rozmyślał długo, oni zaś patrzyli w niego z zalękłym zdumieniem. Pan Dziurawiec bez swoich obłądnych spojrzeń budził trwogę, albowiem wydawało się, że na chwilę umarł.

- Nad czym pan tak rozmyśla? - zapytała wreszcie zniecierpliwiona ciocia.

On westchnął głęboko jakby przez sen i nie otwierając oczów, rzekł głucho:

- To jest niesłychana historia! Niesłychana historia!

Nie było to odkrycie zbyt genialne, więc Mościrzeccy wzruszyli ramionami - natomiast Ralf, porozumiewszy się wzrokiem z ciotką, zbliżył się do drzwi i zajął przy nich czujne stanowisko na wypadek, gdyby bliżej nie znany pan Dziurawiec usiłował w jakiś sposób umknąć z dokumentem. W głowie pana Dziurawca, zapewne siwej, lecz przez samego jej właściciela oczernionej, nie było jednakże myśli zbrodniczej. Ważył on w niej coś innego i musiał rozmyślać gorączkowo, gdyż wonna pomada na zamysłonej głowie poczęła lśnić podejrzenie, jak gdyby topniała w nadmiernej temperaturze wrzącego rozumu. Nagle otworzył szalone oczy, które zaczęły latać jak dwa spłoszone ptaki. Ukłoniwszy się oknu, zwrócił dokument cioci Katarzynie i rzekł drżącym głosem:

- Niech pani dobrodziejka strzeże tego jak kapłanka świętego ognia! Ja miewam przecucia! Ja miewam niesłychane przecucia...

- I cóż pan czuje? - zapytała kapłanka świętego ognia.

- Powiedzieć państwu prawdę? - wołał pan Dziurawiec, uderzywszy lewym okiem w pierś Jana, a prawym w brzuch Józefa. Powiedzieć państwu prawdę? Oto ja czuję miliony! Mi-lio-ny! Ten człowiek - (palcem wskazał rejenta, a oczami lampę) - dlatego zachował takie ostrożności. To lis, proszę panów! Muszę natychmiast...

- Co pan musi? - zapytał Jan podejrzliwie.

- Muszę porozumieć się natychmiast z panem Mościrzeckim. Nie przypuszczaliśmy, że to tak ważna sprawa, więc chociaż posiadam wszelkie pełnomocnictwa, nie odważyłbym się sam rozstrzygać.

- Czy pan Mościrzecki nie mógłby przyjechać?

- W żaden sposób - odrzekł pan Dziurawiec grobowym głosem - chociaż biedak wciąż jeździ, ale na wózku, bo ma znieruchomiałe nogi. Przypłocie jednak niedaleko... Jutro wieczorem będę z powrotem, a w piątek zjawię się na ogólnym zebraniu i będę wiedział, jak postąpić. Błagam państwa, abyście poczekał na mnie, gdyby coś zaszło, gdyby się pociąg wykoleił albo gdybym złamał nogę. Czy mogę na to liczyć, pani dobrodziejko? - zapytał patrząc na Ralfa.

- Oczywiście! - odrzekł szybko Ralf.

- Tak jest, proszę pana... - dodała ciocia.

- Ja miewam niesłychane przecucia! - powtórzył raz jeszcze pan Dziurawiec, tym razem w stronę obojętnej na te sprawy szafy. Przeczulem kryzys amerykański na kilka miesięcy przed katastrofą.

- Nie mógł nas pan ostrzec? - zapytał Ralf z goryczą. - Mój ojciec stracił mnóstwo pieniędzy.

Już mu jednak duchem wieszczym napełniony pan Dziurawiec nie odpowiedział, albowiem rozwiął się w srebrzystą mgłę. Słychać było, jak uskrzydłony poseł z Przypłocia zbiega szybko ze schodów. A wśród czworga Mościrzeckich zapanowało milczenie. Słowo "miliony" wybuchło jak petarda i poraziło ognistym blaskiem nawet szare oczy cioci Katarzyny. Istnieją słowa magiczne, po których wymówieniu zalega dzwoniąca cisza. W okrzyku pana Dziurawca, umiającego patrzeć jak mucha, tyle było pewności i głębokiego przekonania, że mimo woli uczyniło to na nich wielkie wrażenie. Pan Dziurawiec jest figurą wcale komiczną, wydał się jednak człowiekiem ponad zwyczajną miarę bystrym i przenikliwym. Któż ponadto mógł zaręczyć, czy dziwnymi oczami nie przebił grubego papieru i czy nie odczytał w czarodziejski sposób treści dokumentu? Istnieją przecie ludzkie szatany, co umieją dokazać takiej sztuki. Licho go wie, tego pana Dziurawca!... Miliony! Wyraźnie powiedział... nie, nie powiedział, lecz gromko zakrzyknął: "Miliony!" W cioci Kasi nie było ani za grosz jakichkolwiek pożądań, a jednak surowa jej twarz cokolwiek się zaróżowiła. Dziwne błyski zamigotały w oczach obydwóch braci. Jeden Ralf wydawał się nieprzenikniony, może jednak dlatego, że najbystrzejsze ludzkie spojrzenie nie mogłoby wypatrzyć rumieńca pośród hreczki piegów. W jego głosie znać było natomiast jakiś drżący ton, kiedy przemówił po dłuższej chwili milczenia:

- Czy myślicie, że to możliwe?

Nikt mu nie odpowiedział, bo wszyscy zadawali sobie w duchu to samo pytanie. Odpowiedział przeto sam sobie:

- Pan Dziurawiec zapewne przesadza, bo skądże by zaraz miliony, może jednak być, że się coś niecoś znajdzie.

Istotnie, po co by rejent zachowywał tyle ostrożności, gdyby szło o jakąś łapserdacką sprawę? Omówiliśmy to już wszechstronnie, przyznam się jednak, że bardzo do mnie przemówiła pewność pana Dziurawca. Ogromnie bym się cieszył, gdyby tak było. Nie mówię o sobie, bo mi na pieniądzach nie zależy, ale takie biedactwo, jak na przykład panna Janina...

- Jak Maciuś... - szepnęła ciocia.

- Maciuś też, oczywiście. I tym dwóm głodomorom - mówił, wskazując głową obydwóch braci - przydałaby się garść złota. Niepotrzebnie tylko zjawił się jeszcze jeden współnik, ten z Przypłocia, patron Dziurawca. Czy słyszeliście co o nim?

- Ja słyszałam - mówiła w zadumie ciocia. - Jest to człowiek bardzo bogaty, który gdzieś na świecie zrobił ogromny majątek. Podobno stary kawaler, a tak skąpy, że chodzi spać o zmroku, aby zaoszczędzić na świetle. Bóg raczy wiedzieć, czy to prawda, to jest jednak pewne, że nigdy nie szukał rodziny. Nie ma co... Trzeba czekać do piątku.

Czas im się dłużył niepomiernie.

Ciocia dumiała w kuchni, z zamyśleniem patrząc na dwa śledzie, które się moczyły w głębokim talerzu, jakby ją to bardzo zajęło. Ralf poniósł zapewne milionowe nadzieje i grubo złocone rojenia na Stare Miasto, bo zniknął na połowę dnia. Józef usiłował malować, a Jan brzdąkał na klawicymbale, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni. Piekielny Dziurawiec posiał dręczące niepokoje.

Wreszcie z nieprzebranego składu wieczności wychynął piątek. Śledzie cioci Kasi były należycie wymoczone i czekały jedynie na cebulę. Dzień był piękny, ozłocony jesiennym, dukatowym połyskiem. Miejsce zebrania przy ulicy Zawilej gotowe na przyjęcie gości. Rejent na portrecie jakiś bardzo uroczysty, chociaż z troską tajemną na czole. Wisiał spokojnie i nie wyprawiał awantur. O siódmej rano zjawiła się pani Marta Ceglowska z zapytaniem:

- Czy się nie spóźniłam?

Bez wielkich ceremonii uściskała pannę Katarzynę, zapytawszy ją z wyrzutem, czemu nigdy do niej nie przyjechała. Ciocia Kasia odrzekła serdecznie i wcale rozsądnie, że jej nikt nigdy nie zapraszał, skoro jednak poznała przemiłą kuzynkę, nie omieszka tego uczynić. Pytania i odpowiedzi leciały jak grad, a przestały padać jedynie dlatego, że trzeba było wyruszyć na żałobne nabożeństwo za udręczoną wielkim niepokojem duszę rejenta.

Zjawili się w kościele wszyscy oprócz pana Dziurawca, który albo nie chciał z jakichś powodów pokazywać się Panu Bogu na oczy, albo też zapomniano go zawiadomić o żałobnej uroczystości. Łajdak Ralf, zamiast patrzeć na czarny katafalk, nie odejmował spojrzenia od

kościuszkowskiego profilu panny Janiny. Ciocia Marta modliła się żarliwie na swój sposób za rejenta, zapytując natarczywie Pana Boga: "Czy wieczne odpoczywanie raczysz mu dać, Panie?" - Matka Maciusia, siedząc w ławce, przytuliła do siebie dziecko, które jakby z bolesnym przejściem słuchało organów.

Wszystkich Mościrzeckich ogarnęło wzruszenie. Nie! Nie wszystkich... Aptekarz Alojzy, cały czarno odziany, z czarnym parasolem w ręku, z głową na czarno pomalowaną, spoglądał czarnym spojrzeniem na czarne kiry. Na obliczu czarną miał zgryzotę, a w głowie czarne myśli. Wyglądał jak czarny szatan, co w czarnym przebraniu zdołał się wślizgnąć na nabożeństwo i teraz w pobliżu święconej wody niewypowiedzianie cierpi. Od czasu do czasu spoglądał chmurnie na pannę Katarzynę, która obie ręce skrzyżowała na piersiach, modliła się gorąco.

Nieboszczyk rejent, gdzieś na dalekiej gwieździe siedzący, musiał się radować niewymownie, patrząc z wysokości na gromadkę potomków, żarliwie proszących niebo o spokój jego kręćackiej duszy. Nie podobał mu się zapewne wcale się nie modlący aptekarz, który się zjawił, bo się zjawić musiał, ale z sercem robaczywym; czarna owca wśród śnieżnobiałej trzódki Do tego wszystkiego pierwszą wyszedł z kościoła, ledwie się skończyło nabożeństwo, krokiem szybkim i przypominającym ucieczkę, podczas kiedy inni wychodzili ze skupieniem na twarzy i z powagą, rozdając jałmużny. Ralf ją rozdawał hojną ręką, tak że jeden ślepiec krzyknął ze zdumienia, ujrawszy, ile dostał, a straszliwy kulawiec, ujawszy szcudła pod pachę, pobiegł czym prędzej na wódkę.

Wielkie zebranie naznaczono na godzinę dwunastą. Czy we dnie, czy w nocy, jest to godzina uroczysta, najmiłsza we dnie ze względu na bliski obiad, najgroźniejsza w nocy godzina diabłów, biesów, czortów, złych duchów, złośliwych jak mały demonów, potępieńców i zielonookich strachów. Rodzina zjawiła się przy ulicy Zawilej, witając się z niejakim namaszczeniem, choć we wszystkich oczach drżała z trudem tłumiona ciekawość. Pan aptekarz skinął tylko oczernioną głową, witając wszystkich ryczałtem, bez zbytnich wylewów. Z gorzkim niesmakiem przyglądał się wzruszającej scenie, kiedy to pani Marta, poznawszy nieszczęśliwego Maciusia, poczęła go tulić do piersi i ronić czyste łzy na jego głowinę.

- Sądzę, że już największy czas... - rzekł z przekąsem. - Będzie pani miała jeszcze dość sposobności do płaczu...

- Kto jest ten czarny pan? - spytała zdumiona i zgorszona ciocia Marta.

- Też Mościrzecki! - odkrzyknął aptekarz. - I to taki Mościrzecki, któremu się bardzo śpieszy. Gdzie jest dokument?

- Jeżeli pan myśli, że w fotelu, to się pan grubo myli - odrzekła twardo ciocia Kasia, patrząc mu bystro w oczy. - Proszę, niech wszyscy zajmą miejsca... Jakoś musimy się pomieścić... Czy już są wszyscy?

- Pana Dziurawca nie ma! - oznajmił Jan.

- Kogo? - czarnym głosem zapytał pan aptekarz Alojzy.

- Pana Dziurawca... Jest to pełnomocnik Wojciecha Mościrzeckiego z Przypłocia.

- Co? Jeszcze jeden? Oto są skutki niemądrego zwlekania. Nic mnie nie obchodzi jakiś tam Dziurawiec! Jeśli już musi być Mościrzecki, to niech będzie Mościrzecki, ale Dziurawiec jest tutaj tak potrzebny, jak dziura w moście... Dobrze powiedziałem... Dziurawiec i dziura! Aha... Jeszcze jedno! Kto jest ta pani? O ile mi wiadomo, syn tej pani ma wszelkie prawa, ale ona sama jest tylko po mężu Mościrzecka, a nie urodzona Mościrzecka, a ponieważ mogą wyjść na jaw jakieś rodzinne tajemnice, wobec tego...

- Ja wyjdę... - rzekła cicho pani Zofia. Jeżeli ten pan tego żąda...

Pan aptekarz chciał coś rzec, ale zdławił słowa w gardzieli, gdyż panna Katarzyna stanęła przed nim jak kamienny posąg i spojrzała mu głęboko w oczy, mówiąc dotkliwym szeptem:

- Ta pani jest matką małego dziecka i ma prawo i obowiązek pilnowania jego spraw. Jest to prawdziwa matka, a nie fałszywy stolarz, rozumie pan? Czy mam mówić wyraźniej?

Aptekarz wbił nóż spojrzenia w samo jej serce, ale już nic nie rzekł.

Czarne jego słowa zbudziły jednakże niepokoję i gorączkę. Dobra ciocia Marta patrzyła na niego z odrazą, a Ralf miał na obliczu wyraz srogi i bojowy.

- Poczekamy jeszcze pięć minut... - rzekł Jan. - Jeśli do tego czasu pan Dziurawiec...

- Jestem do usług! - odezwał się głos od drzwi. - Mój zegarek jest nieco pomyłony ...

Proszę mnie łaskawie przedstawić szanownemu zebraniu. Dziurawiec jestem!

“Idąc kłaniał się starcom, damom i młodzieży” - jak w Panu Tadeuszu.

- Czemu pan tak na mnie patrzy? - zapytał z pasją aptekarz. - Nie podobam się panu?

- Wcale na pana nie patrzyłem! - odrzekł zdumiony pan Dziurawiec. - Patrzyłem na tego ślicznego chłopczyka. Z kolei zdumiał się aptekarz, bo byłby przysięgł, że pan Dziurawiec oglądał go z nie ukrywanym zachwytem. Miał już dość tego wszystkiego.

- Czy my nigdy nie zaczniemy? - zakrzyknął.

- Już zaczynamy! - odpowiedziała panna Katarzyna. - Oto jest dokument... Uradziliśmy, że ja go mam odczytać.

- Za pozwoleniem, za pozwoleniem! - tubalnym głosem oznajmił pan Dziurawiec. Proszę o krótką chwilę zwłoki i wysłuchanie kilku słów.

- Gadaj pan, byle prędko! - warknął aptekarz.

- Dziękuję panu - rzekł pan Dziurawiec, kłaniając się szafie. - Otóż sprawa jest taka: pan Wojciech Mościrzecki z Przypłocia oświadcza panu przez moje usta, że jest seniorem rodu Mościrzeckich i jego głową... Przepraszam, a może pan jest od niego starszy? Jeśli wolno zapytać, ile pan ma lat?

- Dziewiętnaście! - odrzekł zdumiony Ralf, poczuwszy na sobie przenikliwe spojrzenie.

- Nie pana pytałem, tylko pana aptekarza.

- Te moja osobista sprawa! - zakrzyknął aptekarz zniecierpliwiony.

- Bardzo pana wobec tego przepraszam...

Pan Wojciech Mościrzecki ma lat siedemdziesiąt, czyli że jest starszy od wszystkich tu zebranych, wobec czego nikt mu nie może zaprzeczyć godności głowy rodu.

- I cóż wymyśliła ta czcigodna głowa? - zapytał aptekarz, uśmiechając się szatańsko.

- Bardzo wiele wymyśliła! Pan Wojciech Mościrzecki pragnie usilnie być obecny przy odczytywaniu dokumentu, ale że jest bezwładny i przykuty do fotela, prosi wszystkich tu zebranych, panie i panów wszystkich bez wyjątku, aby zechcieli przyjechać do Przypłocia na krótką gościnę...

- Protestuję! - krzyknął aptekarz. - Nigdzie nie pojedę! Co mnie to obchodzi, że pan Mościrzecki nie może przyjechać! I dlaczego musi on być obecny przy odczytywaniu tego przeklętego dokumentu?

Pan Dziurawiec spojrzał z tklwym żalem na fortepian, który w żaden sposób nie mógł być aptekarzem.

- Powiem panu, dlaczego. W dokumencie, który pan nazywa przeklętym, a ja śmiem nazwać błogosławionym, mogą znaleźć się albo tajemnice, wymagające natychmiastowego rozwikłania, albo nakazy, które trzeba będzie bezzwłocznie wypełnić. Bez udziału najstarszego z rodu nie można będzie tego wykonać, a po cóż znowu wywoływać zwłokę? Przypuśćmy, że odczytamy dokument tutaj i za chwilę. Będę musiał pojechać ze sprawozdaniem do Przypłocia, potem powrócić z oznajmieniem, co zamyśla uczynić pan Mościrzecki, znowu jechać i znowu wracać. Po co to? Zapytuję uprzejmie szanownego pana: po co? A skoro wszyscy zbiorą się w Przypłociu jako najbardziej pożądanego goście, sprawę od razu się wyjaśni. Czy słusznie mówię, proszę pani?

Obie ciocie, niepewne, do której z nich zwrócone było pytanie, odpowiedziały niemal równocześnie:

- Myślę, że słusznie - rzekła twierdząco ciocia Kasia.

- A dlaczego by pan nie miał mieć słuszności? - odpowiedziała pytająco ciocia Marta.

Towarzystwo zaczęło się zastanawiać. Ralf szeptał o czymś gorąco do różowego uszka panny Janiny, Józef naradzał się z Janem. Sądząc z wyrazów twarzy, niemal wszyscy godzili się na wywody pana Dziurawca, tylko aptekarz był nieprzejednany.

- Nic mnie to nie obchodzi! - wołał czarnym głosem. - Wszystko już było ułożone, tymczasem zjawia się jakiś pan Dziurawiec i wywraca wszystko do góry nogami. A skąd ja mam mieć pewność, że to nie pułapka?

- Niech się pan miarkuje! - rzekł pan Dziurawiec z dobitnym oburzeniem.

- Ani myślę! Jest to sprawa Mościrzeckich, a ja jestem Mościrzecki. Słyszysz pan?

- Słyszę, bo pan krzyczy...

- I będę krzyczał, bo jestem na swoich śmieciach!

- Za pozwoleniem - wtrącił się Jan. To są nasze śmiecie.

- Wasze, nie wasze - wszystko mi jedno! Więc powtarzam: nie mam pewności, czy to nie jest pułapka, aby ktoś dostał do rąk dokument, może bezcenny, a w podróży i w tłoku łatwo o mały wypadek... Proszę mi nie przerywać! A poza tym kto z państwa zna tego pana z Przypłocia? Kto to taki? Czy przedstawił dowody, że jest prawdziwym Mościrzeckim?

- Jest nim niewątpliwie! - rzekła z powagą panna Katarzyna.

- Dobrze! Więc jest Mościrzeckim... Ale czemu zebranie ma jechać do jednego człowieka, a nie jeden człowiek na zebranie? Co?

- Już panu powiedziano, że ten człowiek jest chory!

- A skąd pani wie, że to prawda? - Przecie mówił nam pan Dziurawiec...

- Ach, pan Dziurawiec! Słyszałem, słyszałem, nie jestem głuchy...

Pan Dziurawiec podniósł obie ręce w stronę powały, nad którą - jak wszystkim wiadomo znajduje się niebo, jak gdyby chciał rzec, że jeśli z nieba nie wyleci w tej chwili piorun i nie trzaśnie w tego straszliwego aptekarza, tedy nie masz sprawiedliwości na tym świecie. Oczekiwał przez chwilę, ale że piorun nie zahuczał, zahuczał on sam:

- Niech pan pojedzie i niech pan sam stwierdzi, czy pan Mościrzecki jest chory. Zna się pan chyba na chorobach, bo zapewne niejednego pan już swoimi pigułkami wyprawił na tamten świat.

- Nie pojedę! Ani myślę!

Na to zniecierpliwiona ciocia Katarzyna:

- Panie aptekarzu! Myślę, że my wszyscy pojedziemy, bo racje pana Dziurawca są słuszne, a skoro pan nie chce jechać, niech pan upoważni kogoś z nas, aby pilnował pańskich interesów. Przecie to potrwa niedługo! Sądzę jednak, że da się pan przekonać, jeśli panu

powiem, że warto odbyć tę małą podróż. Czy pan wie, co nam niedawno powiedział pan Dziurawiec?

- Znowu ten pan? Bardzo proszę, niech pani mówi... Nie jestem bardzo ciekaw, ale proszę, ha, ha! bardzo proszę.

- Pan Dziurawiec powiedział, że jego zdaniem w tej sprawie tkwią miliony!

- Takie jest moje niezłomne przekonanie! - rzekł z mocą pan Dziurawiec do ściany.

Aptekarz zachwiał się i nagle zbladł, jak gdyby zażył lekarstwo własnego wyrobu. Postawił oczy w słup i usiłował wydobyć z gardzieli jakieś słowo, jak gdyby połknął ość.

- Miliony!... - wyszeptał po chwili z trudem.

Zaległa cisza, którą przerwał cichutki głos Maciusia:

- Mamusiu, co to są miliony?!

Pani Zofia poczęła chłopczykowi tłumaczyć coś na ucho, spoglądając równocześnie ze zdumieniem i niepokojem na aptekarza. Wszystkich zresztą ogarnął niepokój, bo z aptekarzem działy się jakieś niedobre rzeczy. Nie mógł przełknąć tej niezmiernej wiadomości i najwyraźniej się dławił. Podano mu szybko szklankę wody, więcej jej jednak rozlał, niż zdołał wypić. Jan podsunął mu krzesło, na które zdruzgotany aptekarz zwałił się ciężko i począł dyszeć.

Długo trwało, zanim jako tako uporządkował wzburzone zmysły i zanim mu przestały drgać ręce.

- Przepraszam państwa... - począł mówić z trudem, głosem niespodzianie łagodnym. Bardzo przepraszam... Zwaliło mnie! Ale nie przypuszczałem... Pojadę... Oczywiście że pojadę! Niech mi pan wybaczy, panie Dziurawiec!...

- Rozumiem pana i wcale się nie gniewam - odrzekł pan Dziurawiec bardzo oschle.

Głosem równie suchym, niechętnie spoglądając na odmienionego nagle aptekarza, powiedziała panna Katarzyna:

- Niech pan już nic nie mówi i niech pan teraz wypocznie. Godzi się pan na wyjazd? To dobrze! Panie Dziurawiec, kiedy mamy wyjechać.

- Jutro o dziesiątej trzydzieści. Będę wszystkich oczekiwał na dworcu, a teraz biegnę do telefonu, aby zawiadomić Przypłocie. Niezmiernie się cieszę, niezmiernie się cieszę! Kto z państwa będzie podczas drogi strzegł dokumentu?

- Ja! - odrzekła gromko panna Katarzyna.

- W takim razie jestem spokojny! - zawołał pan Dziurawiec wprost do rejenta, po czym skłonił się głęboko w cztery strony świata i wyszedł pośpiesznie.

Powoli zaczęli się rozchodzić wszyscy, wszyscy podnieceni i zdenerwowani. Na placu boju pozostała ciocia Katarzyna, Jan, Józef i aptekarz. Zbierał się wprawdzie do odejścia, w jednej ręce dzierżył parasol, a kapelusz w drugiej, widać jednak było, że zwłóczył i czekał na odejście innych. Kręcił się niespokojnie, tak że wreszcie panna Katarzyna spojrzała na niego nieuprzejmie i pytająco. Na co on jeszcze czeka?

A on rzekł:

- Proszę pani... ja... ja muszę się wytłumaczyć...

- Nie widzę powodu.

- Błagam panią jednak, niech pani mi na to pozwoli! I tych młodych panów też o to proszę...

- Niechże pan usiądzie.

- Dziękuję pani, z całego serca dziękuję! Pani nie ma wyobrażenia, jak bardzo się wstydzę, bo wiem, że urządziłem brzydkie przedstawienie. Ja wiem, że powinienem był zdołać się na spokój, choćby udany. Dobrze wiem o tym. Kiedy jednak usłyszałem to słowo "milion", zakręciło mi się w głowie...

- Nie dziwię się ani panu, ani nikomu. Po co nam pan to wszystko mówi?

- Mówię, bo nie chciałbym, aby mnie pani uważała za płaża. Jestem człowiekiem nieznośnym, gwałtownym i kłótlwym. Wiem, wiem... Czasem jestem człowiekiem wstrętnym, ale, o Boże! Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwy... Proszę pani! Mam siedmioro dzieci i żonę ciężko chorą na gruźlicę. Jestem mizernym aptekarzem w mizernym miasteczku. Nigdy mi się nic nie powiodło i nigdy mi się nie powiedzie. Rozpacz, rozpacz i tyle! Z rozpaczki postępuję czasem jak głupiec, a czasem jak zbrodniarz. Tak, to ja posłałem tego opryszka, aby ukraść dokument! Niech mi pani przebaczy! Nie mogę pojąć, jak mogłem się zdobyć na takie łajdactwo, a jednak się zdobyłem. To właśnie ta rozpacz pcha mnie na śliskie drogi. W głowie mi się pomieszało. Uroiłem sobie, że ten dokument pomoże mi do zdobycia majątku, a ja tak bardzo, tak bardzo potrzebowałem chleba dla siedmiorga dzieci...

- Zapomnijmy o tym! - rzekła cicho panna Katarzyna.

- Niech pani Bóg za to zapłaci! - zdławionym głosem mówił pan Alojzy. - Jest pani szlachetną kobietą... I rozumie pani, czemu zachowałem się tak wstrętnie, usłyszawszy o tych milionach. Moje dzieci... moje dzieci!... Może będę mógł leczyć żonę, może będę mógł wykształcić tych siedmioro, skazanych na głód i nędzę... Czy mnie pani rozumie?

- Dobrze pana rozumiem - ze wzruszeniem odrzekła ciocia Kasia. - Czemu jednak nie powiedział nam pan tego wcześniej?

- Bo jestem głupi! Bo zdziwaczałem i już nikomu nie dowierzam, bo mnie do tego bieda podjudza. O, gdybyście znali moje życie! gdybyście wiedzieli, ile się na mnie waliło nieszczęść bezustannie, bez przerwy, bez chwili wytchnienia! Jedno za drugim, jedno za drugim... Moim dzieciom często brakło chleba, ale mojej żonie nie brakło nigdy łez. A co te biedactwa temu winne, że wszelkie nieszczęście zawsze najpierw przychodzi do mnie? Moje serce jest już puste, a dusza to czasem we mnie skowyczy. Toteż kiedy dojrzałem promyczek nadziei, opuściła mnie resztką rozumu. Ale nieszczęśliwemu człowiekowi wiele należy przebaczyć. Przykro mi niezmiernie, że wszyscy, co tu byli, będą mnie uważali za nędzną kreaturę...

- Nie będą! - rzekł szybko Jan. - Załatwimy to... Niech pan będzie spokojny.

- Będę nie tylko spokojny, ale będę i pokorny. Pokornie będę oczekiwał łaski losu, choć by odrobiny łaski. Teraz już odejdę... Niech pani pozwoli ucałować sobie ręce... Niech wam wszystkim Bóg zapłaci!

Odprowadzili go do drzwi, a nieszczęsny pan Alojzy powłókł się powoli, ciężko stąpając.

Panna Katarzyna westchnęła ciężko, głęboko zadumana.

- Biedny człowiek... - rzekł również zamyślony Jan.

- Bardzo biedny - odrzekła. - Nieszczęście między słabych ludzi, a to słaba dusza.

I teraz mnie groza przejmuje na myśl... Aż się boję pomyśleć!

- O czym, ciociu!

- O tym, że te miliony mogą się okazać łąpczym pomysłem i naszym, i pana Dziurawca.

O, Boże! Co by to był za cios dla tego nieszczęśnika z siedmiorgiem dzieci, co za straszliwy cios!

- Miejmy jednak nadzieję..., - Tak, miejmy nadzieję...

Ciocia wzięła w rękę dokument i przypatrywała mu się podejrzliwie i niechętnie. Silna jej ręka drżała.

- Co w tym tkwi? - mówiła cicho, jakby sama do siebie. - Radość czy smutek? Pociecha czy jeszcze jeden zawód pełen udręki? Czy biedny aptekarz po raz pierwszy w życiu się uśmiechnie, czy jeszcze bardziej gorzko zapłacze? Chłopcy! - krzyknęła niespodziewanie gwałtownie. - Weźcie ten papier! Mnie będzie on zbyt ciężki... Będzie mi gniótł piersi... Nienawidzę tego papieru!

- Ciociu! - szepnął Jan. - Rejent wpadł w złość... Niech ciocia spojrzy...

- A niech go wszyscy diabli! - zawołała nieustraszona ciocia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

w którym stare kaczkę oplakują swoje niewinne dziatki

Olbrzymie domisko w Przypłociu takie sprawiało wrażenie, jak gdyby je wznosiło równocześnie dziesięciu budowniczych, z których pięciu było obłąkanych, a pięciu czyniło sobie na złość. Jedna część domu była niska, inna wysoka, jedna krzywa, druga prosta. Okna wybito na różnych wysokościach. Ze ścian wyrastały baszty, kominy. Taką niezliczoną wzniesiono ich ilość, jak gdyby koszmarny ten dom był filią piekła na Przypłocie i okolicę, a w filii gorzał wieczysty ogień tak jak w centrali. Chyba o tych kominach powiada Słowacki w *Beniowskim*, że: “tryskały piekiel dech przez wszystkie dziury”.

Kilka pokoleń musiało budować to czupiradło, wciąż coś dodając, a nigdy nie burząc. A to - było najdziwniejsze, że mieszkającym tutaj ludziom mało było jednego szkaradzieństwa, więc się postarali o jego odbicie, rozlawszy przed nim sztuczną sadzawkę z gładkim i przejrzystym zwierciadłem wody.

Tym brzydsze było to domisko, że na wzgórzu niezbyt odległym, otoczony rozłożystymi, sędziwymi lipami, stał wyniosły, czcigodny i spokojnym porządkiem budowany kościół Bernardynów. Śnież zielonych dachów, która jest siwizną odwiecznych budowli, złociła się głębokim tonem w pełnym słońcu. Klasztor nie opodal kościoła ledwie był widny z daleka spoza gęstwy drzew. Biały wąż drogi opasywał wzgórze i wił się w stronę dość mizernego miasteczka, rozrzuconego po stokach, pośród ogrodów i sadów. Okolica była urocza i gdyby nie koszmarna siedziba Mościrzeckich, mogłaby uchodzić za piękną. Domisko wyglądało jak brodawka na nadobnym obliczu. Podobno za ludzkiej pamięci trzynastie razy uderzyły weń pioruny, jak gdyby niebo nie mogło znieść jego widoku i jak gdyby chciało go zetrzeć z powierzchni ziemi. I nigdy nic mu się nie stało! Raz jeden zapalił się dach, ale go zgasła ulewa z tej samej czarnej chmury, co przed chwilą wypuściła piorun z brzucha.

Opowiadali ludzie z miasteczka, że jest to dom nawiedzony i że w nim straszy. Widziano razu pewnego buty, które same szły przez ciemne pokoje, wielkie stawiając kroki, i byłyby może daleko zaszły, gdyby nie napotkały zamkniętych drzwi. Opowiadali inni, że w wielkiej sali, posępnej i wiecznie zimnej, widział któryś z domowników olbrzymiej postaci człowieka, który stał przed zwierciadłem i rozpalonymi do białości nożycami strzygł sobie brodę długą do kolan. Inni gadali ambaje, że nie był to mężczyzna, lecz brodata kobieta, która po ostrzyżeniu brody weszła w zwierciadło jak w srebrną mgłę. Śmieszne to były opowieści,

nie ulega jednak wątpliwości, że gdyby diabłowie pragnęli wynająć sobie w tej okolicy mieszkanie, nie szukaliby długo, lecz skierowaliby się prosto do pana Wojciecha Mościrzeckiego.

Na tyłach tego pomyłonego domu, który zawarł w sobie najmniej siedem różnorodnych domów, rozciągał się ogromny park, tak jednak zaniedbany, że przypominał puszcę. Pasy się w nim krowy, a zamiast klaskania słowików słychać było mniej uroczy bek baranów, płaczliwy i rozdzierający serce. Nie było już w zgłuszonym ~ parku herbowych wiewiórek, które rejent wygubił do ostatniego pokolenia, nie pozostawiwszy nawet świadka klęski. Zawile drogi zarosły zielskiem, bujnym i zachłannie zdobywczym. Kamienny zegar słoneczny kruszał na deszczach, rozsadzany przez cierpliwe mchy, wypełzające z każdej szczeliny. Zewsząd ciężkim zapachem oznajmia się pleśń i zbutwiałość. Pospolite, uprzykrzone, natrętne chaszczki brały powoli w posiadanie każdy zakątek, napadłszy na świetny kiedyś ogród niepoliczonym tłumem.

Tak wyglądała siedziba głowy domu, Wojciecha Mościrzeckiego. A on sam nie wyglądał lepiej. Był to człowiek o zdumiewającej obfitości ciała, przypominający beczkę, na której ktoś dla figłów umieścił głowę. Można było za prawdziwą uznać opowieść pana Dziurawca, że pan Mościrzecki jeździ na wózku, gdyż nie posiada władzy w nogach, można było jednakże mniemać z równą słusnością, że przyroda nie stworzyła tak silnych nóg, które by udźwignęły tę ogromną bryłę mięsa, i że jedynie dlatego pan Mościrzecki nie mógł chodzić o własnych siłach.

Tak przynajmniej twierdził lekarz w miasteczku, którego zresztą nigdy do Przypłocia nie wzywano, pan Wojciech bowiem wolałby siedemdziesiąt siedem razy umrzeć, niż wydać siedemdziesiąt siedem groszy na lekarstwo. Dodawał przy tym, że pan Mościrzecki nigdy nie dostanie się do nieba, gdyż nawet dziesięciu aniołów nie udźwignęłoby tego grubasa, a posyłanie do tego przedsięwzięcia całego ich pułku byłoby zbyt paradą, na którą chyba nie zasłużył.

Tak czy owak pan Mościrzecki jeździł na potężnym wózku, który z należytych trudem popychał chłopak, milczący i cierpliwy. Wózek trzeszczał i pisał z wielkiej udręki, pan Wojciech krzyczał i gromił, i lażał, i zrzędził, a automedon, nic sobie z tego nie robiąc, popychał go w milczeniu od stołu na rodzaj terasy i z terasy do stołu. Żywot pana dziedzica składał się z jedzenia i wygrzewania się na słońcu. Na wszystko żałował, nie żałował jedynie na jedzenie. Zginałby w mękach misterny Francuz, gdyby zjadł jedną siódmą tego, co on. Włoch, jarzynami, powietrzem i owocami się żywiący, leżałby tydzień bez ducha. I Witeliusz, i Gamasz, i Lukullus, słynne na cały świat i po wszystkie czasy żarłoki bez dna i z dwunastoma

Żołądkami, oddaliby mu pierwszeństwo i pokorny złożyliby hołd, bijąc czołem o ziemię przed tym strasliwym Sarmatą. Zawsze był głodny i mógł jeść o każdej porze dnia i nocy. Pieczone prosię było dla niego drobną przekąską, zaostrzającą apetyt. Dwie kopy kołdunów były wesołą igraszką, po upływie godziny niegodną nawet wspomnienia. Roztropny Rzymianin twierdził, że człowiek po to je, aby żył, ten zaś Sarmata żył po to, aby jeść. Zapewne dlatego w tym straszliwie zaniedbanym Przypłociu zdumiewająco troskliwie pilnowano kurników, chlewów i obór, gdzie się rodzą delikatne cieleta. Każde zresztą stworzenie jadalne było w pobliżu tego straszliwca narażone na śmierć, który by odebrał strusiowi kamienie, aby je połknąć samemu. W kiepskim jego, a rozległym majątku dbano o indyki jak o dzieci królewskiej krwi, a gęsi karmiono przemocą, tak że biedne ptaki Junony nie mogły - jako i ich pan - chodzić o własnych siłach. Gdyby ten brzuchacz urodził się był ludożercą, byłby samotną sierotką, albowiem zjadłby bliższą i dalszą rodzinę do ostatniej babki.

W tym dniu, w którym Dziurawiec miał przyholować kilkoro Mościrzeckich, pan Wojciech był podniecony i niespokojny. Zastanawiał się i w myśli obliczał, ile zjedzą ci ludzie! I to już jest pociechą, że w tej gromadce znajduje się dziecko, które nie zje chyba całej gęsi, i jakaś panienka, gdyż panienki z wielu dziwacznych powodów mało jadają. Z relacji Dziurawca .wyłowił jednakże pan Mościrzecki smętny wniosek, że trzech młodzieńców może dokonać rzeczy zgoła strasliwych, jeśli się choć odrobinę wdali w swojego krewniaka. Rozmyślał nad tym długo i wreszcie wymyślił: oto goście będą jadałi w jednej z sal na piętrze, dokąd by jego trzeba wnosić na fotelu, więc łatwo wybaczą gospodarzowi, że będzie jadał sam na parterze. A co będzie jadał, o tym się nie dowiedzą. Miało to i tę dobrą stronę, że pan Wojciech nie lubił towarzystwa przy swoich obfitych ucztach, gdyż serce by mu pękło, gdyby jakiś towarzysz chciał go naśladować. Postanowił jednak być gościnnym dla nie znanej rodziny, lecz roztropny zachować umiar. Dostaną obfitą ilość spyży, zdrowej i tłustej. Gdyby się zdarzyło, że w czasie ich obecności zdechnie jaki indyk - ha ! - dostaną wtedy nawet i indyka, zmarłego naturalną śmiercią od indyczej cholery, lecz zarżniętego im nie da. Rodzina rodziną, ale indyk indykiem...

Zjadłszy trzecie już tego dnia śniadanie, kazał wyglądać, czy nie widać na widnokręgu karawany krewnych, od stacji kolei bowiem do Przypłocia trzeba było jechać kilka kilometrów. Pan Dziurawiec, wódz wyprawy, starał się tę drogę przebyć jak najszybciej, lecz wysłane po gości konie, jasnokościste rumaki, chodzące zazwyczaj w pług, nie okazywały bynajmniej chęci do wichrowego pędu. Ponieważ koń nie jest na wsi polskiej zwierzęciem jadalnym, więc pan Mościrzecki mało dbał o konie. Jeśli koń miał przepisowe cztery nogi i mógł na nich ustać, wszystko było w porządku. Toteż karawana wlokła się ślimaczym chodem w bryczkach

roztrzęsionych i nieprzyzwoicie obłoconych. W pierwszej siedział na koźle obok woźnicy wszystkowiedzący pan Dziurawiec, który rozradowanym głosem objaśniał załogę tego wehikułu - panią Martę i panią Zofię z Maciusiem któredy wędrują. Za nimi wlokła się ciocia Katarzyna ze smutnym i cichym aptekarzem, który przylgnął do niej i na krok jej nie odstępował. Te dwie bryczki sprawiały swoją powagą wrażenie, że podążają za karawanem w stronę odległego cmentarza, wóz trzeci natomiast najwyraźniej jechał na wesele. Siedziało w nim ciasno czworo młodych. Woźnica też był młody i gdyby nie konie będące na schyłku żywota, wóz ten przypominałby "odę do młodości" na czterech kołach. Ralf bredził, jak gdyby miał gorączkę, i wyskakiwał ustawicznie na przydrożne łąki, aby zerwać kwiatek dla panny Janiny, oszołomionej i szczęśliwej, bo od wielu lat nie widziała ani lasu, ani wrzosowiska. Lasy dookoła płonęły rudym ogniem listowia. W przydrożnych rozlewiskach wody odbijało się niebo, dnia tego niepokalanie błękitne.

- Patrz, Jasiu... Krowy... - zawołał Józef.

- W jaki ty sposób możesz tak od razu rozpoznać nieznanne stworzenia? - zdumiał się Jan. - Więc to tak wygląda żywa krowa!

- Jestem niepospolicie bystry, widywałem zresztą krowy na obrazkach. Bardzo je lubię i bardzo szanuję.

- Za co? - śmiała się panna Janina.

- Są to bowiem najcierpliwsze na świecie stworzenia. Wielki mędrzec chiński powiedział, że "cierpliwość zamienia nawet trawę w mleko". Bez krowy nie można by tego dokonać. Ralfie, czy w Ameryce są krowy?

- Cieląt i kretynów też jest zatrzęsienie! krzyknął Ralf, zeskakując przezornie z wozu.

Musieli często popasać, mądre bowiem koniska przystawały samowolnie i żadną namową, żadnym nawet najtkliwszym słowem nie dawały się namówić do podjęcia podróży. Dopiero po dłuższym wypoczynku jeden stary wyga łypał okiem, dając znać drugiemu, że już można ruszyć. Woźnica, znający wybornie te końskie praktyki, przyglądał się im bez wzruszenia, konie były bowiem najmniej dwa razy starsze od niego.

Wreszcie okrzyknięto ich z admiralskiej bryczki pana Dziurawca, że maluczko, a dopłyną do celu. Poczuli się przeto przyglądać ciekawie tej ziemi, z której się wyroili wszyscy Mościrzeczcy i jak ich herbowe wiewiórki rozbiegli się po rozległym lesie żywota. Nagle głosem zdławionym zakrzyknął malarz:

- Czy widzicie ten dom? Ratuj się, kto może.

- To pałac w Przypłociu! - oznajmił z dumą woźnica.

Im zaś wszystkim odjęło mowę i patrzyli jak urzeczeni na owe dwa straszliwe pałace, jeden na ziemi, a w wodzie drugi: szerokie i rozłożyste, proste i krzywe, niskie i wysokie, sterczące i zapadłe, świeżo pobielone i okryte liszajami wilgoci. Malarz wyraźnie cierpiał i w pewnej chwili zakrył rękami oczy. A Ralf rzekł:

- Nie chciałbym żyć w takim domu, bo gdybym w nim umarł, musiałbym potem straszyć...

Roztropny woźnica, słysząc te upiorne słowa, powiedział tajemniczo:

- Tutaj i bez tego diabły dokazują. Całe szczęście, że kościół blisko.

Panna Janina wzdrygnęła się i spłoszonym wzrokiem spojrzała na swego obrońcę Ralfa, który jej odpowiedział oczami, że pierwszego czorta, który by chciał uczynić jej krzywdę, obedrze ze skóry, a potem powiesi na ogonie. Znacznie ją to uspokoiło.

Kiedy po objechaniu sztucznej sadzawki, po której zamiast śnieżystego łąbiedzia pływała stara gazeta, przystanęli przed głównym wejściem, dwie pierwsze bryczki już odjeżdżały ku stajniom, a w głuchym, ogromnym przedsionku Wojciech Mościrzecki witał panie. Prezentował je wymownie pan Dziurawiec, do niedawna ambasador, po czym przewodnik wycieczki, a w tej chwili marszałek dworu.

- A oto i młode pokolenie! - zawołał radośnie. - Duma i nadzieja rodu.

Poczwórna "duma i nadzieja rodu" zbliżyła się z oznakami szacunku do wózka, w którym szeroko rozlany pławił się Wojciech Mościrzecki.

- Witam was, serdecznie witam! - mówił głosem, który - zdawało się - też ociekał tłuszczem. - Dożyłem szczęśliwej chwili... Nigdy nie marzyłem o tym, że pod moim dachem będę gościł cały ród. Żyłem tu sam jak palec!

"Cienki paluszek..." - pomyślał Ralf ze zgrozą.

- Wprawdzie sprowadził was tutaj wspólny interes, ale zapomnijmy o interesach! Na to będzie czas... Proszę, aby drodzy kuzyni czuli się tutaj jak we własnym domu, bo to przecież jest nasz wspólny dom, nasze gniazdo. A zapowiadam, że prędko was nie puszcę. Nikt mnie nie odwiedza, nikt mnie nigdy nie odwiedza... Nieprawdaż, panie Dziurawiec? Któż się zechce nudzić ze starym, chorym człowiekiem? A teraz proszę na obiad! Pan Dziurawiec zastąpi mnie przy stole, bo ja się na piętro nie wydrapię, zresztą jestem na diecie... Dwa sucharki i dwa jabłka to całe moje pożywienie... Panie Dziurawiec, niech pan prosi naszych drogich gości!

Drodzy goście szli jak w polonezie w zdumionym milczeniu, nieco porażeni tłustym widokiem gospodarza, którego srogi los pokarał dwoma jabłkami i dwoma sucharkami. Skrzypnęły stare schody, wiodące na piętro. Była to najstarsza, zasadnicza część domostwa, jego trzon i pień, który puścił we wszystkie strony dzikie pędy przybudówek, tutaj też snuła się

najgęstsza woń starości, mdłej, stęchłej, zakurzonej i mroczonej. Chyba w połowie osiemnastego wieku musiano tu po raz ostatni otwierać okna wypłaszając ciemność i pająki. W każdym zakamarku spał zatechły smutek, leniwy i ciężki.

Nieco jaśniej było w pokojach przeznaczonych dla gości, gdyż okna patrzyły w południową stronę, natomiast w tak zwanej "sali", w której miano podać obiad, zwróconej ku północy, siał się mrok. Znać było na niej zmarłą, zniszczoną i całkowicie wypłowiałą dawną świetność. Olbrzymi kominek zdradzał szlachetne pochodzenie i łyśkał ostatkiem poszczerbionych marmurów. Posadzka, szerniała i bez złocistego, woskowego blasku, wydeła się w kilku miejscach. Okna, wysokie i wąskie, mało przepuszczały światła. Mył je jedynie deszcz z zewnętrznej strony, nikt ich jednak za ludzkiej pamięci nie mył od wewnątrz. Z pułapu zwisał ogromny,

rozłożysty, ciężki, w żelazie kowany świecznik. Tkwiły w nim jedynie dwie nie dopalone świece, jak dwa ocalałe zęby. Środek sali zajmował stół długi, refektarski, rozkraczony na wielu nogach, przy nim zaś tuliło się liczne potomstwo stołków, niegdyś pokrytych skórą, potem nielitościwie przez czas ze skóry odartych. Nerozumna jadowitość czasu do tego się nawet posunęła, że z niektórych kościstą ręką wyrwała wnętrzności.

Miejsc przy tym stole było na osób czterdzieści, miało zaś zasiąść dziesięć, więc go przykryto obrusem jedynie od wierzchołka, zostawiając czarną, nagą resztę chyba dla dawno zmarłych Mościrzeckich.

- Czemu tu tak smutno? - szepnęła ciocia Marta.

- Czemu tu tak brudno? - dodała ciocia Katarzyna.

Wszyscy rozmawiali ściszym głosem, jedynie pan Dziurawiec, dziwnie rad i niemal szczęśliwy, tokował kwiecicie i bujnie. Czynił honory, zapraszał i zachwalał potrawy, które rumieniły się teraz dopiero, niezasłużonych tych słuchając pochwał. Musiał też zachwalać je gorąco, gdyż przynoszone z jakiejś odległej kuchni, zjawiały się na stole chłodne i chłodno zostały przyjęte. Jedyne chłodnik miałby temperaturę odpowiednią.

Kowbojska dusza Ralfa nie mogła wydzierżyć.

- My tu, proszę pana - mówił słodko do Dziurawca - zajadamy takie wspaniałości, a biedny p3n Mościrzecki tylko dwa sucharki.

- Cha, cha, cha! - wrzasnął śmiechem marszałek dworu, lecz nagle się stropił i dodał szybko, zwróciwszy się z przemową do kominka: - Tak, tak, to bardzo biedny człowiek. Cóż robić? Lekarze są nielitościwi! Nam jednak jedzenie nie zaszkodzi... Może pan pozwoli jeszcze odrobinę grzybów?

Grzybów podano “mnóstwo za bardzo”, jak mówią na malajskim archipelagu, była to bowiem w tych stronach potrawa tania i pospolita, wobec czego Ralf szepnął do ucha Jana.

- Czy się nie boisz tych grzybów?

- Czemu mam się ich bać? - odrzekł z niepokojem muzyk.

- Bo grzyby mogą być jadowitą trucizną, a nasz stryjasek mógł jak król Popiel sprosić na ucztę cały ród i wytruć go ryczałtem. Poczekajmy, aż pan Dziurawiec zacznie jeść pierwszy.

Pan Dziurawiec jadł jednak ze spokojną beztróską i ani myślał umierać. Opowiadał panie Katarzynie z epicką dokładnością o losach tego dziwaczego domu, którego pan Wojciech nie chciał naprawiać, twierdząc, że nie ma dla kogo, jemu zaś wystarczy choćby jedna izba, byle ciepła i zaciszna. Posypały się pytania i odpowiedzi i uczyniło się dość gwarno, gdy wtem nagle wszystko ucichło, jak gdyby wiatr uniósł słowa ze wszystkich ust. W mrocznym kącie zaczął bić zegar głosem głuchym i ciężkim. Wedle słońca mogła być godzina trzecia, a zegar bił i bił, i bił. Wszyscy zwrócili spojrzenia na ogromne pudło pomyłonego zegara, tylko Dziurawiec utkwiał jednym okiem w oknie, a drugim w półmisku.

- Dwanaście... trzynaście... czternaście... - liczył zdumionym szeptem Ralf.

- Piętnaście... szesnaście... Czy już? Nie! Siedemnaście... osiemnaście...

- On potrafi do trzydziestu! - oznajmił Dziurawiec z niechęcią. - To straszny zegar.

- A czemu on tak bije? - zdumiała się ciocia Marta.

- Tego nikt nie wie... Czasem przez dwie doby nie wyda z siebie głosu, a potem, jakby chciał odrobić zaniedbanie, zaczyna szaleć. O właśnie teraz zwariował, jakby się chciał popisać. Nienawidzę tego okropnego instrumentu!

- A czemu go pan nie każe naprawić?

- Przed laty i tego próbowano, ale nikt obłąkańca nie wyleczył.

- A może w nim gnieźdzą się myszy?

- Na dobrą sprawę w tym strasznym pudle mogłoby się zmieścić nawet cielę, łatwo. :-więc mogą być i myszy. Proszę sobie wyobrazić, że tego zegara nikt nigdy nie nakręca, a to zwierzę czasem chodzi. Diabli go chyba nakręcają! dokończył z rozdrażnieniem.

- Ach, jak pan może mówić coś podobnego?

- Bardzo przepraszam, ale taki złośliwy grat może spokojnego człowieka wyprowadzić z równowagi.

Ralf, porzuciwszy grzyby, zbliżył się do zegara i spojrzał mu z bliska w twarz, szerniałą, zaśniedziałą i ponurą.

- Oh, warczy! - zawołał wesóło. - Warczy jak zły pies... Proszę pana, a czy on nie wygrywa kurantów?

- A czy diabeł śpiewa godzinki? - odrzekł Dziurawiec posępnie. - Chętnie kazałbym spalić to wstrętne pudło, ale pan Mościrzecki nie pozwala, bo to rodzinna pamiątka. Właśnie ów rejent przywiózł go z Gdańska. Panu Mościrzeckiemu łatwo gadać, bo u siebie na dole nie słyszy, co ten zegar tutaj wyprawia, ale ktoś, co go z nagle usłyszy, ma wrażenie, że to trumna wydaje ponure głosy. Pokoje państwa są w pobliżu, więc dobrze, że jesteście uprzedzeni, bo to zwierzę gotowe w nocy oszaleć! Ale proszę jeść i nie zajmować się tym gruchotem bo jestem przekonany, że im się więcej będzie o nim mówiło, tym się stanie złośliwszy. Znana jest złośliwość rzeczy martwych! Oprócz tego piekielnego zegara jest tu taka szafa, którą by można nazwać jego ciotką. Dobrze, że sobie przypomniałem. Stoi ona w waszym pokoju, młodzi panowie, i posiada również straszliwe zwyczaje...

- A cóż może uczynić szafa? - zdumiała się pani Marta.

- Zwyczajna szafa jest istotą najłagodniejszą na świecie - rzekł Dziurawiec sentencjonalnie. - Ale to nie jest zwyczajna szafa! Ni stąd ni zowąd, ale zawsze w nocy, otwiera się z trzaskiem, jak gdyby ktoś ukryty w jej wnętrzu dusił się z braku powietrza i gwałtownie uderzał w jej odrzwia.

- A kto w niej siedzi ukryty?

- Nikt, czcigodna pani Marto. Po cóż by ktoś ukrywał się w szafie?

- Może krzywo stoi? - pytał Ralf z niedowierzaniem.

- Czy ja wiem? I to też być może... Tak czy owak, szafa sama się otwiera i straszy ludzi. Nocował raz w tym pokoju handlujący drzewem kupiec, który przyjechał kupować w Przypłociu las. Tej właśnie nocy szafa miała atak, kupiec wyskoczył w białiznie przez okno i zwichnął nogę. Był o to proces, ale nasz adwokat przekonał sąd, że się kupcowi coś straszego przyśniło, bo zjadł na kolację tłustą baraninę, i skończyło się na niczym. Ale to naprawdę szczęście, że sobie przypomniałem i o tej szafie.

- A co należy uczynić, gdy się otworzy dzisiejszej nocy? - zapytał Ralf.

- Zamknąć! - odparł głucho Dziurawiec. Zamknąć i podeprzeć krzesłem.

- A krzesła są zdrowe na umyśle?

- Nie zauważyłem, ale zdaje mi się, że reszta mebli w tym domu zachowuje się przyzwoicie. To stary dom, a w każdym starym domu coś zawsze trzeszczy, puka i stuka. Wystarczyłby wprawdzie już ten zegar, a szafa jest zgoła zbędnym dodatkiem, ale cóż robić, skoro jest?

Zadumali się wszyscy nad tymi straszliwymi tajemnicami. Na stole tymczasem stygły grzyby, na które zresztą nikt już patrzeć nie chciał.

- O, Maciuś usnął! - szepnęła panna Katarzyna.

Chłopaczek, znużony podróżą, zasnął, oparłszy główkę o poręcz starego fotelu, nie zdradzającego piekielnych właściwości. W tej chwili stał się cud w ponurej komnacie, gdyż pan Dziurawiec spojrział na dziecko z serdecznym rozczuleniem, lecz spojrział wprost, co mu się dotąd jeszcze nie zdarzyło. Podniósł się cicho i poprosił szeptem panią Zofię:

- Niech mi pani pozwoli zanieść go do łóżka... Drogie dziecko!

Pani Zofia skinęła przyzwalająco głową, a on objął go miękko i poniósł ostrożnie stąpając, aby nie zaskrzypiała podłoga.

- To dobry człowiek - rzekła po jego wyjściu panna Katarzyna. - Tylko za wiele każe jeść grzybów. Jak myślicie, czy my tu długo będziemy popasać?

- Ja nie mam czasu... Ja nie mam czasu... odpowiedział głucho aptekarz.

- ...Bo ja mam takie wrażenie, że pan M0ścirzecki zbyt prędko stąd nas nie wypuści. Zaczynam wierzyć, że istotnie zrobiliśmy mu radość naszym przybyciem. Ten człowiek musiał zdziżyć w samotności, bo pan Dziurawiec jest tylko Piętaszkiem Robinsona Kruzo.

- Ale mnie się śpieszy... Mnie się bardzo śpieszy ... - biadał aptekarz.

- Panie Alojzy! - mówiła przedziwnie w tej chwili łagodna panna Katarzyna - musi się pan zdobyć na odrobinę cierpliwości. Trudno się będzie sprzeczać z chorym i starym człowiekiem, dla którego czas nic nie znaczy. Czekaliśmy tak długo, poczekajmy jeszcze dzień lub dwa. Sądzę, że dzisiaj jeszcze powinniśmy odczytać dokument, a teraz chodźmy cokolwiek odpocząć, bo przyznam się, że mnie na tej bryczce cokolwiek wytrzęsło.

Pan Dziurawiec skwapliwie powróciwszy, zawiódł ich do gościnnych pokojów, ku ruchliwemu niezadowoleniu zasiedziały tam pajaków, a sam udał się na narady z panem Wojciechem. Trwały one bardzo długo, a o czym gadano: "nikt tego nie wiedział ni wtenczas, ni potem". Goście zostali zawiadomieni, że pan Wojciech zaprasza ich przed swoje oblicze na jutro, na dwunastą w południe, na wielką końcową uroczystość, na razie zaś zostawia im wszelką swobodę, prosząc, aby jego dom uważali za własny. Nie było innej rady, jak przyjąć to do wiadomości i resztę ślicznego dnia spędzić na zwiedzaniu Przypłocia. Do zmroku było jeszcze daleko, więc się towarzystwo podzieliło i poczęło się wałęsać dookoła szkaradnego domu. Panie poszły do dzikiego parku, a za nimi, w niewielkiej odległości, kroczył samotny, ze smutnie pochyloną głową, pan Alojzy.

Złote liście padały na ścieżki, upstrzone przesianym przez gałęzie słonecznym blaskiem. Na pochyłym płocie wrzeszczała sroka, oznajmiająca całemu światu, że stała się za jej pamięci rzecz niesłychana: goście zjawili się w Przypłociu! Powtórzyła tę nowinę siedem razy, nieumęczona plotkarka, po czym poleciała w inną stronę, dojrawszy jeszcze jedną grupę.

Wiódł ją Ralf Piegowaty , za którym podążała trójka młodych. Minęli zaniedbane gospodarskie obejście, płosząc stada kłótliwych indyków, mądrych, wojowniczych gęsi i głupawych kaczek.

- Stryjaszek zjada dwa sucharki, a któż zjada to tałatajstwo? - zdumiał się Ralf.

- Albo pan Dziurawiec, albo lisy - zaśmiał się Jan. - Jak myślisz, bracie rodzony, czy stryjaszek pozwoli nam na pamiątkę naszego pobytu zabrać do Warszawy kilka indyków?

- Myślę - z wielką powagą odparł malarz - że stryjaszek każe wmurować na naszą cześć tablicę, ale indyki zje sam. To nie ciocia Marta, która by poświęciła ostatnie cielę z obory , byle tylko nakarmić biednych, młodych Polaków.

- Mam pewną myśl! - rzekł tajemniczo Ralf.

- Na Boga! Tylko się nie wysilaj! - zawołał Jan. - Od zbytniego myślenia Amerykanin może się rozchorować.

Ralf zabił go spojrzeniem, rozciartował i kawałki ciała rzucił kaczkom na pożarcie.

- Dobrze by było - mówił czarnym głosem - ukreć głowy dwom indykom, trzem gęsiom i czterem kaczkom. Na jeden raz może by wystarczyło. Wieczorem znaleziono by zwłoki, a jutro odbyłby się uroczysty pogrzeb... uroczysty obiad, chciałem powiedzieć.

Idea jest dobra, ale nieco amerykańska - Ale nie da się jej wykonać, Dziurawiec podąża naszym śladem.

- Patrzy jednak w inną stronę...

- To znaczy, że właśnie nas widzi... Nic z tego, bracie, będziemy jedli grzyby.

- Za żadne skarby! - wrzasnął Ralf.

Pan Dziurawiec dopędził ich, mocno zdyszany, i rzekł ni przyszywszy, ni przyłatawszy:

- "Razem, młodzi przyjaciele!" Pójdziemy na cmentarz, bo to niedaleko...

- Na cmentarz?

- Tak jest, panowie! Powinniście odmówić dziękczynną modlitwę na grobie swojego dobroczyńcy, rejenta.

- Słusznie, słusznie... Którędy, proszę pana?

- Na prawo, tam do tych wyniosłych drzew. Dobrze im się tam odpoczywa, zacnym nieboszczykom, bo miejsce jest wyjątkowo suche i cieniste.

- Zdaje się jednak, że krowy mącą im nieco wieczny odpoczynek...

- Trudno! Pan Mościrzecki nie chce ogrodzić cmentarza, a krowa jest stworzeniem bezmyślnym. Na wróble wymyślono strachy, ale na krowy nie ma sposobu.

Cmentarzyk był niewielki i jeszcze bardziej zapuszczony niż park. Niektóre groby zapadły się, na innych bujały chwasty. Z porośniętymi mchami kamieni trudno było odczytać wyrzeźbane w nich litery. Nic by w tym nie było dziwnego, gdyby oburzeni tym nieznośnym

zaniedbaniem przodkowie powstali jednej nocy i wzięwszy trumny na plecy, przenieśli się w inną okolicę, na wzgórek przy ślicznym kościele. Pan Wojciech liczył widocznie na ich wielkie przywiązanie do rodzinnej ziemi, skoro się nie obawiał takiego skandalu.

Grób rejenta mieścił się pod płaczącą wierzbą. Była to, zdaje się, jedyna istota, która płakała nad jego utratą. Na nagrobnej płycie widać było głęboko żłobione litery. Ralf wydobył scyzoryk i oczyścił płytę z upartych i mocno dzierzających się mchów. Wtedy można było odczytać pod pana rejentowym nazwiskiem rzewne pisanie:

Sta viator i westchnij za duszę Rejenta Co oddał Bogu ducha w Wielkanocne Święta Roku Pańskiego Tysiąc osiemset trzydziestego.

Wszyscy pochylili odkryte głowy i przez chwilę trwali w milczeniu. Panna Janina, zebrawszy w pobliżu wiązkę kwiatów, położyła ją na grobie.

- Będziecie go błogosławić - rzekł z głębokim przekonaniem pan Dziurawiec. - Pan Mościrzecki jest również tego samego zdania. Dziwny to musiał być człowiek! Pozostawił wielką tajemnicę, lecz ze wszystkiego można wnosić, że musiał postąpić tak właśnie, nie inaczej. Pan Wojciech przypuszcza, że rejent był politycznie skompromitowany i ukrył się za tą tajemnicą jakby chciał też narazić dzień jutrzejszy wszystko nam

Prosił ich potem uprzejmie na podwieczorek i zapowiedział, że wieczera odbędzie się o godzinie ósmej.

- Grzyby? - zapytał nieśmiało Ralf.

- Czy pragnie pan grzybów? - zawołał z entuzjazmem Dziurawiec. - Ależ ile ich tylko dusza zapagnie i w każdej postaci!

- Bodajbyś zgrzybiał! - szepnął Jan do - Ralfa.

- Broń Boże! - rzekł szybko Józef. - Ralfowi grzyby bardzo szkodzą, a jest tak nieśmiały z natury...

- Rozumiem, rozumiem... Ja też jestem zdania, że to mizerna potrawa.

- Ale widzieliśmy kaczkę...

- Kaczki? To bardzo być może... - odparł Dziurawiec z zakłopotaniem. - I ja widziałem kaczkę... To wyśmienite danie! Tylko... Jak by to panom wytłumaczyć? Zaraz, zaraz, niech tylko pomyślę... Dobrze! Będą kaczkę - zawołał z nagłą determinacją. - Ale czy mi dacie słowo honoru, że nigdy, przy żadnej sposobności nie wspomniecie o tym, żeście je jedli? Dajecie słowo? Będą kaczkę! Co mi tam... Raz kozie śmierć!

- I kaczkę!

- I kaczkę! Paniom też proszę powiedzieć, żeby o tym ani słowa... Szelma kucharz będzie miał wielki dzień, bo go też trzeba będzie przekupić jedną kaczką. Tak was jednak

polubiłem, młodzi przyjaciele, że urządzimy rzeź! Tylko ani mru–mru! Kości się potem zakopie, aby psy nie rozwłoczyły, boby się mogło wydać. Pomogą mi panowie?

- Jak jeden mąż!

- Zrobione. Kaczek jest zatrzesienie, kto się ich doliczy?

Pan Dziurawiec był wyraźnie rozradowany własną kaczą zbrodnią i tak podniecony, że Zostawiwszy ich w polu, pobiegł przez bezdroża.

A wieczorem stroił przedziwne miny i ciągle przykładął palec do ust, przypominając straszliwą tajemnicę... Kucharz zdradzał niejaki pomieszenie zmysłów. W kurnikach słychać było płacz i narzekanie.

Pan Mościrzecki wezwał późną godziną Dziurawca i rzekł posępnie:

- Czy mi się zdaje, czy istotnie w całym domu czuć zapach pieczonych kaczek?

- Przecie to pan zjadł dzisiaj dwie kaczki - odpowiedział Dziurawiec ze zbrodniczym spokojem.

- Prawda... prawda!... Ale niech pan sobie wyobrazi, że już o tym zapomniałem i chętnie bym coś przegryzł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

w którym diabeł z szafy nikogo nie skrzywdziwszy, opętał pana Dziurawca

Trzech Budrysów umieszczono w tym pokoju, w którym straszyla przeklęta i nawiedzona szafa. Obejrzeni ją z ciekawością i przy tej sposobności wypłoszyli jedną mizerną mysz, którą trudno było pomówić o szatańskie sprawy.

- Jeżeli w tej szafie mieszka diabeł - rzekł Jan - musi to być wielki łapserdak. Starożytny jest to grat i do tego kulawy, bo ma tylko trzy nogi, a czwartą zastępuje cegła. Ralfie, czy boisz się tej szafy?

- Z mebli boję się jedynie fortepianu, ale tylko wtedy, kiedy ty na nim straszysz. Poza tym jestem nieustraszony.

- Wobec tego chodźmy spać!

Noc była prześwietnie jasna i srebrna od księżyca. Przez okno widać było w srebrze odlany szlachetny gmach bernardyńskiego kościoła, po którego dachach lała się świetlista miesięczna struga. Cały świat nappełniło "przyjazne milczenie księżyca" - jak -pięknie mówi łaciński poeta. Świat zalała miękka jak muśliny cisza. Na niebie nie było ani chmurki.

Wszyscy już zapewne posnęli w rozłożystym domu, bo nie było słyhać żadnych ludzkich głosów. Trzej młodzieńcy rozmawiali przyciszonymi szeptami, zgasiwszy świecę, zgoła zbędną wobec srebrnej miesięcznej obfitości.

Ralf patrzył przez okno na cichy świat i czasem smutno westchnął. Myślał - być może - że w tej samej chwili panna Janeczka spogląda przez drugie okno i też srebrzyście marzy.

Jan trącił nieznacznie łokciem brata Józefa i szepnął:

- Słyszysz?

- Słyszę. To może dlatego, że zjadł na kolację całą kaczkę.

- Nie, boby kwakał, a nie wzdychał.

- Co wy tam szeptacie? - zapytał Ralf podejrzliwie, nagle się odwróciwszy.

- Nic, nic... Janek mnie pytał, czy zauważyłem, jak ten śmieszny Dziurawiec zawracał oczami w stronę panny Janiny, która się do niego uśmiechała.

- Dziurawiec? Widziałeś? ... A ona się uśmiechała? To też widziałeś?

- Zdaje mi się, że widziałem, ale może się mylę, bo nigdy przecie nie wiadomo, na kogo ten człowiek patrzy.

Ralf usiłował ostrym spojrzeniem przebić srebrem przesiany mrok i zajrzeć w oczy malarza, napotkał jednakże oczy anielsko niewinne.

- Co to było? - przejmującym szeptem zapytał nagle Jan.

- Co ma być?

- Nie wiem... Cicho!... Zdaje mi się, że ktoś chodzi...

Zaczęli nasłuchiwać, pozostawiwszy w spokoju Bogu ducha winnego Dziurawca.

- Tak, ktoś chodzi... Z lewej strony...

Wśród nocnej ciszy słychać było powolne kroki ciężko wlokących się nóg.

- Ktoś nie może spać. Ale kto?

- Aptekarz - szepnął Jan. - To z jego pokoju... Gdyby ciocia Kasia wędrowała po nocy, toby grzmiało i drżałby- dom. Tak, to on! Biedaczysko...

- A może to lunatyk?

- Lunatyk nie chodziłby po pokoju, tylko po dachu, bo u nich taka moda. Biedny człowiek nie może spać w oczekiwaniu jutrzejszego dnia. Przyznam się, że mi go strasznie żal. Ot, sprawiedliwość, psiakrew! Jeden Mościrzecki tyje tak, że trzeba będzie nabijać na niego obręcze, a drugi chudnie z głodu... Daj Boże, żeby się to już jutro odmieniło! Ale nic na to nie poradzimy... Chodźmy spać!

Jan zaczął badać przeznaczone dla niego łóżce i wzruszył ramionami.

- Nawet Madej zbój nie wytrzymałby na czymś takim... Straszne łóżce!

Ralf, bardzo zamyślony i milczący, pochylił się nad swoim legowiskiem i pokiwał smutno głową. Po czym nagle powziąwszy postanowienie, zwałówał z niego słomę nadziany siennik, poduszkę i wyliniały koc i zwałił to wszystko pod ścianę.

- Co czynisz, szalony? - zapytał Jan.

- A jakże ja się zmieszczę na tym łóżeczku? Czy mam otworzyć okno i wyciągnąć przez nie nogi w stronę parku? Czy mam się złożyć jak scyzoryk?

- Trzeba było w dzieciństwie jeść kaszę, a nie drożdże. Dobranoc!

- Obyś nie usnął do rana! - mruknął Ralf.

Po niedługiej chwili obaj bratowie zapadli w czarną topiel snu, a Ralf, wyciągnięty na podłodze wzdłuż ściany, rozmyślał boleśnie i starał się przypomnieć sobie, czy istotnie Dziurawiec usiłował oczarować pannę Janinę.

- Jest to ohydne oszczerstwo! - rzekł wreszcie do swej rozziwanej duszy. - Na spółkę wymyślili takie łajdactwo i śpią jak niemowlęta. Poczekajcie, małpiszony!

Podniósł się cichutko i na kolanach posunął ku śpiącej szafie. Obiema rękami ujął u dołu jej odrzwia i szarpnąwszy rozwarł je jednym ruchem. Skrzydła szafy rozleciały się z piskiem i ze skrzypieniem we dwie strony.

- O Boże, co to?! - wrzasnął Jan.

- Nie wiem... - dygocącym głosem ozwał się brat wyskoczywszy z łóżka.

- Zapal prędko świecę... Ralf!! Ralf!!

Ralf oddychał głęboko w ciężkim pogrążony śnie.

Józef zapalił świecę drżącą ręką i przy jej migotliwym blasku badał pokój.

- Szafa! - szepnął zdławionym głosem.

~ Szafa! - ze zgrozą szepnął Jan.

Szafa rozwarła żarłoczną paszczę jak wieloryb przed połknięciem Jonasza. Zatrwożeni bratowie patrzyli na siebie spłoszonym wzrokiem, a nogi drżały pod jednym i drugim.

- Ja już oka nie zmruję... - szepnął Jan po długiej chwili.

- A Ralf śpi Czy zbudzić go?

- Po co? Co on poradzi?

Ralf westchnął głęboko przez sen i coś zamamrotał.

- Nie zaśniesz?

- Nie. Do stu tysięcy!...

- Nie kończ... Ja też nie zasnę. Nie gaś świecy!

- Za pół godziny wypali się sama. A cóż to za straszny dom! I co teraz robić?

- Czy ja wiem? Czekajmy świtu...

Odwracali wzrok od przeklętej szafy, jak gdyby się trwożąc, że z jej ciemnej czeluści wyjdzie na nich blade widmo z zielonymi oczami. Usiedli obaj na jednym łóżku, oparli się plecami o zimną, wilgotną ścianę, i tak trwali. Czasem coś szepnął jeden do drugiego, aby sobie wzajem dodać odwagi, i z pełną podziwu zazdrością patrzyli na długie zwłoki Ralfa, pogrążone w szczęśliwym śnie.

Gdy świt zarumienił okno, dwaj braciszczkowie spali, przytuleni do siebie, a mściwy Ralf, usiadłszy na posłaniu, uśmiechał się jak najgorszy z szatanów.

Podniósł się potem cichutko i spełniał jakieś tajemnicze czynności.

„Niech sobie jeszcze pośpią, robaczki - pomyślał, kładąc się znowu na chudym sienniku. - Dla mnie też jeszcze za wcześnie”.

Po godzinie zbudziło go gwałtowne potrząsanie.

- Ralf, obudź się! Obudź się!

Amerykański szatan zemsty otworzył niechętnie oczy.

- Czego chcecie? Pali się?

- Gorzej?

- Powódź? Sadowka wylała?

- Nie bądź głupi i odpowiadaj: czy słyszałeś co ubiegłej nocy?

- Owszem. Zdawało mi się, że ktoś chrapał w pobliżu.

- Nic więcej?

- Nic więcej! Albo co? Czemu jesteście tacy bladzi?

- Wcale nie jesteśmy bladzi, zresztą mniejsza o to... Czy wiesz, co tu się działo w nocy?

- Nie wiem...

- Spójrz na tę szafę!

- Widzę, że sterczy. Czego chcecie od tej głupiej szafy?

- Skoczysz na równe nogi, gdy ci opowiemy o tej głupiej szafie. Otóż gdy ty zasnąłeś i kiedy myśmy zasnęli, szafa otwarła się z przeraźliwym trzaskiem...

- Widzieliście to na własne oczy?

- Jednemu mogło się przywidzieć, ale my widzieliśmy to obaj!

- Bardzoście się przestraszyli?

- A ty byś się nie przestraszył? Nie mogliśmy zmrużyć oka, wreszcie usnęliśmy, zapewne ze zmęczenia. Budzimy się raniutko i dech nam zaparło: szafa była zamknięta!

- Ki diabeł? - zdumiał się Ralf.

- I nasze ubrania znikły! Czy słyszysz? Nasze ubrania znikły!

- I moje? - wrzasnął Ralf.

- I twoje! Ubrania i buty!

- Niemożliwe... Czy drzwi zamknięte?

- Zamknięte i nikt tu wejść nie mógł.

Nawet pan Dziurawiec? To sprytny człowiek!

- Skąd i po co? I cóż ty na to?

- Widać, że w tym domu naprawdę harczą czorty. Czy słyszał kto o czymś podobnym?

mówił Ralf posępnie, podnosząc się z posłania. Przyjrzał się złośliwej szafie i począł zbliżać się do niej z wahaniem.

- Cóż chcesz zrobić? - zawołał Jan.

- Otworzę szafę!

- Ostrożnie, powiadam ci, ostrożnie!

Nieustraszonego Amerykanca gwałtownym ruchem szarpnął oba skrzydła szafy.

- O, o! Ubrania są w szafie. Rozum się w głowie miesza!

- Okłady dobrze wam zrobią... Więc wszystko w porządku. Ubrania są, buty są, tylko diabła nie ma, choć musiał tu być z wszelką pewnością.

- Był czy nie był, a ja w tym pokoju spać nie będę! Ty, Józef, pewnie też nie? W tej chwili idę szukać Dziurawca i poproszę o inny pokój.

- Ja bym tak nie zrobił - mówił Ralf z namysłem - bo się ta czartowska historia rozgłosi i panie się przerażą. Dziurawiec jest gadatliwy i może zechce tą piekielną awanturą zabawić pannę Janinę.

- Dlaczego właśnie ją? - zapytał Jan rozdrażniony.

- Dlaczego ją? Przecie sam mówiłeś, że robi do niej słodkie oczy.

- Mogłem to powiedzieć żartem... Wszystko jedno zresztą! Ale co teraz robić?

Ralf się zastanowił.

- Najprościej będzie wyrzucić stąd szafę!

- Tak bez pytania?

- Można bez pytania. Mnie się zdaje, że gdyby cały ten dom wywrócić do góry nogami, pies z kulawą nogą wcale by się o to nie zatroszczył. Jazda! Wyjmijcie odzież i bierzcie szafę.

Po niejakiem czasie dwaj niewyspani bracia cicho jęcząc przesuwali z trudem straszliwy mebel na przestronny korytarz.

- Pomóż! - zdławionym głosem prosił Jan.

- Nie mogę. Muszę przytrzymać drzwi, aby się nie rozleciały! - oświadczył Ralf.

W tej chwili ozwał się zdumiony głos cioci Marty:

- Co wy wyprawiacie? Czyście poszaleli, chłopcy? Dokąd suniecie tę szafę?

- Do diabła! - odrzekł ponuro Jan.

- Za ciasno nam w pokoju - z uśmiechem tłumaczył Ralf. - Czy nie można by tej szafy umieścić w pokoju cioci?

- Dlaczego w moim?

Bracia ocierali pot z czoł, spoglądając bezradnie, gdy wtem ohydna szafa, którą przestano się zajmować na krótką chwilę, sama otwarła się z trzaskiem, bo była przechylona, mogąc się oprzeć tylko na trzech krótkich nogach. Bracia zdrętwieli i patrzyli na to dziwowisko szeroko otwartymi oczami, Ralf natomiast zamknął ją spokojnie i rzekł do Józefa:

- Przynieś z naszego pokoju cegłę, bo się wciąż będzie otwierać. W tym kącie będzie jej do twarzy!... Czy ciocia już po śniadaniu?

- Dlaczego ja mam być po śniadaniu? Czy ja wiem, gdzie tu można zjeść śniadanie?

- Chodźmy na poszukiwania! Zapomnijcie już o tej szafie - szepnął Ralf do braci - a ja znajdę jakiś gwóźdź i zabiję ją na amen. Wesoło, wesoło, lube chłopaczki!

- Dobrze ci mówić! - syknął Jan. - Wypałeś się...

- Co wy tam gadacie? - zapytała ciocia.

- Mówimy, że umieramy z głodu! - odrzekł Józef ponuro. - Oho, pająk!

- Dobrze, że nie szczur - mówił Ralf. Straszny dom! Jeżeli z któregoś kąta wypełźnie krokodyl, niech się ciocia nie przestraszy. Zdaje mi się, że trzeba iść tędy!

Z najbliższego jednak załomu wyłonił się, w pełnej świetności pan Dziurawiec, rześki, wyświeżony, uprzejmy i wylewny. Ucałowawszy obie ręce cioci Marty, wskazał jej drogę do ponurej jadalni, sam zaś zatrzymał się, dojrawszy tajemne znaki, które mu dawał Ralf.

- Czy się coś stało? - zapytał zaniepokojony.

- Bardzo wiele! Nie chcieliśmy panu o tym mówić, lecz że na własną rękę poczyniliśmy pewne zmiany w naszym pokoju, myślę, że nie należy tego ukrywać przed panem. Prosimy tylko o ścisłą tajemnicę... Czy możemy panu zaufać?

- Jak księdzu na spowiedzi!

- Otóż niech się pan dowie, że ta przeklęta szafa w naszym pokoju, przed którą nas pan ostrzegał, wyprawiała dzisiejszej nocy potworne harce. Wynieśliśmy przeto szafę na korytarz.

Oblicze pana Dziurawca wyrażało najwyższe zdumienie.

- Jak to? - zawołał. - I ta także?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- To chcę powiedzieć, że kiedy panowie wyszli wczoraj na zwiedzanie okolicy, kazałem tamtą nawiedzoną szafę wynieść z domu i ustawić ją na folwarku, a na jej miejsce ustawiliśmy inną, zniesioną ze strychu, i jak mi się zdawało, zgoła niewinną. A teraz słyszę... Panowie, zaczynam być przerażony!

Bracia wymienili pomiędzy sobą szybkie spojrzenia, po czym bystro spojrzeli na Ralfa, a choć korytarz był mroczny, dojrzeli w gęstwinie piegów nagle zrodzony rumieniec.

- Ach, więc to tak? - szeptem zasyczał Jan.

- Nie inaczej! - mruknął Józef. - Złapaliśmy diabła za ogon.

- Co to znaczy? - zdumiał się Dziurawiec.

- Nic... nic... Bardzo pana przepraszamy za, wyniesienie szafy, którą natychmiast wniesiemy z powrotem. Istotnie, coś się nam przywidziało. Nie warto o tym mówić! Ale czy pan nic nie będzie miał przeciwko temu, jeśli w tym, domu poleje się dzisiaj krew?

- Na Boga! Krew? Czyja?

- Tego idioty diabła, co nas dzisiaj straszyl.

Już my się z nim policzymy!

- Nic a nic nie rozumiem. Cieszę się jednak, że się panowie nie boją, nie ma się zresztą czego bać. A teraz proszę na śniadanie!

Rześko ruszył przodem, a trójca ponuro patrząca podążała powoli za nim, chociaż Ralf nieco się ociągał.

- Chodź prędzej! - szepnął Jan. - I z serca ci radzę, abyś się dobrowolnie udławił przy śniadaniu, bo wtedy nie będziemy biciem znieważali nieboszczyka. Ty ludzka kreaturo, ty długi soliterze, ty bezgłowa żyrafo, ty amerykański drągu, telegraficzny słupie, nieudany diable, ty strachu ze szafy! Dostaniesz takie lanie, jakiego świat nie widział!

- Dwóch na jednego? - drwiąco, chociaż niepewnie rzekł Ralf. - Rozumiem; dwóch półgłówków na jedną całą głowę!

Pan Dziurawiec znacznie się oddalił i zniknął w jadalni. Wtedy oni przystanęli.

- Po coś to zrobił? - zapytał głucho Jan. Po co, kretynie, udawałeś diabła?

- Bo obraziliście anioła!

- Jakiego anioła? Józiu, ten podczłowiek zwariował!

- Obraziliście pannę Janinę twierdząc, że się uśmiechała do Dziurawca. Udawałem diabła z zemsty. Przyznaję, że to głupia zemsta, ale wasz postępek był gorszy, o wiele gorszy! Wam się nic nie stało, a na mą rzuciliście kalumnię. Chcecie się bić? Bardzo proszę! - wołał, zdejmując marynarkę.

Jan pomyślał chwilę, po czym rzekł:

- Jak sądzisz? Ilu jest w tej okolicy znakomitych, potężnych idiotów? Jest ich trzech! My dwaj i ty. Całuj psa w nos. Chodźmy wtłoczyć szafę z powrotem. Idziesz?

- Oczywiście, że idę. Nie będziecie oczerniać panny Janiny?

- Nie będziemy. A ty, ogoniasty, nie będziesz straszył uczciwych ludzi?

- Nie będę!

- Amen. Prowadź, czorcie!

W radosnym zapale nie zauważyli nawet, że ustawili szafę drzwiami do ściany.

- Niech już tak stoi! - zaśmiał się Ralf, spostrzegłszy pomyłkę. - Przynajmniej nigdy się nie otworzy, a po naszym wyjeździe Dziurawiec będzie się ze zdumienia drapał w głowę. A teraz na śniadanie, rodacy!

Przy stole zastali nastrój wesoły, gdyż ciocia Kasia wyliczała ilość pajaków, które musiała w swoim pokoju zakatrupić pantoflem, co jednakże było drobnym urozmaiceniem wobec tego, że się pod nią załamało łóżko, więc resztę nocy musiała przespać na podłodze. Pan Dziurawiec płonął ze wstydu jako burgrabia tego zamku. Więc zaczął niepewnie:

- "Stara, rodowa siedziba... Przywiązanie pana Mościrzeckiego do tradycji..."

- Terefere! Gadaj pan zdrów! - huknęła ciocia Kasia. - A ja panu zapowiadam, że jeżeli pobędziemy tu parę dni, nie pozostanie kamień na kamieniu! Woda tu jest?

- Oczywiście!

- Mydło jest?

- Mydło? Być może, że gdzieś jest...

- Aha, tylko "być może". Ale widziałam za górką jakieś miasteczko, gdzie go zapewne będzie można dostać. Będzie pan miał kilka gorących dni! Obejrzymy przy sposobności mieszkanie pana Mościrzeckiego i pańskie też. Czy pan jest żonaty?

- Niestety, nie...

- Żadna pana nie chciała?

- Może aż tak źle nie było... - zamruczał pan Dziurawiec i spłonął rumieńcem.

- Więc niechże się pan ożeni, do stu tysięcy!... Bo was tu śmiecie zagrzebie. W tym domu trzeba albo Herkulesa, co wymiółł stajnie Augiasza, albo dzielnej kobiety, co na jedno wychodzi. Ralfie, uważaj! W twojej kawie utopiły się cztery muchy... Zresztą jeżeli to jest kawa, to ja jestem królowa Saba. Z czego wy tu fabrykujecie kawę, drogi panie? Z żyta czy z jęczmienia? Czy pan Mościrzecki pija taką samą?

Pan Dziurawiec bąknął jakieś słowa, rumiany od wstydu po raz drugi, ale nie zdradził głębokiej domowej tajemnicy, że jego patron pija na śniadanie kielich wódki, zwanej "dzięgielówką" - i zagryza wyborną kielbasą (co dopiero znacznie później wyszło na jaw!) - uważając kawę za napój szkodliwy i niegodny polskiego szlachcica.

Oszalały zegar wybił jakąś trzydziestą trzecią godzinę, naigrawając się z ludzkiego podziału czasu.

- Z tym diabłem z zegara nie mam nic wspólnego! - szepnął Ralf do Jana. - Więc nie miejcie do mnie pretensji, jeśli to zwierzę w nocy wejdzie do naszego pokoju. Panie Dziurawiec, która wedle tego zegara może być godzina?

- A ile razy wybił?

- Trzydzieści trzy.

- Trzydzieści trzy? Jeśli się bardzo nie mylę, trzeba by to podzielić przez cztery, więc wypadnie ósma i kwadrans, a naprawdę dochodzi ósma. Ten zegar ma czasem przebłycki natchnienia. Skoro już o tym mowa, przypominam, że pan Mościrzecki prosił panie i panów na godzinę dwunastą, przedtem zaś bardzo by chciał porozmawiać z szanowną panią w sprawie Maciusia - rzekł pan Dziurawiec, patrząc na aptekarza i kłaniając się pani Zofii.

- Ze mną? O czym?

- Tego mi nie powiedział. Wiem tylko, że go bardzo zabolął los tego chłopczyka.

Pani Zofia ze źle ukrywanym ociąganiem weszła po jakimś czasie do przybytku pana Wojciecha, który ją przywitał z głośnie radością. Poglądził po głowie chłopca, a matce wskazał wygodny fotel. Począł się tłumaczyć długo i szeroko, że śmiał ją prosić o przybycie, lecz wahał się na to jedynie ze względu na dobro dziecka. Przemawiał gorąco, niemal tkliwie, jak gdyby los tych dwojga leżał ciężkim kamieniem na jego otłuszczonej sercu.

- Proszę drogą kuzynkę, aby zechciała wysłuchać mnie z uwagą. Kuzynka już o tym wie, że z łaski losu możemy się spodziewać wielkiego majątku, zebranego kiedyś przez rejenta. Proszę o tym nie wątpić! Rozważyłem tę sprawę i jestem pewny, że się nie mylę, zresztą wkrótce się o tym dowiemy. Otóż synkowi pani przypadnie pewna część. Może to być mało, może jednak być bardzo wiele. Ja myślę, że wiele. Należy się przeto zastanowić, co pani z tym pocznie, zanim Maciuś dojdzie do odpowiednich lat.

- Czy pan przypadkiem nie za szybko...

- Wcale nie, wcale nie! W sprawach majątkowych trzeba być bardzo przewidującym. Tego, co mówię, jestem pewny i dlatego chcę panią prosić, aby pani w imieniu syna zawarła ze mną układ. Głęboko obmyśliłem całą sprawę, i to w najdrobniejszych szczegółach. Chcę postąpić w ten sposób: pani w imieniu synka odstąpi mi przypadającą na niego część majątku, a ja za to zapewnię mu utrzymanie i wykształcenie aż do dojścia do pełnoletności. Pani, rzecz oczywista, też będzie korzystała z pewnej części z przyznanych mu dochodów... Niech pani raczy nie przerywać! Widzi pani, że ja kupuję skórę na niedźwiedziu, a płacę, i to z góry, złotą gotówką. Taki już jestem. Lubię wszelkie ryzyko. Może na tym stracę, a może zarobię, czego bym nie chciał...

- Po co pan w takim razie chce to uczynić?

- Sam tego dobrze nie wiem... Pomyślałem jednak, że dobrze by było, gdyby ten majątek, który przez grób wraca do rodu Mościrzeckich, pozostał w całości tam, gdzie powstał. Pragnąłbym nasz ród podźwignąć i nadać mu nieco blasku. Sądzę, że wszyscy Mościrzeccy przyznają mi słuszność. Ja sam dla siebie niczego nie potrzebuję... Jestem chory i żyję jak głodujący mnich - mówił płaczliwym głosem - pragnę jedynie dobra wszystkich Mościrzeckich. A ten drogi chłopaczek to przecie najprawdziwszy Mościrzecki. Rozumie mnie kuzynka? Jakże więc będzie? Pan Dziurawiec przygotował już układ, który należy tylko podpisać...

- A jeżeli - mówiła z głębokim namysłem pani Zofia - ten oczekiwany majątek okaże się tylko urojeniem?

- To będzie moja strata, tylko moja! Ja przecie też podpiszę zobowiązanie i nigdy się nie cofnę. Będzie pani mogła zawsze dochodzić swoich praw dla syna. Niechże się więc pani

zgodzi. Ja ryzykuję wiele, pani nic, a chłopiec będzie miał zapewniony dobrobyt. A jeśli nie dobrobyt, to w każdym razie spokojną młodość.

Zmrużył oczy i przez szparki powiek patrzył pilnie na panią Zofię, tulącą do siebie syna. Serce jej uderzało szybko. Myśli krążyły w jej głowie jak jaskółki. Układ wydawał się jej uczciwy. Być może, że pan Mościrzecki wie już coś więcej niż wszyscy. Może jest w tych sprawach bardziej obrotny. Wcale nie wygląda na takiego, który by prosił, by mógł komuś wyświadczyć dobrodziejstwo. Może jednak istotnie lubuje się w takich ryzykownych historiach i gra jakby na loterii. A Maciuś, najdroższy Maciuś, miałby zapewniony kęs chleba, o który tak trudno. A może ona zdołałaby wtedy, mając zapewniony ten chleb, zająć się specjalnym kształceniem dziecka, tym świetnym kształceniem, co zastępuje oczy niewidomemu? Pan Mościrzecki ma jakieś swoje utajone cele, ale dziecko źle na tym nie wyjdzie. Cóż bowiem będzie, jeśli spadek okaże się chimerą albo żartem, albo pomysłem szaleńca? Trzeba będzie powrócić do snucia szarej przędzy biedy i zgryzoty.

Położyła rękę na trzepocącym się sercu i rzekła cicho:

- Czy nie mogłabym się kogo poradzić?

- Kogo, droga pani? Adwokata? Musiałaby pani wracać do Warszawy. A któż tutaj pani poradzi? Może tylko ta wysoka pani, zdaje mi się, że Katarzyna Mościrzecka, bo myślę, że ma mocną głowę. A ja pani ręcę, że powiedziałaaby to, co ja! A ja dobrze pani radzę. Zresztą musi to być ułożone między nami natychmiast, bo za dwie godziny będziemy wszystko wiedzieli, a wtedy będzie za późno. Proszę, niech to pani odczyta... Powiedziane tu jest wszystko najwyraźniej i najdokładniej i wszystko przewidziane. Ja już położyłem mój podpis, a tam leży pióro!...

Pani Zofia czytała powoli, każde zdanie po kilka razy, a skończywszy zaczynała raz jeszcze od początku. Ma się zrzec wszystkiego, co się wyłoni z zapisu rejenta, a w zamian: to, to i to. Istotnie, wyraźnie i ściśle. Data dzisiejsza.

Przycisnęła dziecko mocno do piersi i szepnęła cichutko:

- O, Maciusiu, czy ja mam to podpisać?

Chłopczyk wyciągnął rękę i dotknął papieru.

- Podpisz, mamusiu! - odpowiedział, znużony słuchaniem długiej rozmowy.

- Anioł mówi przez to dziecko! - rzekł z namaszczaniem pan Mościrzecki.

Chwycił łąpczywie dzwonek i głośno zadzwonił. Jakby spod ziemi wyskoczył pan Dziurawiec.

- Jako świadek! - objaśnił pan Wojciech. - Proszę, ten akt jest dla pani, ten dla mnie. Niech pan podpisuje! I niech pan swoim zwyczajem nie robi kleksów. Maciusiu, przyjmij moje

życzenia, bo od dnia dzisiejszego jestem jak gdyby twoim opiekunem. Mój dom jest twoim domem. Pani raczy o tym pamiętać. Wszystkie wolne chwile może pani razem z dzieckiem spędzać tutaj...

- Dziękuję, bardzo dziękuję... Czy mogę powiedzieć wszystkim?...

- Oczywiście, to są sprawy uczciwe! Do widzenia, Maciusiu... Do widzenia, droga kuzynko!

Po jej odejściu rzekł cicho do Dziurawca:

- Panie Adamie! Uczyniłem to, do czego mnie pan namówił, ale Bóg jeden wie, czy dobrze uczyniłem!

- Myślę, że doskonale!

- Panu wszystko jedno, bo nie pan będzie płacił, tylko ja. Ale jeżeli z tego całego interesu będzie figa, to się jeszcze z panem porachujemy, słyszy pan?

Pan Dziurawiec, dotąd pogodnie uśmiechnięty, spoważniał.

- Proszę pana! - mówił niemal uroczyście. - A gdyby nawet tak było, to i co? Śmiem powiedzieć, że Bóg wynagrodziłby pana, gdyby pan poratował tego nieszczęśliwego chłopczyka... Przecie pan jest bogaty, a to są nędzarze! No i bliscy krewni... Na widok tego dziecka serce mi się kraje...

- Ale mnie się nie kraje! - mruknął pan Mościrzecki. - Czy skończył pan już kazanie?

- Skończyłem... - odrzekł pan Dziurawiec, rozżalony.

- To dobrze. A cóż numer drugi?

- Aptekarz? Chodził przez całą noc po pokoju.

- Niedaleko ten zajdzie, co chodzi po pokoju - zaśmiał się nieszczercze pan Wojciech. - Ma przynajmniej tę pociechę, że może chodzić, a ja nie mogę. Co pan o nim wie?

- Niewiele. To jednak wiem z pewnością, że biedaczysko siedzi po uszy w długach.

- Dużo tego?

- Nie mogłem się dowiedzieć.

- A inni?

- Pani Cegłowska jest zamożna, panna Katarzyna jakoś sobie daje radę, Amerykanin ma pieniędzy jak lodu, panienka ciężko pracuje, a ci dwaj młodzi ludzie, malarz i muzyk, mają, zdaje się, jedną parę spodni na dwóch.

- Aha! Zbliź się pan... Musimy pogadać, a nie chcę, aby kto słyszał!

Nachyleni ku sobie, poczęli wieść długą rozmowę przyciszonymi głosami. Pan Wojciech zdradzał żywy niepokój, a jego burgrabia gorąco mu coś tłumaczył.

- Taka gratka nieczysto się zdarza! - zawołał wreszcie głośno.

Pan Mościrzecki otarł pot z czoła i rzekł:

- Smutny będzie pański koniec, jeżeli mnie pan wtrąci w nieszczęście. Ha! Mamy jeszcze godzinę czasu... Niech pan pójdzie po niego.

Zdumiał się aptekarz Alojzy, kiedy go Dziurawiec niemal przywiódł przed oblicze "głowy rodu". Przyjęty z wylewną serdecznością, uspokoił się nieco i patrząc spłoszonym spojrzeniem na bogatego krewniaka, czeka! pokornie.

Pan Wojciech wyraził głęboki żal, że teraz dopiero poznał tak miłego i rozsądnego człowieka, lecz wszystkiemu jest winne ciężkie niedomaganie, które mu nie pozwala na odwiedzanie krewnych. Tak jednakże zrzędził łoś łaskawy, że ich ku sobie zbliżył odwieczny nieboszczyk. Wobec tego pan Wojciech jest niezmiernie uradowany i wdzięczny rejentowi, że tego dokonał, choćby ta tajemnicza sprawa ze skarbem okazała się śmiesznym urojeniem.

Usłyszawszy ostatnie słowa aptekarz zerwał się z krzesła i znowu ciężko na nim usiadł.

- Urojeniem? - jęknął głucho.

- Albo dziwactwem, albo czym kto chce! - rzekł słodko pan Wojciech.

- O, Boże!

- Niechże się pan z góry nie trapi, któż jednak może wiedzieć, co się ukrywa w tych mętnych mrokach? I któż z nas może wiedzieć, kim właściwie był ten przodek? Może mu brakło piątej klepki? Może sobie stroił żarty, facecjonista i kpiarz. Bywali i tacy, bywali...

- Ale przecie pan Dziurawiec mówił...

- Pan Dziurawiec też jest fiksat i bierze urojenia za rzeczywistość. Czy panu słabo?

- Nie, nie... Tylko mi się mąci w głowie... Prawie że nie zmrużyłem oka!

- O, jakże mi przykro! Niech mi pan jednak powie szczerze, jak krewny krewnemu: czy pan bardzo liczy na spadek po rejencie?

- To mój ostatni ratunek! - krzyknął z rozpaczą aptekarz.

- Ach, tego nie wiedziałem... Tak panu ciężko?

- Strasznie mi ciężko!... Żona... dzieci... - Pewnie i długi?

- Więcej niż włosów na głowie

- Wolno wiedzieć, ile?

- Około pięciu tysięcy... I wciąż rosną... O, Boże miłosierny! Co ja pocznę, co ja pocznę? Przysięgam panu, że jeżeli i teraz cała ta sprawa weźmie w łeb, to się powieszę, słowo daję, że się powieszę!

- Spokojnie, spokojnie! Ktoś mądry powiedział, że zawsze mamy więcej powodów do życia niż do śmierci. Po co się wieszać? Przecie zawsze może się znaleźć wyjście z najtrudniejszej sytuacji. Przecie i ja jeszcze jestem na świecie!

- Pan? Czy par? by chciał?

- Zaraz, zaraz... Pragnąłbym przede wszystkim, aby pan wiedział, że mi los mojego rodu bardzo leży na sercu. Nie mogę na to patrzeć, jak się dręczy ktoś z moich bliskich. A pana, kuzynie, żal mi tym bardziej, że się pan znalazł w takich tarapatach. Inni z rodziny są albo jeszcze młodzi, albo zamożni i jakoś dadzą sobie radę. Pan nie! Dlatego chcę panu coś zaproponować. Jałmużny pan z pewnością nic przyjmie, ale możemy ubić pewien interes.

- Jaki, jaki? - pytał zachłannie aptekarz.

- Zaraz się pan dowie, proszę tylko słuchać uważnie. Pragnę panu pomóc, a to jest najważniejsze! Osobiście jestem zdania, że nieboszczyk rejent zadrwił sobie z nas wszystkich, lecz być może, że się mylę. Przypuśćmy, że się coś znajdzie. Zgoda! Ile się znajdzie? Może wiele, może mało. Raczej mało niż wiele, bo i skądże by skromny rejent mógł zebrać wielki majątek? Dlaczego go nie zostawił własnym, rodzonym dzieciom?

- Tak, tak... - jęczał aptekarz zmiążdżony, jak gdyby każde słowo waliło się na niego ciężkim kamieniem.

- Cieszy mnie, że pan podziela moje zdanie. Ale to jeszcze nie koniec. Co mógł rejent zostawić? Dajmy na to, że gdzieś zakopał garnek dukatów. Przypuszczenie to jest nieco krotochwilne, ale musimy wszystko rozważyć. Mamy przeto dukaty, ale mamy też i dziewięciu spadkobierców, czyli że każdy dostanie dziesięć, może dwadzieścia złotych piąćdziesiąt. Dość dużo, żeby nie umrzeć, za mało, żeby żyć. Zabiera pan, drogi panie, swoje dukaty i co pan uczyni? Sprzeda pan i za to przeżyje pan pół roku. A długi?

- Długi... - powtórzyło rozpaczliwe echo. - Ale rejent pisze, że to, co pozostawił, zapewni jego rodowi "bogactwo i potęgę".

- Wiem, że tak napisał, ale cóż z tego? Za czasów króla Jagiełły wół kosztował dwa srebrne grosze, za czasów reagenta kilkaset dukatów było wielkim majątkiem, więc sobie zacny człowiek wyobrażał, że za sto lat będzie tak samo. A to są dzisiaj prawie że grosze. I te grosze pan dostanie, chyba że zgodzi się pan na inne wyjście.

- Jakie, na Boga, jakie?

- Dla pana jedyne. Postanowiłem zaproponować wszystkim spadkobiercom wykupienie ich części ze spadku po rejencie. Jestem najstarszym z rodu, dość zamożnym, dziedzicem domu i włości reagenta, i dlatego pragnąłbym zachować to, co pochodzi od mojego przodka, po prostu jako pamiątkę. Wszystko mi jedno, czy to będzie rzecz cenna, czy byle co. Rozumie mnie pan?

- Staram się rozumieć... I pan by chciał...

- I ja bym chciał kupić pańską część. Pan Dziurawiec wypłaci panu gotówką umówioną cenę, a pan podpisze zrzeczenie się na moje mię. Ale ja wcale nie nalegam, niech mnie Bóg

broni! Chce pan, też będzie dobrze, a nie chce pan - też będzie dobrze! Uprzedzam pana jedynie, że musi pan powziąć postanowienie natychmiast, bo za godzinę może się zdarzyć, że wszystkie nasze nadzieje prysną z wielkim trzaskiem. Ach, jakże pan zbladł! Panie Adamie, prędko szklanekę wody!

Pan Dziurawiec, który siedząc w kącie, pilnie się przysłuchiwał, porwał się czym prędzej i podał wodę nieszczęsnemu "Herkulesowi na rozdrożu".

- Dziękuję... - mówił słabym głosem aptekarz. -- Już mi lepiej... O Boże, co ja mam zrobić, co ja mam zrobić?

- Podpisać jak najprędzej! - szepnął mu niemal do ucha pan Dziurawiec.

Aptekarz spojrział nieprzytomnie ku pułapowi, jak gdyby stamtąd czekał dobrej rady, po czym głosem czarnym jak smoła zapylił krótko:

- Ile?

Pan Wojciech udał, że się głęboko zastanawia.

- Kot w worku -- rzeki po chwili - jest towarem pospolitym i dość tanim. Powiedziałem jednakże, że pragnę panu pomóc, więc będę hojny nawet ponad możność. Otóż dam panu pięć tysięcy złotych na spłatę długów i dwa tysiące ponadto. Siedem tysięcy. To duży kawał grosza! Powtarzam jednak raz jeszcze, i to z naciskiem; że wcale na pańską zgodę nie nalegam!

Przykro było patrzeć na biednego aptekarza. Nieszczęsna jego dusza wiła się jak na mękach, a w głowie huczały dwa młyny i jeden parowy tartak. Usta miał zaciśnięte i gwałtownie przetykał ślinę. Usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł. Żuł słowa i dławił się nimi. Wreszcie udało mu się krzyknąć:

- Ależ to może być skarb! Skarb!

- W takim razie niech pan czeka na skarb - odrzekł cierpko pan Wojciech. - Doczeka się pan za pół godziny... Przepraszam, żem pana trudził... Żegnam kochanego pana!

- Nie, nie! Niech mi pan pozwoli pomyśleć... Siedem tysięcy... Zaraz, zaraz, na Boga! Siedem tysięcy... To mało, to mało!

- To więcej niż nic, bo może być nic. Zresztą, pal licho! Dodam jeszcze tysiąc złotych, ale już nie dla pana, tylko dla pańskich dzieci.

- Dla moich dzieci! - - powtórzył boleśnie pan Alojzy.

Potarł ręką czoło, jak gdyby chciał wygrzebać jakieś postanowienie, i ciężko dyszał.

- Za pół godziny dwunasta! - bąknął ostrzegawczo Dziurawiec.

- Dwunasta... dwunasta... - jakby nieprzytomnie powtórzył aptekarz. - Co pan powiedzie!?! Aha! Osiem tysięcy. Boże, bądź miłościw mojej duszy. Dawajcie papier! Podpiszę... Prędko, papier!

- Spokojnie, drogi kuzynie, spokojnie! Nie pali się. Panie Adamie! Niech pan napisze odpowiedni kwit. Ten pan wszystkiego się zrzeka, a ja płacę osiem tysięcy.

W niechlujnym pokoju zapanowała smutna cisza. Słysząc było skrzypienie pióra i szelest papieru.

Dziurawiec powtarzał półgłosem pisane słowa, potem rzekł uprzejmie:

- Niech pan w tym miejscu położy podpis.

Aptekarz nerwowym ruchem chwycił pióro, podpisał, i cisnął je, jak gdyby go parzyło żywym ogniem.

- Pieniądze otrzyma pan w tej chwili, proszę ze mną do kancelarii - rzekł Dziurawiec jakby ze współczuciem.

Aptekarz nie pożegnawszy się wybiegł, jak gdyby go goniły furie.

Pan Mościrzecki został sam.

- Osiem tysięcy... -- rozmyślał. - Osiem tysięcy... Jeżeli wpadnę, zastrzelę tego idiotę Dziurawca... Jak taki aptekarzyna mógł narobić tyle długów? Gdyby nie te długi, byłby się opierał... Osiem tysięcy! Dobrze, że Dziurawiec sprzedał niedawno las... Dwie części już mam, ale z tamtymi pójdzie chyba trudniej... A, jest pan! No i co? Wziął pieniądze?

- Wziął, oczywiście, że wziął!

- A co robi?

- Biega po parku, a wszyscy inni patrzą z okien i niczego nie pojmują. Za chwilę tu będą. Aptekarz zapowiedział, że też przyjdzie.

- Po co? Z nim już skończone. A zresztą niech przyjdzie. Która godzina?

- Za pięć dwunasta. Czy mam ich zawołać?

- Poczekaj pan! Trzeba trochę ceremonii, niby że to ważna chwila. Niech pan dwanaście razy uderzy w gong, jak na Sylwestra. I pan aptekarz w parku usłyszy, bo nie będziemy go gonić. Aha! Czy pan wie, że w razie wielkiej klapy zginie pan z mojej ręki?

- Już mi to pan raz powiedział...

- Niech się pan wynosi!

Dziurawiec wyszedł z godnością, a po chwili rozległo się dwanaście przeraźliwych miedzianych, brzękliwych dźwięków gongu. Wszyscy zmarli Mościrzeccy musieli w grobach zdrzeć z trwogi. Z wszelką natomiast pewnością drgnęli wszyscy żywi.

- Czy to na pożar? - krzyknęła ciocia Marta.

- Nie, to chyba grzeczne wezwanie w naszą stronę - odpowiedziała panna Katarzyna. - Nie bój się, Maciusiu! Chodźmy, moi drodzy.

- Czy ja mam iść także? - zapytała z lękiem pani Zofia. - Przecie ja się już nie liczę,

- Owszem, musisz pójść, bo jeszcze będziesz potrzebna. Ralfie, prowadź! Idziemy!
- Czy parami, droga ciociu?
- Nie idziemy do arki. O, pan Dziurawiec! Czy to nas wołano?
- Proszono, proszono, czcigodna pani! Pan Mościrzecki czeka,
- Naprzód, bracia rodacy! - wrzasnął Ralf. - Po złote runo!
- Albo po figę z makiem... - mruknęła mądra panna Katarzyna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

w którym rejent przemówił po raz drugi, a ponury aptekarz zaśmiał się po raz pierwszy

Pan Dziurawiec zaofiarował się pocziwie, że na czas obrad zaopiekuje się Maciusiem i zaprowadzi go do obłaskawionych królików, Maciusia bowiem rozmowy nie obchodziły, a pan Dziurawiec był podczas nich zbędny. Wszyscy inni zjawili się przed ruchomym tronem pana Wojciecha, który po uroczystym powitaniu i po chwili jakoby nabożnego milczenia zapewnił ich, że jest niebotycznie szczęśliwy itd., że na zawsze we wdzięcznej zachowa pamięci itd., że natychmiast rozdarta zostanie zasłona, która itd.

Mówił obficie i kwiecście, ale głosem cokolwiek drżącym i pełnym tajonego niepokoju, raz po raz kierując podejrzliwe spojrzenie w stronę aptekarza, który się zaszył w najciemniejszy kąt. Potem obwieścił wszystkiemu rodowi, że powziął zamiar zatrzymania - za ogólną zgodą, oczywiście! - w rodowej siedzibie tego, co się ma wyłonić czy z ziemi, czy z innego ukrycia, jako najcenniejszej pamiątki. Powtórzył wszystkie swoje racje, którymi przekonał już panią Zofię i aptekarza.

- Uznała to już pani Zofia Mościrzecka i zgodził się pan aptekarz!

O zgodzie pani Zofii wiedzieli już wszyscy, sensacją natomiast stał się postępek pana Alojzego, na którego każdy spojrział mimo woli, on zaś, jak gdyby zawstydzony, ukrył twarz w dłoniach, ciężko westchnąwszy.

- Dlatego - mówił pan Wojciech - śmiem żywić nadzieję, że i inni zechcą postąpić tak samo. Niech się państwo zastanowią... Ja muszę się przyznać, że pomysł nie jest mój, osobiście bowiem dość czarno zapatruję się na te urojone bogactwa po rejencie. Pomysł należy do pana Dziurawca. Chętnie jednak dałem posłuch jego naleganiom, gdyż jestem gorąco przywiązany i do tego domu, i do tej tradycji, która tu mieszka. Wasze niespodziewane przybycie, drodzy krewni, obudziło w moim sercu śpiące w nim rodzinne uczucie. I gdyby nie moja bezwładność, dawno już byłbym was odszukał!

- Terefere! - mruknęła panna Katarzyna.

- Co szanowna kuzynka powiedziała? zapytał szybko pan Wojciech.

- Nic! Modlę się o natchnienie.

- To dobrze. to dobrze! W takich mrocznych wypadkach natchnienie warte jest stokroć więcej niż najbystrzejsze rozumowanie. A nas otaczają mroki! Jak z nich wybrnąć? Ja przeto

radzę: państwo oddacie mi dokument, którego wcale nie będziecie czytali. a ja spłacę każdego z osobna. Czy to nie jest sprawiedliwie? Jak pani sądzi?

- Może to i sprawiedliwie. nie wiem. Dla mnie osobiście zresztą sprawa jest całkowicie obojętna. Chciałam właśnie oznajmić wszystkim tutaj zebranym, ale oznajmić przed odczytaniem dokumentu, że się zrzekam mojej części!

- Co takiego? - zdumiał się pan Mościrzecki.

- Zrzekam się nieodwołalnie! - mówiła wzruszonym i mocno drżącym głosem ciocia Kasia. - Mnie samej wiele nie potrzeba. Żyłam dotąd, z głodu nie umarłam i zapewne ~ głodu nie umrę. Jestem tego nawet pewna od chwili, w której poznałam pana i od kiedy przekonałam się o pańskim przywiązaniu do rodziny...

- Dobrze, dobrze... - przerwał jej szybko pan Wojciech. - Więc pani się zrzeka na rzecz nas wszystkich?

- O, nie! - odrzekła ciocia Kasia z cierpkim uśmiechem. - Zrzekam się mojej części spodziewanego majątku na rzecz Maciusia. Nieszczęśliwe to dziecko...

- Już ma przecie wszystko! - wtrącił pan Wojciech posepnie.

- To jeszcze za mało. Pan mu zapewnił utrzymanie i wykształcenie. a może mój grosz wdowi zdoła przywrócić mu wzrok? Kto wie?

Oplącimy najwspanialszych lekarzy ... Zrobimy, co można... Nie płacz. Zosiu! Zrobiłam to, co mi serce kazało. Nie płacz, mówię ci! Ze też kobiety nie potrafią obyć się bez łez! Masz tobie! Druga też zaczyna...

Drugą płaczką była ciocia Marta. z której oczów zaczęły się sypać łzy. jasne jak brylanty.

- Czy mi nie wolno płakać? - zapytała słowami mokrymi od łez. - Czy pani myśli, że ja bym wzięła choć jeden grosz z tego jakiegoś spadku? Czy i mnie nie wystarczy tego, co mam?

- I pani też się zrzeka? - w najwyższym zdumieniu zawołał pan Wojciech.

- A dlaczego by nie? Czy może mi pan zabronić? Czy ja nie mam wolnej woli? I czy ja nie mam tych dwóch bratanków, Jana i Józefa?

- Ależ, cioteczko złota! - zakrzyknął jeden z nich, a drugi wyrzekł to samo, tylko ciszej.

- Czy może odważycie się odmówić albo nie przyjąć? - płakała dalej dobra ciocia. - Czy macie co włożyć do gęby? Czy macie za co się kształcić?

- Nadzwyczajne, nadzwyczajne! - sapał zdumiony fotel. - Nie wiedziałem, że ród Mościrzeckich jest tak szlachetny!

- Dlaczego to pana tak dziwi? A może i pan...

- Ja nie! - odrzekł twardo. - Ja mam inne zamiary...

- Za pozwoleniem! - ozwał się Ralf Piegowaty. - I ja też mam coś do powiedzenia.

Otóż oznajmiam państwu, że z częścią amerykańskich Mościrzeckich wolno mi rozporządzić tak, jak będę uważał za stosowne. Mój stary ma furę pieniędzy i gdyby właśnie w tej chwili nie spał, bo w Ameryce jest noc, toby z wszelką pewnością gwizdnął na ten spadek, który jest i którego nie ma. Ja jednak mogę to uczynić w jego imieniu. Gwizdać nie będę - mówił wesoło, choć głos drżał - bo panie są w towarzystwie, ale napiszę czarno na białym albo odwrotnie, jak kto chce, że amerykańską część odstępuję tu obecnej, bardzo potrzebującej, a ciężko pracującej panie Janinie!

- Boże drogi! - zakwiliła cicho panna Janina, patrząc na piegowatego dryblasa rozszerzonymi oczami. - Ależ ja nie mogę...

- Załatwione! - oznajmił Ralf, wzruszony. - Żeby mnie miano nawet zamordować, nie cofnę ani jednego słowa!

- Ralfie, jesteś wielki! - ogłosiła wszem wobec ciocia Kasia.

- Wiem o tym - zaśmiał się Jankes. Metr osiemdziesiąt dwa. A teraz, co dalej?

Pan Wojciech patrzył na nich ze srogim zdumieniem, jak na małą, lecz doborową gromadkę obłąkańców. Nie mógł ich pojąć. Wiedzą o tym wszyscy, że mogą ich czekać nawet miliony, i rzucają je sobie jak piłki. Jako tako może zrozumieć panią Martę, zamożną i samotną, może ostatecznie zrozumieć, że ten nakrapiany Longinus nie dba o pieniądze, lecz panna Katarzyna - koścista, wychudła, niemal zabiedzona i lichy odziana, zrzeka się majątku bez drgnienia! Jakaś nauczycielka czy coś podobnego... Ba! Nie tylko się zrzekła, lecz wydaje się szczęśliwa, że jej to przyszło na myśl. Ścisła płaczącą panią Zofię i uspokaja ją, i wciąż jej coś szeptem do ucha. To wszystko razem jest prawdę mówiąc - nieznośne.

- Mam wrażenie - rzekł po chwili Że jestem w teatrze na bardzo szlachetnej sztuce.

- Szkoda tylko, że i pan nie jest aktorem, tylko widzem - wtrąciła cierpko panna Katarzyna. - Ale mniejsza z tym...

- I ja jestem tego zdania. Powiedziałem już, że mam inne plany. Myślę, że teraz, kiedy nasze grono zmniejszyło się o kilku spadkobierców, mogę pozostałym raz jeszcze zaproponować dobry interes, dobry dla nich, oczywiście. Ofiaruję za każdą część taką sumę, jaką otrzymał pan aptekarz. A on odstąpił mi swoją część za osiem tysięcy.

- Tanio pan kupił! - burknęła ciocia Kasia.

- Może tanio. może drogo. Sprawa jest załatwiona. Każdy z obdarowanych przez dobre ciocie i przez pana Amerykanina otrzymałby szesnaście tysięcy. Czy państwo dobrze słyszą?

Domek z ogrodem można kupić za te pieniądze!

Ta piękna panienska miałaby posag. Ci młodzi panowie mogliby pojechać za granicę. Szesnaście tysięcy! I jak mi Bóg miły. więcej nie dam.

- Da pan więcej! - rzekła twardo ciocia Kasia.

- Nie dam!

- Da pan!

- Co panią to obchodzi? Pani już nie ma żadnego prawa...

Dobra ciocia zmieniła oczy we dwa toledańskie sztylety i wbiła je w zachłanne serce pana Mościrzeckiego. który się mimo woli cofnął. Ralf patrzył z zachwytem na ciotkę. Aptekarz słuchał chciwie, w pół otwartych ust.

- W każdym razie - mówił posępnie pan Wojciech - nie mogę pozwolić, by pani buntowała innych.

- Dobrze! Więc zakończmy tę sprawę...

Trzeba odczytać dokument.

- Jeszcze chwilę! Muszę się namyśleć... Jeszcze chwilę... Po co tak gorączkowo? Dam po dziesięć tysięcy za każdą część. Dziesięć tysięcy!

Słowa te zagrzmiały jak wystrzał z garlaca, a grzmotowi odpowiedziało echo:

- Więc i mnie pan dopłaci!

- Panu. panie aptekarzu? Panu nie dam już ani grosza. bo pan już swoje wziął i pokwitował.

- To rozbój! - wrzasnął aptekarz .. wyszedłszy z siebie". choć trudnej tej operacji nie było widać.

Mościrzecki pozieleniał, choć to była jesień.

Dźgnięty tym słowem jak słoń ostrym ankiem. usiłował zerwać się z fotela. choć, oczywiście. uczynić tego nie mógł. Rozzalił się jednak. .

- Oto jest ludzka wdzięczność! - mówił z goryczą. - Ten pan za moją sprawą wydobyl się z piekła, a teraz ciska we mnie błotem. widzę, że byłem głupi. Dobrze mi tak! Rzecz jednak jest do odrobienia. Mój panie! Możemy umowę unieważnić. Oddaj pan natychmiast pieniądze, a ja wrócę panu kwit. Nie będzie pan miał powodu do nazywania mnie rozbójnikiem. Proszę o pieniądze !

Aptekarz zachwiał się i spojrział na zgromadzonych, jakby u nich szukając ratunku. Wszyscy jednak mieli miny spłoszone i patrzyli bezradnie na niego. Jeden tylko Ralf zbliżył się nieznacznie i szepnął przejmującym głosem:

- Niech pan nie oddaje!

- Odda pan czy nie? - huczał Mościrzecki.

- Nie! - krzyknął z nagłą determinacją aptekarz.
- Czy to pańskie ostatnie słowo? Wobec świadków?
- Ostatnie! - jęknął głucho aptekarz i ciężko usiadł.

W zgromadzeniu zbudził się niepokój. ogarnęło wszystkich niezdrowe podniecenie. Ciocia Marta miała na twarzy wypieki, a pani Zofia trwozę w oczach. Ralf uśmiechał się jakby boleśnie. Jedynie panna Katarzyna tkwiła nieruchomo z kamiennym spokojem na kościstym obliczu.

Nagle ciężką zasłonę ciszy Ralf Piegowaty rozdarł nożem ostrego głosu:

- Czy wolno mi coś powiedzieć?
- Gadaj pan! - burknął niechętnie pan Wojciech.

- Z tego, co powiem, będzie pan zadowolony... Zrzekłem się mojej części na rzecz panny Janiny. Chcę jednak poradzić panie Janinie, aby chociażby jedną ze swoich dwóch części odstąpiła panu...

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Za dziesięć tysięcy, tak jak pan powiedział, od razu gotówką...

Pan Wojciech patrzył na niego przenikliwie.

- A czemuż tak nagle pan to doradza?
- Dlatego, że sprawa może długo potrwać.

Może trzeba będzie szukać dopiero spadku, dobrze ukrytego, może powstaną jakie prawne kłopoty, może to, może owo. Tymczasem panie Janinie trzeba na gwałt pieniędzy, jak mi się zdaje, na założenie magazynu. Dlatego śmiem jej radzić. aby odstąpiła jedną z dwóch części.

- A cóż na to panienka? - z przekąsem zapytał pan Wojciech.

- Panienka niech jeszcze nie odpowiada! - wtrąciła ciocia Kasia. - Niech się przed tym naradzi. Czy pan pozwoli, abyśmy się tu w kąciku naradzili?

- Obok jest pusty pokój... Proszę... Ja zaczekam.

Za przewodem panny Katarzyny, kroczącej na czele jak generał, przeszli wszyscy do sąsiedniej izby.

- A pan? - zwrócił się pan Wojciech cierpko do aptekarza.

Aptekarz spojrział na niego ponuro ciężkim, ołowianym spojrzeniem i nie odpowiedział. Zastygł w bezruchu jak gdyby śmiertelnie zubożniały wobec wszystkich spraw nędznego tego świata.

- Jak się panu podoba... - mruknął pan Wojciech i począł patrzeć przez okno.

Dookoła sadzawki kroczył powoli Dziurawiec, wiodąc za rękę Maciusia, który stąpał ostrożnie po żwirze i słuchał zachłannie jakiejś wesołej opowieści tymczasowego opiekuna, bo twarzyczka chłopca była promiennie uśmiechnięta. Za nim włóczył się obszarpany, czarny kundel, łaszący się do dziecka i nie mogący pojąć w bystrym psim rozumie, dlaczego mimo serdecznie przyjaznych ruchów ogona chłopczyk nie zdradza ochoty do igraszek.

Mościrzecki patrzył na swego ministra złym wzrokiem.

“Oby mnie tylko ten fircyk nie zrujnował!” - pomyślał ze zgrozą.

Spoza zamkniętych drzwi słychać było splątane, gorączkowe głosy. Gdyby nie ten przeklęty aptekarz. można by - pochwyciwszy ręką róg stołu - przysunąć się do drzwi i cośkolwiek usłyszeć. Po co ten czarny i poczerniony czort tkwi tutaj, jak gdyby na straży? Poza tym pan Wojciech poczuł dotkliwy głód. nie śmiał jednakże wobec tego nienawiścią nadzianego człowieka sięgnąć po zimną kurę, ukrytą w pobliżu pod przykryciem starej gazety. Jeżeli ta ponura sprawa dłużej potrwa, zacznie się więc z głodu, a na głodno źle się myśli. Na głodno umieją myśleć tylko poeci i filozofowie. A przecie należy głęboko rozważyć, dlaczego na ten przykład ten długi dryblas tak niespodziewanie poszedł mu na rękę? Co w tym tkwi? Dryblas o niczym wiedzieć nie może. bo nikt o niczym nie wie.

Więc dlaczego? Pewnie niemądry smarkacz pragnie się pochwalić, że dziesięć tysięcy rzucił jakby w błoto. Nie! To nie to... Ten drałgał ma uczciwe. szczerze oczy... Aha! Kocha się... Z całą pewnością zakochał się w tej pannicy i pragnie jej zapewnić pieniądze na wszelki wypadek...

Dziesięć tysięcy!... Dla pana Wojciecha, szczególnie po sprzedaży lasu, nie jest to suma zawrotna. a zarobić na niej można dziesięć razy tyle.

A tam radzą i radzą...

Kura pachnie zgoła niebiańskim zapachem...

Coraz tam głośniej... Aha. wracają!

Jak zespół sędziów, co na salę sądową wraca po potężnej naradzie. zaczęli wchodzić Mościrzeccy płci obojga. Panna Katarzyna wiodła podniecone zastępy. Głodnemu panu Wojciechowi wydało się w gorączkowym widzeniu, że oto stąpa jakaś olbrzymia, apokaliptyczna kura wiodąca za sobą pulchne kurczęta. Potrząsnął mocno głową, aby z niej to straszliwe opadło odzienie. i patrzył niespokojnie na Mościrzecką gromadkę. z której wyrastała chmielowa tyczka z nasadzoną na jej końcu głową Ralfa, mile w tej chwili uśmiechniętego. Z twarzy panny Katarzyny nie mógłby nic odczytać nawet uczony Champolion, co pierwszy odczytał egipskie hieroglify. Twarz Sfinksa jest bardziej wymowna niż jej szlachetne oblicze.

“Niebezpieczna baba! - pomyślał pan Wojciech. - Niebezpieczna i chytra”.

Dopiero gdy wszyscy zasiedli w krąg. a nikt odezwać się nie chciał, on rozpoczął:

- I cóż państwo uradzili?

Ponieważ pytanie zwrócone było do całego zgromadzenia, nikt nie wiedział. kto ma odpowiedzieć. Błagalne spojrzenia skierowane były jednakże na pannę Katarzynę. która podniosła się niechętnie. Tak zaś była w tej chwili podobna do homeryckich bohaterów. że z głęboką słuszością można użyć homeryckiego wyrażenia: - "wzięła słowo i rzekła:"

- Uradziliśmy. że trzeba panu pójść na rękę. I nas obowiązuje wspólne dobro rodu, więc pragniemy jak i Pan. aby to, co się wyłoni z nieznaney przyszłości, nie zostało rozdrobnione i aby nie powędrowało do obcych ludzi. Na to jednak nie wszyscy się zgodzili Na tym stanęło, że panna Janina odda obie swoje części, a matka Maciusia, która już jedną część panu odstąpiła jako równowartość utrzymania syna do pełnoletności, pragnie odstąpić panu i część drugą, ale za gotówkę. W ten sposób stałby się pan właścicielem prawie całego spadku prócz dwóch części Jana i Józefa i tej trzeciej, którą im oddała pani Marta Cegłowska.

- Czy ja dobrze słyszę? - zdumiał się pan Wojciech. - A dlaczegoż to młodzi panowie nie raczyli przyłączyć się do tej uchwały?

- Bo my tak samo jak i pan lubimy ryzykować - odrzekł Jan.

Spojrzał na nich z podziwem, nie pozbawionym przeblysków podejrzliwości. Widać było wyraźnie, że jest niespokojny. Zaczął szybko liczyć i obliczył bez wielkiego trudu, że jeżeli się zgodzi, kupi za trzydzieści osiem tysięcy sześć części może olbrzymiej fortuny, może nie garnka, ale beczki dukatów. Należy do tej sumy doliczyć koszt utrzymania Maciusia, ale o to mniejsza. Ale gotówka, żywa gotówka! Żeby chociaż światełko w tej dręczącej ciemności, Żeby chociaż promyczek! Nie ulega wątpliwości, że to ta koścista ciotka namówiła wszystkich do sprzedaży swych części. Czemu jednak nie zdołała namówić tych dwóch bęcwałów? To dziwne, to nawet bardzo dziwne!

Przyszło mu na myśl, że cała sprawa została przez tę chytrą kobietę misternie ułożona: jednym kazała sprzedać, wytłumaczywszy im, że lepszy wróbel w garści niż rejent na dachu, a ci dwaj zobowiązali się zapewne, że się z tamtymi podzielą, skoro majątek okaże się ogromny. Byłoby to niezwykle sprytne i przewidujące. Mało jest jednak prawdopodobne, aby nawet ta straszliwa dama zdobyła się na taki pomysł. Radzili zresztą niezbyt długo i nie starczyło im czasu na układanie takich zawiloci. Najprawdopodobniej każdy z nich pragnie ujrzyć żywe pieniądze i ujrzyć je jak najprędzej. Ta panienska, która nie posiada zapewne przy duszy dwóch złotych, doznała oszołomienia, posłyszawszy o dwudziestu tysiącach. Ta siwa, chociaż młoda jeszcze pani, matka Maciusia, żywi jakieś wielkie nadzieje, lecz nie posiada grosza na ich spełnienie. To nie są ludzie chytry. Trzeba ich będzie kupić. Pan Wojciech, który zrobił

majątek na śmiałych. a często bardzo ryzykownych operacjach i zuchwałych przedsięwzięciach, postanowił zaryzykować raz jeszcze, może po raz ostatni w życiu. Nawet i to go uspokoiło, że ci dwaj pomyleni młodzieńcy wezmą udział w jego, być może, że szaleństwie. Da sobie zresztą radę z dwoma młokosami, jeżeli spod ziemi czy z jakiegoś zawalonego ceglami i kamieniami zakamarka wytryśnie złoto rejenta. Nie z takimi miał do czynienia... A więc dobrze! Raz jeszcze przebiegł spojrzeniem po całym zgromadzeniu, wreszcie rzekł:

- Musiałem raz jeszcze przemyśleć wszystko i jestem skłonny do wyrażenia mej zgody. Z wszelką pewnością zapłacę za to mnóstwo pieniędzy, a być może, czeka mnie wielkie rozczarowanie. Ha, trudno! Czy mogę poprosić którego z młodych panów. by wezwał do mnie pana Dziurawca? Widziałem go niedawno nad sadzawką...

- Lecę ! - oznajmił Ralf.

Wkrótce słychać było nawoływania, wzywające grzesznego Dziurawca na Sąd Ostateczny, wkrótce zaś potem wkroczył on do czeluści swego patrona. Ralf prowadził ożywionego bardzo Maciusia.

Pan Mościrzecki wyłuszczył Dziurawcowi dokumentnie - co i jak. Należy przygotować odpowiednie pisma i wypłacić pieniądze. Dziurawiec jest świadkiem, że akty kupna i sprzedaży zostały zawarte za obopólną, radosną zgodą! Należy pisać krótko: - "zrzekam się... gotówką otrzymałem... nigdy żadnych pretensji rościć nie będę"... data i podpisy...

Dziurawiec zatarł ręce, jak gdyby jego samego wielkie spotkało szczęście. Usiłował mrugnąć porozumiewawczo w stronę pana Wojciecha, lecz napotkał po drodze cierpko uśmiechniętą twarz panny Katarzyny. która okazała żywe zdumienie, nie mogąc pojąć, z jakiego powodu miły Dziurawiec na nią mruga. Wzruszyła ramionami i poleciła krótko:

- Pisz pan!

- Już się robi! - zawołał on radośnie. Czy pan będzie dyktował?

- Pisz pan sam... - odburknął pan Wojciech.

Jak powiada Fredro, Dziurawiec: "stawiał tytle niezbyt skoro", a przy tym pisał poważnie i rozważnie. aby nie narobić galimatiasu.

Od czasu do czasu stałym sposobem ocierał pióro o włosy. jeśli nadział na nie jak na harpun zwłoki utopionej w kałamarniu muchy. Skończył wreszcie i dał papiery do przeczytania najpierw swemu patronowi. potem drugiej stronie. Pan Wojciech czytał bardzo uważnie. głucho postępując. nie wiadomo: z zadowolenia czy ze wzburzenia. Gdy zakończono i tę ceremonię, zawołał gromko:

- A teraz proszę o dokument!

- Za pozwoleniem - przerwała ciocia. - Najpierw pieniądze.

- Co takiego? Pani mi nie wierzy?

- Nic podobnego! Lepiej jednak będzie. Jeśli zakończymy wszystko sumiennie. Pan pozbędzie się kłopotu. a oni. otrzymawszy pieniądze. nie będą mogli nawet okiem mrugnąć ujrzawszy miliony. Czy mówię dość rozsądnie?

- A czy pani powiedziała kiedy w życiu coś nierozsądnego? - odrzekł z przekąsem. Dobrze! Panie Dziurawiec. niech pan to załatwi, byle prędko!

Proszę, niech państwo przejdą do kancelarii.. Wszystkich zresztą proszę, nie wyłączając pana aptekarza, aby mnie pozostawili na pół godziny samego, bo mi zrobiło się jakoś słabo.

- Czy dać panu wody? - zapytała uprzejmie ciocia Kasia.

- Wody?! Dziękuję, ale nie. Aż tak źle się nie czuję...

Wyszli wszyscy, podnieceni i przejęci. Pan Wojciech nasłuchiwał przez chwilę, a kiedy kroki ucichły, pochylił się z trudem i wydobyl spod stołu butelkę, nalał ogromny kielich wódki i wlał ją w gardło małym wódkospadem. Porwał potem pieczoną kurę, chwycił ją za nogi i rozerwał z takim zachłannym pośpiechem, że nieszczęsna - zdawało się - jęknęła po śmierci. Tygrys nie pożera tak jelenia, jak on pożerał złociste jej zwłoki, pod stół rzucając pracowicie ogryzione kości. Zapomniał o wszystkim, tylko jadł i jadł, z lubością przymykając oczy. Zapomniał o tym nawet, że w tej chwili Dziurawiec wydobywa z żelaznej kasy mnogie tysiące i płaci nimi za kilka napisanych słów.

Wszystko na świecie ma swój koniec a że od tej tragicznej fatalności nie jest wolna i pieczona kura, więc pan Wojciech otarł wreszcie ręce o poły przybrudzonego kitla i westchnął głęboko. Jakże nikczemnie drobnym ptakiem Jest taka głupia kura! Ha, trudno... Za godzinę będzie obiad... Teraz już mogą się zjawić ci przekłęci współnicy.

Wszedł wraz z nimi i Dziurawiec, nieco zakłopotany.

- Pan nie będzie nam potrzebny! - rzekł cierpko pan Wojciech. - Już nie trzeba będzie płacić...

- A my prosimy - wtrąciła szybko panna Katarzyna - aby pan Dziurawiec został. Tak czy owak będzie się musiał dowiedzieć o wszystkim, bo pan nie będzie mógł sam wykonać tego, co będzie do wykonania. Zresztą wiemy o tym wszyscy. że pan Dziurawiec jest uczciwym i zacnym człowiekiem i że jeśli trzeba będzie zachować tajemnicę, to ją niewątpliwie zachowa.

Pan Dziurawiec, chcąc jej podziękować za dobre o sobie mniemanie, spojrzął z serdeczną tkliwością na Ralfa i uśmiechnął się do chmurnego jak noc aptekarza.

- Jak chcecie... - bąknął pan Wojciech. Kończmy wreszcie, bo to potrwa chyba do wieczora, a ja w tej chwili jestem zbyt ubogim człowiekiem, abym mógł marnować czas. Proszę, gdzie jest dokument? Pani go ma zapewne?

- Miałam - odrzekła z uśmiechem panna Katarzyna - ale w tej chwili jest w przechowaniu u kogo innego.

Zbliżyła się do Maciusia i mówiła cicho:

- Pozwól, synku, że rozepnę twoją kurteczkę.

Zręcznymi palcami oderwała podszewkę jego ubranka i wyjęła papier ku zdumieniu wszystkich, prócz matki chłopca, zapewne wtajemniczonej.

- Były już robione zamachy na ten papier - objaśniała ciocia Kasia - wołałam przeto nie narażać go na jeszcze jeden. Na wszelki wypadek miałam ukrytą na piersi starą gazetę.

Nie dziwcie się, moi drodzy!

Pan Wojciech pomyślał posępnie, że ten idiota Dziurawiec przez całą godzinę wałęsał się z dzieckiem i niczego nie spenetrował. Sam się jednak musiał zawstydzić tej brzydkiej myśli, bo ją niecierpliwie odegnał zmarszczeniem czoła z zatroskanej głowy. Rzekł natomiast uszczypliwie, - Pani powinna być dyplomata.

- Źle bym wyglądała w złoconym fraku.

Oto jest dokument! Kto go ma odczytać?

- Ciocia! - wrzasnął Ralf.

- Tak, tak! - przyświadczył podniecony chór.

Zapanowała cisza tak dotkliwa, że słysząc było bzykanie ostatniej muchy, gotującej się na zimowy sen, i szybki oddech aptekarza. Oczy wszystkich gorzały. Wszyscy jak urzeczeni wpatrywali się w pannę Katarzynę, a ona, czując wielką wagę chwili, wykonywała każdy ruch z powolnym namaszczeniem jak arcykapłan, który ma ofiarnego zarzezać barana.

Najpierw sama pilnie obejrzała pieczęć z czerwonego laku. na której odbity był herbowy znak rejenta. Pieczęć była ogromna. Tylko August Wilkoński, wesoły pisarz i facecjonista.

pieczętował swoje listy opłatkiem, pod którym czynił dopisek: "Przebacz, Polaku, lecz nie mam laku!" Rejentowi, widać, wcale go nie brakowało. Panna Katarzyna pokazała następnie pieczęć wszystkim obecnym. nawet Dziurawcowi, który skinął poważnie głową w stronę bzykającej muchy na znak, że wszystko jest w należyтым porządku. Drżącą ręką rozerwała następnie krwawy znak tajemnicy i rozłożyła poźółkłą. dużego formatu kartę papieru, pokrytą drobnym pismem.

Nawet bzykająca mucha umilkła:

Panna Katarzyna zaczęła czytać donośnym głosem:

“W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...”

- Amen! - ozwał się nagle cichutki głos Maciusia.

Wszyscy, jakby tknięci elektrycznym prądem, zwrócili na niego spojrzenia. Było coś dziwnie wzruszającego i niepokojącego w tym, że pełne słodczy dziecko odpowiada głuchemu głosowi spod grobowej deski. Pani Zofia objęła syna ramieniem i przytuliła go do siebie. Ciocia Marta westchnęła pytająco.

- Dalej, dalej! - rozkazał zduszonym głosem pan Wojciech.

“Najpierw Bogu i Jego niezgłębionemu miłosierdziu polecam tych wszystkich, co pół wieku po mojej śmierci czytają te słowa. Z nieba - jeżeli taka będzie wola boska, patrzeć będę i policzę, ilu potomków ze sławnego naszego rodu won dzień się zebrało. Chociaż bez senatorskich prozapii, ród nasz sławnym mienię. Nie bywało w nim lada jakich szołdrów ani takich, co ponad głowę dmąc, kłamane nosili sobole. Nie będę atoli kontrował, że *quod attinet* majątności, ród to cale poddeptany i nieraz naprzykrzone kasały go długi jak gzy konia. Ja przeto pierwszy powziąłem postanowienie, aby pójść pod ferułę, zacisnąć pasa i posty sobie nakazać, byle ino ród dźwignąć i do chwały, którą stęchlizną już słyhać było, na nowo przywrócić.

Com się natrudził, o tym i wspominać nie będę, Bóg dał, zem głową nie podrwił. Piszę te słowa we własnym domu, cudem rodowi przywróconym, i gdzie nie braknie chleba ani mnie ani tym, których karmić muszę, a to wszystko dlatego, że nie patrzyłem granic trudu ani nie ważyłem skutku w żadnej imprezie. Nie będę przecie negował, że mi fortuna sprzyjała, bo jeszcze pięćdziesięciu lat nie doszedłem, a już mogłem zachwycić odpoczynku. Dla siebie i dla swoich miałem dosyć, umyśliłem przeto, aby sobie żadnej nie dając folgi, począc gromadzić na zapas, jak to właśnie pszczoły czynią. Raz jeden ród mój już się stoczył z wysokości, niechże nie będzie tego po raz drugi! Fundamentalnie rzecz rozważając, postanowiłem, dzieci rodzone suto opatrzywszy, zostawić najdalszym potomkom coś, co ich ubezpieczy w najdalsze lata i pozwoli czerpać dostatek, jak z głębokiej a nigdy nie wybranej studni...”

- O, Boże! - zdławionym głosem zakrzyknął aptekarz.

- Czytać dalej! Niech pani szybko czyta dalej! - zawołał pan Wojciech.

Wszyscy siedzieli jak porażeni, a panna Katarzyna zaczerpnęła głęboko oddechu.

“...Do zbytku mając czasu we własnym zasobnym domu, począłem w wielkiej tajemnicy przed natrętym ludzkim wzrokiem szukać, penetrować i gromadzić zasoby, których nie nazwę w tej chwili, albowiem potomkowie moi we właściwym czasie o nich się dowiedzą. Nikogo nie przypuściłem do sekretu krom jednego Jacka Łobojki, zacnego szlachcica, bo mi

pomoc była potrzebna. Imć Łobojko człek jest obrotny i w niejednej imprezie brał udział, ale że podpic lubił i z głową zaproszoną po świecie chodził, przeto ostatniego kontusza postradał. A i jego się zląkłem z tej przyczyny, że gdyby mu się kiedy nadto z czupryny zakurzyło, mógł się wygadać nieopatrznie, i jak się okazało, dobrzem uczynił, Łobojko bowiem dwóch roków nie przeżywszy, u Czubków skończył...”

- Co to znaczy: “u Czubków?” - zapytał nieśmiało Ralf. - W zakładzie dla wariatów - objaśnił szybko Jan. - Nie przeszkadzaj!

Panna Katarzyna czytała dalej:

“Sam się tedy trudziłem, a trudziłem się niemało. Nie chciałem potomkom moim zostawiać byle czego. Niechże będą bogaci, niech będą szczęśliwi i niech błogosławią tego, co o nich przed pół wiekiem się troszczył we dnie, a bywało, że i w nocy. To zasię jest najgorsze, że mnie szpiegowano chytrze, i muszę się strzec, bo zbyt łakoma to rzecz. Czasy są i wojenne, i niespokojne, lecz nie wróg daleki na mnie nastaje i dybie na mnie, lecz siedzi on tuż, tuż, nie opodal mojego domu. A jest to...”

Ciocia Kasia zbliżyła papier do oczów, natrafiwszy na wyraz nieczytelny. Wtedy potężnie kichnęła. Zdawało się, że to z mózdzierza wystrzelono podczas rezurekcji u Bernardynów.

- Na zdrowie! - ozwał się Ralf i przyjrzał się jej, kręcąc znacząco głową.

- Dziękuję!... A cóż to...

Zaczęła kichać salwami z homerycką potęgą. Tak śpiewa Homer w Odysei: “Gdy to mówi, Telemach nagle głośno kicha, aż w izbach się rozległo...” - Oczy jej zaszczyły łzami.

- Niech ktoś czyta dalej... ja nie mogę...

Ralfie, weź papier.

- Prędejj, prędejj! Czy to się nigdy nie skończy? - przynaglał pan Wojciech.

Ralf począł czytać:

“...A jest to człowiek, który mi zawidził przez wiele czasu. Zbyt w sobie zadufany i takie mający o sobie mniemanie, że wszystkie pojadł rozумы i wszystkie szpaki w całej okolicy. Nie byłby to wielki dziw, gdyby to był człek pospolity - ale - *horribile dictu!* - jest to ojciec Hiacynt Kiszka, kwestarz z klasztoru Bernardynów, który opodal domu mojego stoi. Coś on sobie do mnie upatrzył i przez wiele, wiele czasu srodze na mnie nastawał, a razu jednego *coram publico* ciężką obelgę mi uczynił drwiąc z mojego nazwiska. Prawda, że barana żadnego nigdy ode mnie nie wycygał, ale mało on dba o moje barany! Duszę jednak oddałby za to, aby wiedzieć, co i jak czynię w sekrecie tak że na siedem spustów trzeba zamykać drzwi i okiennice, aby chytrym wzrokiem nie dojrzał...”

- Ale co, u Boga Ojca? - zapytała zniecierpliwiona ciocia Marta.

- Spokój, proszę o spokój! - zawołał pan Wojciech. - Zaraz się dowiemy

“...Zaiste, jest to diabeł w bernardyńskim habicie a oczy ma jak zajęcze trzeszcza 1 tych się oczów najwięcej lękam. Często widzę, jak się boczkim koło domu mojego przemyka 1 Jak ogar węszy, ale nic nie wywęszy, bo na głupiego nie trafił. Pachółków moich i dziewczek pilnuję, aby znikąd nie miał do nich dostępu, i nie wypytywał bo choć nic nie wiedzą, ale lichy me śpi. Do tego mnie przywiódł, że nieraz o północy z łoża się zrywam, szelesty jakoweś albo szmery usłyszawszy, a tym więcej ustrzec się pragnę, że wielką rzecz zamyśliłem.

Coraz to gościęj chodzą słuchy, o czym i Łobojko w sekrecie powiadał, że wielki Bonaparte ma zjechać do Warszawy, co gdyby prawdą było, okazja dla mnie nadarzyłaby się niepoślednia. Może lisimi drogami, bo o prostych ani marzyć, udałoby mi się dotrzeć aż do Jego Majestatu, a wtedy w pokornym darze ofiarowałbym Mu część tego, czego dla was, o potomni, strzegę jak żrenicy oka! Dobrze on się zna na tym i nie minęłaby mnie nagroda. Wtedy bernardyn skapiałby chyba z alteracji i ze złości...”

- Bonaparte? Co by on mógł dać Cesarzowi? - jęknął pan Wojciech. - Czytaj, czytaj, chłopcze!

Ralf czytał:

“...Daleka to atoli sprawa i niepewna, bo zbyt nikczemna moja persona, bym się mógł wnieść do wysokiej socjety, toteż moje *pia desideria* w zakamarkach serca tajemnie chowam L..”

Ralf odwrócił w tej chwili kartę, a pragnąc wyprostować na niej zgięcie, uderzył po papierze wierzchem dłoni. Wtem kichać począł przeraźliwie i obficie.

- I ten też? - zawołał pan Wojciech. Co to wszystko znaczy?

Ralf spojrział na niego - (kichnął) - po raz drugi pokręcił głową - (kichnął) - i rzekł:

- To znaczy - (kichnął) - że my, ciocia Kasia i moi dwaj przyjaciele - (kichnął dwa razy) - i ja, kichaliśmy już - (kichnął) - przy oglądaniu tego papieru przed miesiącem. Powiedzieliśmy sobie wtedy, że powodem tego jest stary kurz i zbutwiałość papieru - (kichnął).

- I ja też tak myślę - rzekł zamyślony pan Wojciech. - To bardzo prawdopodobne! Będzie pan czytał dalej?

- Oczywiście. Zwracam jednak uwagę, że kichnąłem najmniej piętnaście razy, a nikt mi ani razu nie powiedział “na zdrowie!” - Na zdrowie! - ozwał się wesoły, cienki głosik.

- Bóg zapłać, drogi Macieju, dobrodzieju!

Czytam dalej:

“...chowam i będę czekał cierpliwie. Tymczasem mierzę i ważę, pilnie bacząc, aby doskonałość osiągnąć, jakiej jeszcze nigdy nie bywało. Tuszę, że zyskał, com zamierzył, i oto chociaż chytry bernardyn krąży koło mojego domu jak kuna koło kurnika, dokonałem wielkiego dzieła w sam dzień świętego Michała, dwudziestego dziewiątego dnia miesiąca września. Znaczny to był dla mnie dzień i mogłem śpiewać hosanna! Od onego to dnia zaczyna się złota dla was fortuna. wnuki i moje prawnuki. daj Boże, najliczniejsi, dla wszystkich bowiem starczy po sprawiedliwym równym podziale, żadnego z prawych Mościrzeckich nie krzywdząc.

Oznajmiam uroczyście:

Zostawiam wam majątek potężny, jeśli tylko dosyć będziecie mieli rozumu i rozgarnienia, aby go umieć użyć. Na roztropne bowiem liczę głowy, a nigdy ich w rodzie moim nie brakło. Mniemam, że i moją do onych zaliczyć snadnie mogę. A i eksperencji mi nie brak, bo już trzydzieści prawie lat mija, od kiedy jurystować zacząłem, a dwadzieścia - od kiedy mnie jako rejenta instrumentowano...”

Pan Wojciech przerwał niecierpliwie:

- Proszę jeszcze raz odczytać ostatni ustęp od słów: “oznajmiam uroczyście....” Jeszcze raz, tylko powoli!

Ralf spełnił posłusznie polecenie. a on powtarzał szeptem słowa. jak gdyby je jak złote gwoździe pragnął wbić w głowę.

Ralf czytał dalej:

“...Fortuna ta niezmierna tym wszystkie inne przewyższa, że każda wyczerpać się może, ta zaś moja, a jutro wasza, nie wyczerpie się nigdy, wciąż się tym samym pomnażając sposobem, jakim się mnożyły ryby i chleby. którymi Chrystus Pan nam miłośnicy Żydowinów nakarmić raczył...”

- Co takiego? - spytała ciocia Marta czy rejent przypadkiem też od Czubków nie uciekł?

Nikt jej nie odpowiedział na to pytanie, niezwykle roztropne, wszyscy bowiem byli zasłuchani i trwali w niemym zdumieniu. Pan Wojciech, rozgorączkowany i nad wszelkie pojęcie przejęty, tarł ręką czoło.

- Czytaj, Ralfie! - rzekła cicho panna Katarzyna.

- Dobrze, ale muszę kichnąć...

“...Fortuny tej pokolenia całe używać mogą, atoli dopóty. dopóki ustrzec zdołają tajemnicy. Prawdą jest, że za lat pięćdziesiąt nie będzie już na świecie chytrzego bernardyna, Hiacynta Kiszki, ale znajdą się inni, jemu podobni. co rzecz całą przewąchawszy. rzucą się jak wilki na zbłąkanych podróżnych. Strzeżcie się tedy, nie puszczając pary z gęby, a będziecie

zażywać owocu mego trudu. A nie o żadne drobiazgi nikczemne i mizerne wojna toczyć się będzie, lecz o takie bogactwa, które - jak najszlachetniej suponuję za lat pięćdziesiąt wartać będą miliony! ..

- A co?! - wykrzyknął triumfalnie Dziurawiec. - Miliony! miliony!

- Miliony... - szepnął pan Wojciech.

- Miliony... - jęknął głucho aptekarz.

“Miliony...” - pomyśleli wszyscy ze zdławioną grozą.

- “Miliony...” - powtórzył Ralf ostatnie straszliwe, potężne, grzmiotem huczące słowo.

I czytał dalej wzruszonym głosem:

“...Nie dziwota przeto, że skarb taki ukryć muszę, aby go żadne wraże nie dosięgło oko i abyście wy dopiero, przezacni potomkowie, nienaruszony naleźli. Rozmyśliłem rzecz akuratnie i na wszelkie sposoby. Jako czytałem, Odysej, mąż w fortele zasobny, też nie od razu wynalazł kryjówkę na owe skarby, którymi go obdarował król feacki. I cóż uczynił, chociaż mu sama najmędrsza pomagała bogini? Zagrzebł je w ciemnej grocie i ocalił, ale dlatego, że na niego żaden, lisim obdarzony rozumem, nie nastawał bernardyn Ja długo musiałem robić głową, długo musiałem kalkulować, nimem wpadł na koncept wyborny. Wiem ci ja, że będziecie musieli też się nadręczyć niemało, nim skarb wam zapisany odnajdziecie. Nie masz atoli na całym świecie takiej zagadki, której by spryt człowieczy nie rozwiązał. Pan Staszyc. nie mieszkając, od razu by wszystko spenetrował, bo mądrej głowie dość dwie słowie. Czemuż tedy za pół wieku nie ma się znaleźć pośród was jeden chociażby tak obrotny, co też od razu przejrzy: co i jak? Niech tylko do Ducha św. się pomodli, a potem jak należy pomyśli. Ja musiałem chować, a wy szukajcie! Szukajcie, a znajdziecie. Gdyby czas był zwyczajny, a nie gotował się jak ukrop w garnku, i gdyby mnie dobrzy i zacni otaczali ludzie. zakopałbym w ziemi albo w ścianie zamurował i nie byłoby kłopotu, a tak kłopot być musi, i to nie lada, za co was, potomkowie mili, z serca o przebaczenie proszę...

- Masz babo placek! - zaśmiała się nerwowo panna Katarzyna.

Pan Wojciech począł znowu trzeć czoło i rzekł ciężkim głosem:

- Ani w ziemi, ani w murze... To już coś!

Ale gdzie, ale gdzie?

- Może na księżycu! - odpowiedziała, udając wesołość. - Nie znamy jednak zagadki.

Czytaj, Ralfie!

- Już mi w gardle zaschło, ale cóż robić?

Do końca niedaleko... Proszę o ciszę!

“...Noc dobrą przynosi radę, więc wiele strawiłem nocy, potężnie rozmyślając i wszystkie możliwe rozpatrując kryjówki. Wreszcie mi przyszło do głowy, aby skarb ÓW znaczny zawierzyć uczciwości przyjacielskiej i uczciwości tak wielkiej, że nigdy tajemnicy nie zdradzi. Mało jest takich przyjaciół na tym pełnym przewrotności świecie, ja jednakże wiernego przyjaciela znalazłem i skarb powierzyłem jemu...”

- Szalony. na Boga, szalony! - zawołał z przerażeniem pan Wojciech. - Jakże to?

Strzegł tajemnicy jak oka w głowie, a ni stąd, ni zowąd oddaje się w obce ręce! Jakże to być może?

- A skąd ja mam o tym wiedzieć? - odparła panna Katarzyna, do której pan Wojciech zwrócił się z pytaniem. - Kończ, chłopcze, bo poszalejemy!

“...Oznajmiam wam, wnuki moje i prawnuki, że wasz majątek, wasz dostatek, waszą złotą fortunę oddałem na przechowanie imci panu Żubrowskiemu...”

- Przecie on musiał umrzeć przed stu laty! - wołał zdławionym głosem pan Wojciech. - Wściec się można!

“...panu Żubrowskiemu. Ten ci jest, który żadnej nie dopuści się zdrady, skarb pilnie przechowa i odda wam bez uszczerbku. A ojciec bernardyn może szukać wiatru w polu i śladu ptasiego w powietrzu. Imć pan Żubrowski, do którego z życzliwości wielkiej miodem przed chwilą przepijałem, chociaż on sam do mocnych trunków abominację czuje, umie milczeć jak zaklęty. jak gdyby mu język ucięło. Pewny go jestem jak samego siebie, bo w domu moim od lat przebywa, a nigdy się nie zdarzyło, aby niepotrzebne wypuścił z gęby słowo. Będzie milczał *ac cadaver*. Za pół wieku dopiero przemówi. i to do was tylko, i skarb mój wam odda.

Ukryje go wedle moich wskazań. Gdyby przed terminem zemrzeć miał, czego nie myślę, bo zdrowie ma żelazne, a że to młokos jeszcze, przeto pewnie dożyje. Wrzący to zawalidroga i gwałtownik, więc skarbu wydrzeć sobie nie da, a chytry przy tym i czujny! Jego to śladów szukać musicie i jego samego, bo on jeden po śmierci mojej będzie wiedział o wszystkim: gdzie, co i jak. Znajdziecie go niechybnie. i jego, i skarb!

Używajcie go w zdrowiu, czasem pradziada mile wspomniawszy, co nie żałował trudu, aby wnukowie szczęścia w obfitości zażywać mogli.

Bogu Najwyższemu was polecam i piszę się ręką własną.

Apolinary Mościrzecki - rejent.

Ktoś wywrócił krzesło. Spojrzeli wszyscy z przestraczem: to aptekarz podniósł się z takim impetem. Zaczął się śmiać, jak gdyby mu się przydarzyło coś niezmiernie wesołego.

- To pisał wariat! - krzyknął donośnie. -

To pisał straszliwy wariat! Moje uszanowanie państwu! Ha, ha! Moje uszanowanie! Szukajcie a znajdziecie... Ja już znalazłem! Ukłony dla pana Żubrowskiego! Ha, ha, ha.

Kopnął zagradzające mu drogę krzesło, posłał wszystkim ręką pozdrowienie i wybiegł wciąż się rozgłośnie śmiejąc.

Wszyscy jakby zdrętwieli. Panna Katarzyna, niepewnie uśmiechnięta, wzruszyła ramionami. Dziurawiec patrzył jednym okiem w drzwi a drugim w kurzy szkielet, który dojrzał pod stołem. Pan Wojciech miał na obliczu bladą rozpacz, która zaczynała przybierać odcień lekko zielony.

Nagle nie krzyknął, lecz ryknął.

- Krwi! Krwi!

- Przestraszył pan dziecko - zawołała, hamując go w gniewie, panna Katarzyna. - Zosiu, zabierz stąd Macusia. bo pan Mościrzecki będzie wylewał jakąś krew. Czyjeż to krwi tak pan łaknie?

Pan Wojciech wskazał ręką Dziurawca.

- Jego krwi! - krzyczał donośnie. - Ten człowiek mnie zrujnował. Jego krwi!

- Słyszałam - z kamiennym spokojem mówiła ona - że sok dziurawca bardzo pomaga na chorą wątrobę, wątpię jednak o tym, by krew pana Dziurawca mogła panu pomóc na wzburzoną żółć. W jakież to sposób ten człowiek pana zrujnował? Czy pan jest małym, niedoświadczonym dzieckiem, czy pan nie wiedział, co pan robi? Myślał pan, że pan kleci świetny interes i wystrychnie pan wszystkich na dudków. Niech pan tak morderczo na mnie nie patrzy, bo ja się nawet diabła nie boję. Za pozwoleniem, proszę nie przerywać! Więc czego pan chce od uczciwego człowieka? Powiedział, że przeczuwa miliony, i wcale się nie pomylił, bo rejent pisze o milionach. A że ich trzeba dopiero szukać, bo nieboszczykowi ubrdały się zagadki i tajemnice, to nie jest winą pana Dziurawca, który chciał jak najlepiej i dla pana, i - śmiem przypuszczać. że i dla nas.

- Oh. pani dobrodziejko! - jęknął rozrzewniony Dziurawiec. - Tak, tak, istotnie tak chciałem...

- Pan też niech mi nie przerywa! Otóż majątek gdzieś jest, tylko nie wiadomo gdzie, i trzeba go szukać.

- A kto go będzie szukać? Czy ja? - podnieconym głosem wrzał pan Wojciech.

- Pan nie, bo pan nie może. My uczynimy to wspólnymi siłami.

- Kto to "my"?

- Myślę, że ja i chłopcy. Pod warunkiem oczywiście, że nas pan nie wygna z tego zapowietrzonego domu i że nie będzie pan chciał mordować uczciwych ludzi.

Słowa jej toczyły się jak dudniące głązy i widać było, że srogi, rozplomieniony, przerażony, zrozpaczony, rozżarty, roztrzęsiony, rozbity pan Mościrzecki ugiął się i skurczył.

- Obrabowaliście mnie! - jęknął głucho. Jestem zrujnowany... Aptekarz uciekł.

- Co takiego? Myśmy obrabowali pana? To pan chciał nas obrabować, ale się pan przeliczył! Co ty, dziewczyno? - zwróciła się nagle do panny Janiny, która nerwowym ruchem wydobyla z torebki spore zawiniątko i rzuciła je na stół.

- Oddaję panu pańskie pieniądze! - mówiła na wpół płacząc. - Proszę o mój kwit! Aby pan nie mówił, że pana obrabowałam...

- Wspaniale! - zawołał Ralf.

A panna Katarzyna oznajmiła głosem herolda:

- Za chwilę wróci matka Maciusia, wtedy otrzyma pan resztę.

Wszyscy wbili spojrzenia jak ostre groty w bryłę zwaną panem Wojciechem. Z nim się jednak działo coś osobliwego: wyglądał jak człowiek, którego śmiertelnie obrażono. Ręce mu drżały. Pobladnął, po czym poczerwieniał. Kochał pieniądze, lecz widać - że w tej ogromnej postaci tułało się gdzieś w zakątku coś, co jest wyższe ponad wszelkie pieniądze. Oddychał ciężko, potem rzekł z niejakim trudem:

- Cofam wszystko, co powiedziałem... Przepraszam was... Bardzo was przepraszam...

- W porządku! - oznajmiła uroczyście panna Katarzyna, biorąc ze stołu pieniądze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

w którym rozpoczyna się poszukiwanie skrzydlatej duszy w pasłym ciele

Dziurawiec oznajmił nazajutrz panie Katarzynie w wielkiej tajemnicy, że pan Wojciech ciężko zachorował. Wprawdzie z wielkiej alteracji nie dopuścił go przed swoje oblicze, ale mu kucharz doniósł o złym stanie. Kucharz jest bardzo niespokojny, gdyż na obiad polecono mu zakatrupić tuczoną gęś, tymczasem dzisiejszego ranka pan Wojciech ułaskawił gęś, a kazał zarznąć jedynie trzy mizerne kurczaki, więc tyle, co nic. Musi być przeto chory, i to nielekko.

- Mówię to szanownej pani w wielkim sekrecie, gdyż on nie lubi, aby wiedziano, co jada chociaż w te dwa sucharki i tak nikt nie uwierzy. Pewnie się w nim wątroba poruszyła albo nerka się oberwała, czy ja wiem zresztą, co? Poczekajmy do obiadu, może wyzdrowieje.

Ale co ze mną będzie, o tym boję się pomyśleć! Z całego serca dziękuję pani, że się pani za mną ujęła, ale mogę wylecieć z posady.

- Nie wyleci pan! Jak pan tu długo siedzi?

- Prawie trzydzieści lat, a zbliżam się dopiero do pięćdziesiątki.

- Z tej czy z tamtej strony? - zaśmiała się panna Katarzyna.

- Powiedzmy, że tkwię w środku - odrzekł zarumieniwszy się dobry Dziurawiec.

Dlaczego pani o to pyta ?

- Ot, tak sobie... A co się stało z aptekarzem?

- Ach, cała awantura! Uciekł, gdzie rycynus rośnie. Chciał wynająć konie w miasteczku, ale ludzie bali się z nim jechać, bo każdy myślał, że powiezie szaleńca. Pan aptekarz nie tylko, że się bezustannie śmiał, ale od czasu do czasu wykrzykiwał: "na zdrowie!". Potem pogonił piechotą na stację kolejową.

- Śmiał się i wołał: "na zdrowie"... - powtórzyła z głębokim namysłem panna Katarzyna. - Drogi panie, czy pan nie myśli, że aptekarz miał istotnie powód do śmiechu?

- Skądże by? Dlaczego? Dostał wiele pieniędzy i może to go wyprowadziło z równowagi.

Moim zdaniem powinien był płakać, bo jeśli się znajdzie majątek rejenta... Czy pani o tym wątpi?

- Są chwile, że wątpię. Rozmyślałam o tym przez całą noc, ale rozmyślałam dlatego, że nie można było zmrużyć oka. Jakiś kundel wył przeraźliwie pod oknami...

- Wiem! To ten czarny... Rozmłował się w Maciusiu i odegnąć go nie można. Ale co teraz zrobimy, szanowna pani ?

- Niech pan mówi do mnie: "panno Katarzyno", bo zbyt szanowna nie jestem.

- Jakże bym śmiał! Mam dla pani tyle uwielbienia...

- Nie może być! - zaśmiała się "szanowna pani". - Patrzcie, patrzcie! Nie wiem, za co mnie pan uwielbia, ale mi bardzo miło, że pan to mówi. Za to stoczę gwałtowną walkę z panem Mościrzeckim, aby pana nie śmiał skrzywdzić.

Niech się pan nie gniewa. że zapytam: kim pan właściwie jest w tym domu?

- Ja? Jestem wszystkim. Zawsze nogami pana Wojciecha, a czasem jego głową. Zawiaduję majątkiem, domem, lasem - czym kto chce.

Pan Mościrzecki dobrze mi płaci, a ja jestem i wierny, i wdzięczny. Uskładałem sobie tyle, że mogłem kupić piękny domek w pobliskim miasteczku, a kiedy los sprawi, że będę musiał stąd odejść, wezmę dzierżawę. Postanowiłem jednak wytrwać choćby do śmierci pana Wojciecha, a on niech żyje jak najdłużej!

- A kto będzie po nim dziedziczył?

- Tego nikt nie wie, bo on nie napisze testamentu za żadne skarby. Nieraz już była o tym mowa ale nawet słuchać nie chciał. Powiada, że nie dla innych robił majątek. tylko dla siebie. Dlatego to. szanowna... szanowna panno Katarzyno. wszystko tu w takim zaniedbaniu i upadku.

- Pan temu nie może przeszkodzić?

- W żaden sposób. Pieniądze leżą w kasie i w bankach. a reszta pana Wojciecha nie obchodzi. Byle indyki były tłuste...

- I nikomu nie pomaga? Nikomu nie robi nic dobrego?

- Niestety! - z głębokim żalem mówił Dziurawiec. - O rodzonych krewnych. takich jak państwo, dotąd ani słyszał. A przecie gdybym ja miał jego pieniądze i gdybym ujrzał takiego cudownego chłopczynę jak Maciuś...

O, mój Boże jedyny!

- Zacny z pana człowiek, drogi panie... Jak panu na imię?

- Adam.

- Drogi panie Adamie... Zacny i dobry! zakończyła wzruszonym głosem.

Wniebowzięty Dziurawiec spłonął ze szczęścia i zaczął całować jej ręce.

- To pani jest dobra... To pani jest dobra...

Jeszcze mi tego nikt...

- Dość, dość! - śmiała się najmiłszym śmiechem panna Katarzyna. - O, ktoś do pana!

Wszedł stróż nocny, który był zarazem i dziennym odźwiernym przy bramie, bo w nocy spał, i podał Dziurawcowi depeszę.

- Do mnie? - zdziwił się burgrabia.

Rozerwał papier gorączkowo, przeczytał, osłupiał, potem podał depeszę pannie Katarzynie.

- Niech pani czyta!

“Pan Dziurawiec u Mościrzeckiego Przyplocie. Całemu towarzystwu wołam na zdrowie Alojzy Mościrzecki”.

- Aptekarz... - szepnęła panna Katarzyna. - Co to ma znaczyć?

- Nie wiem... Wyrażnie się natrzęsa... Lepiej tego nikomu nie mówić.

- Oczywiście, ale obawiam się, że ten piekielny aptekarz, znajdujący się w takim stanie ducha, otruje w swojej aptece kilkoro ludzi.

Przychodzi mi jednak na myśl, że on na coś wpadł lub czegoś się domyśla. Zresztą Bóg z nim! Chodźmy do pana Mościrzeckiego!

- I ja też? - z nagłym lękiem zapytał Dziurawiec.

- Tak, We dwoje będzie nam raźniej.

Podeszli ostrożnie do jaskini lwa i zaczęli nasłuchiwać.

- Kicha! - szepnął Dziurawiec. - I to jak!

- Słyszę... To są wystrzały... Ale, ale! Kto zabrał dokument, bo ja nie pamiętam?

- Został na stole...

- To ciekawe - mówiła jakby do siebie panna Katarzyna. - Dziwny to dokument. No, ale zapukajmy!

- Kto tam, do stu diabłów? - ozwał się ryk.

- Przyjaciele! - odkrzyknęła.

- Nie ma mnie! Nie ma mnie! Umarłem!

- Wieczne odpoczywanie... - zaśmiała się hucznie. - Nie słyszałam jednak nigdy, aby nieboszczyk tak zdrowo pokrzykiwał. Czy panu czego nie trzeba?

- Trucizny mi trzeba! Co to panią obchodzi? Nie chcę widzieć ani pani. ani tego Judasza Dziurawca...

- Słusznie. Pan Dziurawiec właśnie mi oznajmił, że opuszcza Przyplocie.

Za drzwiami na chwilę ucichło, lecz zaraz potem ozwał się ryk:

- Nie wolno mu! Niech mu pani powie, że mu nie wolno! Musi zostać... Nawarzył piwa i niech je wypije. Musi zostać!

- Dobrze, powiem mu to, ale pan nie może siedzieć w samotności. Przyślę do pana panią Zofię.

Pan Wojciech nie odpowiadał.

- Pani Zofia umie pielęgnować chorych...

Pan Wojciech nie odpowiadał.

- Przyjdzie za godzinę...

Pan Wojciech nie odpowiadał.

- Do prędkiego zobaczenia!

Pan Wojciech nie odpowiadał.

- Może zemdlął? - szepnął Dziurawiec. Drzwi otwarte... Może by wejść?

Panna Katarzyna ujęła lekko klamkę i poczęła uchylać drzwi.

- Proszę zamknąć! - wrzasnął pan Wojciech. - Bo będę strzelał! Drzwi zamknięto i wszystko ucichło.

- To przemiły człowiek! - zaśmiała się cicho panna Katarzyna. - Tylko go do rany przyłożyć, a zakażenie pewne. Głowa do góry, panie Adamie! Musi pan zostać, jak pan słyszał, a reszta jakoś się ułoży. Zdaje się, że pan Mościrzecki lubi krzyki i groźby, ale taki bardzo straszny to nie jest. Wczoraj przecie postąpił szlachetnie, kiedy nas przeprosił. Niech pan spojrzy! A temu co się stało? Stąpa jak za pogrzebem.

Ralf Piegowaty wyglądał jak siedmiokrotne, stężone, zastarzałe nieszczęście. Wlókł się jak postny dzień, który się bardzo dłuży. Na obliczu miał tak gęstą chmurę smutku, że nie było widać nawet piegów. Przed nim szła żałość, a za nim rozpacz.

- Ralfie! - zawołała zdumiona ciotka.

Dryblas podniósł na nią udręczone spojrzenie.

- Panna Janeczka wyjeżdża! - oznajmił głosem czarniejszym od piekielnej smoły.

- Do Ameryki? - zapytała niewinnie.

- Do jakiej Ameryki! Żeby tam... Wyjeżdża z ciocią Martą najpierw do Warszawy, potem na wieś do cioci.

- To doskonale! A ty?

- Ja? ... Cóż ja? ... Co ma jedno z drugim?

Ja zostaję...

- Ale po co?

- Bo przyrzekłem tym dwóm małpoludom, co nie chcieli słuchać dobrej rady, że im pomogę szukać tego przeklętego skarbu. Mówiłem: sprzedawajcie i w nogi! Przecie ciocia sama słyszała. Chcieli milionów, mają teraz miliony.

Proszę pana! Pani Cegłowska i panna Janina proszą o konie na piątą. Co im mam powiedzieć?

- Niech im pan zechce łaskawie powiedzieć, że wyjazd ten napelnia mnie ogromnym smutkiem, ale cóż robić? Konie będą.

- Woźnica nie będzie potrzebny. Ja sam je odwiozę. Ha!

Ciocia Katarzyna ujęła go pod rękę i rzekła serdecznie:

- Uspokój się, chłopcze, i nie wykrzywiaj tak oblicza, jak gdybyś połknął rozżarzony węgiel. Rozumiem, rozumiem... Czy pani Marta nie zaprosiła przypadkiem i ciebie?

- Niestety nie! Słyszałem, jak zapraszała tych dwóch pawianów, ale mnie nie zaprosiła.

- A ty byś pojechał?

- Oh!

- No, to pojedziesz. Moja w tym głowa.

Szukajcie prędko tego skarbu, a potem sama cię zawiozę, bo taki jesteś oczadziały, że wpadniesz pod pociąg. Rozraduj gębę! Panie Adamie. kiedy obiad?

- O pierwszej. - A ściszym głosem dodał: - Kazałem ustrzelić koziołka. Tylko cicho, sza! Pan Mościrzecki nie byłby bardzo rad.

- O, morderco! - rzekła z najmiłszym uśmiechem, a Dziurawiec wyraźnie pokraśniał z wielkiego zadowolenia i tanecznym niemal krokiem pobiegł, aby wydać rozkazy na folwarku.

Ciocia Kasia patrzyła za nim zamyślona.

- To naprawdę dobry człowiek... - mówiła cicho. - Chodźmy, Ralfie! Gdzie są inni i co robią?

- Panna Janka poszła z cicią Martą do parku, pani Zofia uczy Maciusia, a dwa lemury siedzą bez ruchu, ale nie na gałęzi, jak im każe natura, lecz na dwóch połamanych stołkach, i martwią się. Nawet aptekarz był od nich mądrzejszy, nawet aptekarz!

- A ty nie wierzysz już w ten skarb?

- Nie wierzę w taki skarb, który uczciwym ludziom kręci w nosie. Odnoszę takie wrażenie, że rejent wypił zbyt wiele miodu z tym jakimś Żubrowskim. Zresztą niczego nie rozumiem.

Skoro tylko wrócę ze stacji, trzeba będzie odbyć wspólną naradę.

- Bez pana Mościrzeckiego nie można, a on nie chce nikogo widzieć.

- To i skarbu nie zobaczy. Cioteczko. chodźmy do parku. Taki cudowny dzień! - Dobrze! Dobrze! Poszłabym, choćby nawet padał deszcz. Boże, jaka tu ruina! A jak mogłoby być ślicznie!

Poszli zarosłymi ścieżkami, powikłanymi jak myśli zawodowego wariata, a w pewnym miejscu musieli wleźć w chaszczę, aby obejść patrzącą spode łba krowę, która stanęła na ścieżce. bardzo zadumana. Krowy mają też swoje ciężkie zmartwienia.

- Aj! - zatroskał się Ralf. - Tyle tu bydła, a panna Janeczka ma czerwony sweter i czerwoną czapkę...

- Za to tobie nic nie grozi, bo masz zielono w głowie. Widzę, że panna Janina przelazła przez dziurę w płocie, a pani Marta usiłuje uczynić to samo, ale nie może się zmieścić. Chodźmy im pomóc. Powiedz mi przedtem, miły Ralfie, czy nie będziesz musiał wkrótce wracać do Ameryki? Przyjechałeś przecie na krótko.

- Może będę musiał - odrzekł ponuro ale bardzo nie chcę. Wie ciocia co? Mam zamiar namówić moich staruszków, aby oni wrócili do Polski. Moja matka bardzo tęskni. Gdyby mi jednak kazano wracać natychmiast, to sobie umyślnie złamię nogę i zyskam na tym ze dwa miesiące.

- Ratuj ciotkę Martę! - zawołała wesoło.

Wspólnym wysiłkiem przepchnięto pulchną i czerwoną od wysiłku panią Ceglowską, która sama siebie zdumiała pytaniem:

- Czy ja jestem taka gruba?

- Bynajmniej - pocieszyła ją ciocia Kasia. - To otwór w płocie jest za mały.

Ujęła ją serdecznie pod ramię i powiodła przez rżysko, po którym włożyły się senne, rzadkie i srebrzyste mgły pogodnej i ciepłej jesieni. Dzień był uśmiechnięty tym uśmiechem, o którym się mówi, że "jest kwiatem smutku". Łagodna słodycz napełniła kryształowy puchar dnia. Na niebie nie było ani jednej chmurki.

Przed nimi szli powoli oboje młodzi. spoglądając od czasu do czasu na siebie nieśmiało, on z góry, ona z dołu, on szary jak wróbel, ona czerwona jak gil.

- Zdaje się - rzekła cicho panna Katarzyna - że chłopak ugrzązł po uszy .

- Dlaczego? - zdziwiła się ciocia Marta. I dlaczego po uszy?

- Bo młody... Szkoda, że za młody. Dobrze i pocziwie chłopaczysko! Czy pani zaprosiła panienkę do siebie?

- A czy nie powinnam była jej zaprosić?

- Doskonale pani zrobiła, doskonale! Będzie wam wesoło, a skoro Jan i Józef przyjadą...

- Dlaczego tylko Jan i Józef? A pani nie przyjedzie? A Ralf nie przyjedzie? Dlaczego?

- Bo nas pani nie zaprosiła...

- Ja was nie zaprosiłam? Czy to może być?

- Z pewnością!

- Czy ja straciłam głowę?

- Więc możemy panią odwiedzić z Ralfem? - ciocia Kasia też zaczęła pytać.

Dobra pani Marta objęła ją serdecznie i ucałowała.

- Czy mi się to nie należy? A dlaczego my mówimy sobie “pani”? Czy to ładnie, Katarzyno?

- To bardzo brzydko! Hop, hop, Ralfie! krzyknęła tak rozgłośnie, że szperająca po rżysku gromada wróbli poderwała się w spłoszonym przerażeniu.

Tyczka chmielowa odwróciła się niechętnie i wrosła w ziemię.

- Ciocia Marta zaprosiła i mnie, i ciebie!

A prawie równocześnie pani Marta pisnęła: - Czyś ty oszalał, chłopcze? Puścisz mnie czy nie? Czy to takie wielkie szczęście, że mnie odwiedzisz? Czy chcesz mi połamać zebra?

- Puść ciotkę, dziki człowieku! - wołała śmiejąc się panna Katarzyna... - On by wszystkich udusił, nie wyłączając Janeczki... Z wielkiej miłości, oczywiście!

Nadobna twarzyczka panienki przybrała barwę jej czerwonego okrycia.

Ciocia Marta pojęła dopiero w tej chwili, co to znaczy “ugrzęznąć po uszy”, więc się mile uśmiechnęła i zapytała:

- Czy konie będą?

- Będą! - radośnie gadał nagle odmieniony Ralf. - Uprzedzam jednak, że panie przejadą po trupie.

- Boże, czy słyszysz? Dlaczego mamy przejechać po trupie?

- Bo pan Dziurawiec położy się w poprzek drogi, aby pań stąd nie wypuścić! Prawda, ciociu Kasiu?

- Nieprawda, ale przekonałam się, że to dobra dusza. Nie drwij z niego, Ralfie, bo ten człowiek nie ma tu lekkiego życia. Bardzo lubię pana Dziurawca! Ale wracajmy, bo muszę się rozmówić z Zosią, aby próbowała wtargnąć do legowiska lwa, któremu na imię Wojciech. Może się jej uda, bo mnie chciał zastrzelić.

- Czyż to możliwe? - zapytała z przerażeniem pani Marta.

- Bynajmniej. Na mnie trzeba by armaty, której nie ma, a z dubeltówki nic nie zrobi.

- Czy ja muszę się z nim pożegnać?

- Wypadałoby, ale skoro się nie da, to powiedz mu kilka słów spoza drzwi. A gdzież to się podział Ralf z panienką? Myśmy się zagadały, a oni już pod lasem... Warto luba, czy chciałybyś mieć dziewiętnaście lat?

- Czy ja wiem? Czy ja wiem? A ty?

- Dziewiętnaście to może nie, ale choćby tak ze trzydzieści... - westchnęła ciocia Kasia.
- Smutno jest człowiekowi samemu na ziemi... Wracajmy, wracajmy!

W domu zastały senną i zakurzoną ciszę. Pan Wojciech zaprzestał ryków i gróźb, a pani Zofia rozprawiała z Maciusiem w swoim pokoju.

U nóg chłopczyka leżał czarny, sympatyczny kundel, który sprytnie znalazł drogę przez zakamarki.

Pani Zofia, powiadomiona o tym, że trzeba będzie ratować pana Wojciecha nawet wbrew jego woli, wzdrygnęła się w pierwszej chwili, lecz natychmiast uśmiechnęła się pogodnie. - Czy mam mu dawać jakie lekarstwa?

- Ten człowiek nie uznaje ani lekarza, ani lekarstw. Zdaje się, że najwięcej to by mu pomogła sarnina, którą my dzisiaj zjemy. Nic mu zapewne nie jest, tylko że je zbyt dużo, więc go trzeba będzie odchudzić. Jest to niebezpieczne zadanie, bo w tej chwili znajduje się w złym sosie. Dokonała go wczorajsza sprawa. Może go się uda ułagodzić, skoro go zapewnisz, że ja i chłopcy będziemy szukać tego przeklętego skarbu.

- Dobrze! Kiedy mam się do niego udać?

- Kiedy zechcesz... I nie bój się, bo ja będę za drzwiami.

- Wcale się nie boję. Uciec zawsze można.

Nie potrzeba było jednakże uciekać. Pan Wojciech, jak gdyby do cna poranną wyczerpany furją, osłabnął i niespodzianie złagodniał. Nie umyty i nie ogolony, gdyż do tej pory nikt nie miał do niego dostępu - prócz kucharza, co mu przyniósł śniadanie - siedział w fotelu, nastroszony jak puchacz, i pławił się w gęstym milczeniu. Ciocia Katarzyna ostatnie od niego wyłudziła pioruny, jak ostatnie pociski artylerii wroga, więc był jakoby bezbronny. Można już było zbliżyć się do niego bez wielkiej obawy, lecz w pani Zofii tłuło się serce, kiedy wprzód lekko zapukawszy do drzwi, a nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi - ośmieliła się wejść.

- Dzień dobry panu! - powiedziała cicho.

On podniósł ciężkie powieki i spojrzał spode łba. Nie odpowiedział wprawdzie ludzką mową, ale jednak coś zamruczał mową niedźwiedzią.

Pani Zofia nabrała i odwagi, i otuchy. Poczowała odrobinę współczucia dla tego bezbronnego starca, który nieroztropnie wszystko czynił, aby spędzić życie w złej samotności. Pływające w tłuszczu samolubstwo, oto był cały i jedyny zysk długiego żywota. "Nie jest to może człowiek zły - myślała - lecz z wszelką pewnością nierozumnie nieszczęśliwy." Zbliżyła się do niego i tkliwym odruchem położyła rękę na grzbiecie jego ręki, leżącej na poręczy fotela.

Pan Mościrzecki drgnął i w pierwszej chwili chciał krzyknąć i cofnąć rękę. Nie uczynił tego. Spojrzał na nią z bezbrzeżnym zdumieniem i jakby przerażony.

Ona zaczęła mówić głosem łagodnym i pełnym serdecznej troski:

- Słyszałam, że pan jest chory. Niech się pan nie gniewa, że zakłóciłam pański spokój, ale nie można przecie pozostawić pana w takiej samotności. Drogi panie! Niech pan powie, czy mogę panu pomóc? Proszę mi wierzyć, że wszyscy radzi by uczynić to samo.

Pan Wojciech zaczął szybciej oddychać, ale milczał.

- ...Spotkał pana zawód, taki zresztą jak nas wszystkich. Czy warto jednak przejmować się tym aż tak bardzo? Czy nie szkoda serca, czy nie szkoda zdrowia? Niech się pan uśmiechnie i powie sobie, że są na świecie rzeczy cenniejsze niż...

Chciała powiedzieć: "niż pieniądze", lecz wydało się jej, że to słowo będzie zgrzytem.

- ...niż jakież tam zawile i zagadkowe sprawy - dokończyła. - Zresztą i na nie przyjdzie czas. Będziemy wszyscy szukali, aż znajdziemy, wprzód jednak musi pan być zdrowy i mieć jasny umysł. Przyznaję, że mnie przysłała panna Katarzyna, ale tylko dlatego, że jej nie chciał pan wpuścić. Szkoda, że pan od nas tak stroni...

Przecie nikt nie chce pańskiej krzywdy... Ja właśnie pragnę skorzystać ze sposobności i powiedzieć panu, że to, co mi pan...

- Proszę o tym nie mówić! - To już skończone. Ja wiem, że pani... Mniejsza o to! Gdzie jest Maciuś? - zapytał niespodziewanie ku jej zdumieniu.

- Bawi się z psem, który do niego przylgnął i ani na krok go nie odstępuje - odpowiedziała z uśmiechem.

- Bawi się z psem... - powtórzył chmurnym głosem, a po chwili wybuchnął: - Do mnie nie przywiązał się nawet pies.

Na jej twarzy pojawił się nagły rumieniec.

- A czy pan - mówiła z bohaterką odwagą - starał się o to? Niech się pan nie gniewa, ale to prawda. Czemu pan jest taki sam? Czemu pan nie pozyska jakiegoś serca, jakiejś przyjaznej duszy? Czy pan myśli, że można długo wytrzymać w lodowni, a czym jest pańskie życie?

Sam się pan skazał na więzienie, sam pan wznosił dokoła siebie kamienne mury.

- I co jeszcze? Proszę, niech pani mówi! mruknął urągliwie.

- Nie potrzeba więcej! O tym tylko wiem, co sama zdołałam dostrzec. To nie jest życie, drogi panie! Tak żyje tylko małż... Tak żyje tylko ślimak... Czy pan szukał kiedy jakiego serca?

- A gdzież je miałem znaleźć? - odrzekł gwałtownie.

- Serce można znaleźć wszędzie - mówiła pani Zofia niemal uroczyście. - Serca ludzkie kwitną jak bezpańskie kwiaty na łąkach. Miłość ludzka unosi się w powietrzu. Przyjaźń prosi słodkim głosem, aby ją wziąć i przycisnąć do piersi. Musi jednak to być zamiana uczciwa: serce za serce, miłość za miłość, przyjaźń za przyjaźń. Odrobina przyjaźni bardziej wypełniłaby panu życie niż interesy, zawile sprawy albo haniebne targi. ale nie kupi pan jej za cały nawet swój majątek. Miał pan kiedy w życiu przyjaciela?

Mościrzecki milczał chmurnie.

- Przyjaciela, który pana pocieszył w smutku, podtrzymał w niedoli albo pomieszał razem z panem łzy w chwili nieszczęsnej? Czemu pan nie odpowiada ?

Znowu zaległa cisza. Słysząc było podniecony oddech pani Zofii, która patrzyła na niego ze współczuciem i rozżaleniem. Zaczęła mówić łagodniej:

- Zjawiliśmy się w pańskim domu, zwołani mętnym i niejasnym wołaniem zza grobu. I cóż się stało? Zamiast się poznać i nawzajem do siebie uśmiechnąć, zamiast się ucieszyć, że przypadek nas zbliżył, zamiast te spadkowe sprawy na jakiś czas odsunąć i rozwikłać je w radosnej atmosferze i wśród wzajemnej życzliwości, zaczęliśmy z miejsca targi. Niech się pan nie gniewa, skoro powiem, że były to targi i brzydkie, i niesmaczne. Nic, tylko pieniądze i pieniądze! Tysiące i tysiące! A jeden pański uśmiech byłby więcej wart niż te wszystkie tysiące. Niech pan mi wybaczy jedno wyznanie... Od tej ponurej chwili nie dotknęłam pańskich pieniędzy . Leżą na stole jak niepotrzebne papiery. Sprawily mi przykrość, chociaż zdaję sobie z tego sprawę, że może to jedyny ratunek dla mojego synka. O ileż byłoby mi milej, gdyby te przeklęte pieniądze dane były z radością i z uśmiechem! Nie gniewa się pan na mnie?

- Nie! - odrzekł cicho. - Niech pani mówi, co się pani podoba. Dotąd nikt mi tego nie powiedział.

- Przyjaciel byłby to uczynił, ale pan nie miał przyjaciela. Przepraszam, że ja się ośmieliłam... Ach, niech pan spojrzy przez okno: co za dzień! Jak piękny jest świat, jak cudownie piękny! Niech się pan każe zawieźć na słońce. Niech pan pozwoli, a ja pana zawiozę. Czy można?

Pan Wojciech namyślał się przez chwilę.

- Dziękuję pani, ale jestem w takim stanie... Niech mi pani przyśle służącego. Aha! Jeszcze jedno... Jeśli pani spotka gdzie Dziurawca, proszę mu powiedzieć, żeby mi się przez dzień dzisiejszy nie pokazywał na oczy. Może jutro...

Dam znać.

- A panna Katarzyna ? - zapytała z uśmiechem.

- Panna Katarzyna. jeśli się zechce ze mną zobaczyć, wywali dębowe drzwi, a mnie razem z wózkiem wyniesie na plecach. Czy pani wie, że ja się boję tej kobiety?

- Źle pan robi. To wielkie serce, to nadzwyczajna dusza! Uprzedzam pana, że postanowiła zrobić wielkie porządki w pańskim domu i zaprowadzić w nim trochę ładu...

- Nie mówiłem? - krzyknął pan Wojciech.

- I cóż pan na to?

- A niechże robi, co się jej żywnie podoba.

Co mnie to obchodzi? Mnie wystarczy mój pokój. Nic się więcej nie zdarzyło w moim własnym domu?

- Nic szczególnego. Pan aptekarz wyjechał wczoraj, a dzisiaj wyjeżdża pani Marta z panną Janiną.

- Ale pani zostanie? - zapytał szybko.

- Jeśli pan pozwoli, to z przyjemnością. Ja odpoczywam, a Maciuś ma rozrywkę. Panna Katarzyna i trzej młodzieńcy będą szukać skarbu, oczywiście w porozumieniu z panem. Jeszcze jedno... Czy obie wyjeżdżające panie mogą pana pożegnać?

- Wolałbym, żeby nie - odrzekł z zakłopotaniem. - Po tym wszystkim... Niech je pani najuprzejmiej pożegna w moim imieniu. a ten przekłety Dziurawiec niech się wszystkim zajmie. Już pani odchodzi? Czy ja... czy ja mogę ucałować pani rękę?

Pani Zofia z uradowanym zdumieniem podała mu rękę, którą ucałował niemal nabożnie.

- Idę po służącego! - zaśmiała się wesoło, odchodząc. - Co pan będzie jadł na obiad?

- Jakiś tam drobiazg...

- Bo my podobno sarninę! - oznajmiła z dziecinną dumą.

- Nie może być! - zawołał niemal przerażony. - Jak? Skąd? To znaczy... nic, nic!

Bardzo dobrze... Prawda, prawda, sarninę. Bardzo się cieszę, że ten diabelski Dziurawiec wpadł na dobry pomysł... Dziękuję pani, dziękuję!

Pani Zofia uśmiechnęła się do niego raz jeszcze ode drzwi i szybkim krokiem udała się na poszukiwanie generała, *vulgo* panny Katarzyny, aby jej zdać sprawę, pochwalić się własnym bohaterstwem. Była przejęta i mocno wzruszona. Wróciła żywa ze smoczej jamy, nagadawszy smokowi mnóstwo niemiłych rzeczy. A smok ją całował po rękach! Przestała go się obawiać, poczuła nawet jakby wdzięczność za to, że zapytał o Maciusia. Mocno się zdziwiła panna Katarzyna!

Zdziwiła się istotnie, nie spodziewała się bowiem, żeby w tym opasłym ciele mieszkała jakaś dusza. Uśmiechnęła się, usłyszawszy, jakiego mniemania jest pan Wojciech o niej i że niezbyt głośno ryczał na wieść o zapowiadanych porządkach.

- Doskonale! Nie pozna własnego domu.

Nic więcej nie mówił?

- Ach, prawda... Nie mogę zrozumieć, czemu go tak wzruszyło, kiedy mu powiedziałam, zresztą wesoło, że będziemy mieli na obiad sarninę. Począł mówić nieporządnie ni to, ni owo...

Nie mogę niczego pojąć!

Panna Katarzyna roześmiała się tak hucznie, jakby się jej wydarzyła najzabawniejsza awantura w życiu.

- Oczywiście, oczywiście, drogi panie! mówiła wciąż się śmiejąc ciocia Kasia. - Wie pan, co się stało? Pan Wojciech dowiedział się przypadkiem, że pan kazał na naszą cześć zgładzić w lesie koziołka.

- Nie może być! Otóż i nowy ambaras.

- Żaden ambaras! Niech pan prędko zawiadomi kucharza, aby najlepszy kęsek podał na obiad panu Mościrzeckiemu. Czy ten kucharz to roztropny człowiek?

- Nawet bardzo, ale tylko wtedy, kiedy jest pijany, a nigdy nie jest naprawdę trzeźwy.

Upił się potężnie przed trzydziestu laty i dotąd nie wytrzeźwiał, bo wciąż dolewa. A co ma teraz zrobić?

- Niech ześle na własny rachunek, że to nie był wasz kozioł, ale taki, co przywędrował z lasu sąsiada. Ręczę panu, że pan Mościrzecki chętnie uwierzy!

- Może być, może być... - jąkał zafrasowany Dziurawiec. - Będzie mnie to kosztowało flaszkę wódki. bo kucharz nie zechce taniej obciążać sumienia. To straszliwy opryszek! Nigdy nie miał odwagi zjeść tego, co sam zgotował, ale zawsze W)-pije to, czego nie gotował. Biegnę, biegnę czym prędzej!

- Co to wszystko znaczy? - zapytała po jego odejściu pani Zofia.

- To straszliwie zawiślana sprawa! Tak niemal, jak historia ze skarbem. Dawno mi nie było tak wesoło! Bo, uważasz. ta sarnina jest wielką tajemnicą pana Dziurawca. a ty go, o niczym nie wiedząc. zdradziłaś. Ja go teraz muszę ratować. Przy obiedzie się dowiemy, jaki się z tego zrobił bigos.

Całe towarzystwo powiadomione o pana Dziurawcowej zbrodni oczekiwało z niecierpliwością jego pojawienia się. A on się zjawił promieniście uśmiechnięty! Szeptem straszliwego spiskowca oznajmił współnikom krwawej tajemnicy, że pan Mościrzecki przyjął

sarnie łgarstwo do wiadomości nie tylko z zadowoleniem, ale nawet z żywą uciechą. “Skoro to nie nasze, wszystko w porządku!” - tak powiedział. Skąd pani jednak, szanowna panno Katarzyno, mogła to wszystko tak wybornie przewidzieć?

- Jak to: skąd? Znam przecie pana Mościrzeckiego nie od dzisiaj, tylko od wczoraj! Ale , czy zostały i dla nas jakie kości? Tam. gdzie przegoni Tatar, nie porośnie trawa, a tam, gdzie ucztował pan Mościrzecki... Proszę mi podać ramię, panie Adamie, bo idziemy na obiad! Ale nie z tej strony prowadzi się damę!

Wesoły nastrój cioci Kasi udzielił się wszystkim. Nawet Maciuś śmiał się szczęśliwie. gdy mu jego nowy przyjaciel, czarny kundel, wrywał z ręki jedzenie. Nawet smętni bratowie, Jan i Józef, uśmiechali się blade, chociaż ich ciężkie trapiły myśli. Ciocia Kasia wydała rozkaz dzienny, że nie należy pogody przesłicznego dnia oczerniać rozprawianiem na temat rejenta i jego skarbu. Po wczorajszej burzy należał się wszystkim radosny odpoczynek. Przyjdzie czas i na te mroczne sprawy.

Zdawało się, że poweselała i ta ciemna sala z katafalkiem stołu w środku. Nie dziw przeto, że Dziurawiec, któremu kamień sarny spadł z serca, rozwinął niebywale towarzyskie talenty i gotów był nawet odtńczyć jakiś zawrotnie dziki taniec, gdyby go tylko o to poproszono, że jednak nikomu to do głowy nie przyszło, więc tokował i zawijał dowcipasy, weselił się i ucztował! Wszyscy patrzyli na niego z miłym zdziwieniem, on zaś patrzył na wszystkich - równocześnie. Najwyraźniej jednak oddał się na usługi “szanownej panny Katarzynie”, chociaż jędynie w obłąkanym śnie mógł uchodzić za pazia królowej. *Quantum mutatus ab illo!* Dzisiejszy Dziurawiec, zetknąwszy się z ludźmi pogodnymi, odrodził się i wyrócił na nice. Obrotny minister opryskliwego władcy tak się nappełnił pogodą, jak szklanica złotym winem, i promieniał. Tak był rad, że wszelkiej zbywszy trwogi przed swoim tyranem, byłby się w tej chwili ważył nie tylko na zakatrupienie koziołka, lecz - gdyby pan Mościrzecki hodował słonie - ubiłby i słonia na jedno słowo panny Katarzyny!

W pewnej chwili szepnął coś do nie domytego ucha niewolnika, usługującego przy stole, i wręczył mu klucz takich rozmiarów, że gdyby święty Piotr zgubił klucz od wrót niebieskich, zakrzyknąłby tylko z góry: “Hej tam, panie Dziurawiec! Pożycz mi pan swego kluczal” Pachołek na jeden moment zdębiał, po czym szybko wybiegł, aby powrócić z miną triumfalną.

Niósł dwie butelki, sędziwe, brodate, mocno zgrzybiałe.

- Oho! - zakrzyknął Ralf.

Dwaj bracia rozdęli chrapy jak rumaki, gdy poczują wodę na pustyni.

- Czy my będziemy pili? - zapytała zdumiona pani Marta.

- Tak, pani dobrodziejko! - uradował się niebotycznie Dziurawiec. - Musimy wypić za szczęśliwą podróż pani i tej uroczej panienki.

- Ach, to może i pan mnie kiedy odwiedzi?

- Jeżeli tylko zatęsknię za rajem, uczynię to niewątpliwie. Panie Ralfie! Niech pan otwiera butelkę, tylko ostrożnie! To stary miód, starszy nawet od pana Mościrzeckiego. Wypijemy i jego zdrowie, bo mu się to za taki miód należy.

- Nie boi się pan? - zapytała ostrzegawczym szeptem panna Katarzyna.

- Z panią i diabła się nie boję! Zresztą do pewnych granic mam prawo rozporządzania piwnicą w wyjątkowych okolicznościach. gdyby tu niespodzianie przyjechał albo biskup. albo wojewoda. Ponieważ ani biskup, ani wojewoda nigdy się w tym domu nie pojawiają, więc korzystam z miłej okazji. A zresztą, co mi tam! Gdyby mi pan Mościrzecki kazał zapłacić za te dwie mizerne butelczyny. to ja ostatnią koszulę...

Dziurawiec się rozczulił.

- ...ja bym dla pani, szanowna panno Katarzyno... ja bym... O, panie Ralfie! Otworzył pan? Niech pan naleje z łaski swojej! Ha! Co się panu stało?

Ralf czynił dziwaczne jakieś sztuki. Nalał połowę szklanki, ujął ją w ręce, spojrzał pod światło. potem powąchał. potem skosztował i potem ogłosił z łajdackim spokojem:

- To czysta woda. panie Dziurawiec!

- Nie może być! Pan żartuje... Woda?

Zerwał się z krzesła i pochwycił szklankę.

- Jak mi Bóg miły, woda! Prędko, prędko...

Niech pan otworzy drugą butelkę!

- Też woda ! - oznajmił Ralf. - Ale poczekajmy, może się stanie cud i woda zamieni się w miód.

- To straszne, to straszne! - biadał nieszczęsny Dziurawiec. - Bardzo wszystkich przepraszam, ale przysięgam, że nic nie wiedziałem o tym okropnym szachrajstwie.

- Po co się pan tłumaczy? - pocieszała go ciocia Kasia, widząc jego rozpacz.

- Ale kto nalał do butelek wody? - pytał sam siebie.

- Pewnie ten, co wypił miód - odrzekł Ralf roztropnie.

Dziurawiec usiadł, zmiażdżony. Nachylił się ku pannie Katarzynie i rzekł chmurnie:

- To pan Mościrzecki uczynił tę sztukę. To on wypił miód, a ja najadłem się wstydu. Ale po co nalał wody?

- Może przewidział, że nas pan zechce ugościć. Niech pan dziękuje Bogu, że nie nalał trucizny. Ech, co tam! Woda jest szlachetnym napojem. Wesoło, panie Adamie!

- Mnie jest bardzo smutno... Teraz rozumiem, dlaczego oddał mi klucz od piwnicy, z którym nie rozstawał się nigdy. Dał mi wtedy, kiedy w piwnicy była tylko woda i kiedy resztę szlachetnych napojów kazał przynieść do schowka obok swego pokoju.

- Dawno to było?

- Dawno, kiedy jeszcze mógł chodzić. Pewnie mu się zdawało, że uczynił dobry żart.

Bardzo mi przykro, bardzo mi przykro!...

Panna Katarzyna nie dopuściła jednakże do tego, by pan Mościrzecki im urągał, chociaż sam o tym nie wiedział. Jak on wody do omszałych butelek, tak ona dołała otuchy do omszałego serca pana Adama i rozweseliła wszystkich zapowiedzią, co to ona uczyni w tym domu. Jedną tylko pani Marta słuchała z trwogą, słusznie rozumując, że skoro ciocię Kasię ogarnie zapal oczyszczania wszystkich domów, w których przebywa, to i jej dom też to czeka. Prędko jednak odeszło ją to zmartwienie, gdyż trzeba było się żegnać. Wkrótce pojawiły się przed domem końskie widma, pochyliły zamyślane łby ku matce ziemi i cierpliwie czekały. Ciocia Kasia podjęła się obowiązku pożegnania gospodarza przy sprzyjających okolicznościach, a Dziurawiec, zniknąwszy na czas krótki, powrócił z naręczem jesiennych, bladych kwiatków, które wręczył odjeżdżającym paniom z niskimi ukłonami wedle starej mody. Rzucono się sobie w objęcia, zamieniano uściski i uśmiechy, wedle zwyczaju bardzo łzawe i żałośliwe, przypominano obietnice, zaczęto całować się *da capo*.

Ralf wygramolił się na kozioł kałamaszki, a Dziurawiec pomagał damom przy wsiadaniu. Konie podniosły wprawdzie łby i obejrzały się poza siebie, jak gdyby pragnąc stwierdzić obciążenie wózka, lecz nie chciały ruszyć mimo tkliwej namowy Ralfa. Dopiero ciocia Kasia zakrzyknęła tak gromko, że jasnokościste chabety przeraziwszy się poderwały skrzypiący wózek.

Pan Mościrzecki patrzył na ten wyjazd przez okno spojrzeniem chmurnym: oto go bezpowrotnie opuszczało na jego własnym wózku jego własne dwadzieścia tysięcy. I za co? Za mętne, bogdaj że deliryczne obietnice szalonego rejenta. Wprawdzie ta miła pani Zofia próbowała w niego wmówić, że istnieją na świecie piękniejsze rzeczy niż pieniądze, ale niech jej się uda żyć bez pieniędzy! Zapewne, są tacy, co umieją dokazać tej sztuki, są to jednak łapserdacy i farmazoni, co albo piszą niepotrzebne nikomu książki, albo malują niepotrzebne obrazy. Ot, gada miła pani, aby gadać... I komuż to mówi? Jemu? Wprawdzie i ona chciała oddać pieniądze czego on nie jest w stanie pojąć, ale diabła zjedzą wszyscy razem, nim go spostonują. Chcieli go zawstydzić - oczywiście! - ale im się nie udało. Stać go na to, by okazać gest! W jakiś sposób odbije sobie wielką stratę, jutro czy pojutrze, wszystko jedno. Z

bernardynami wiedzie proces o kawał ziemi i o młody las, a jeżeli go wygra, co się niebawem rozstrzygnie, więcej na tym zarobi, niż wczoraj utracił.

Przerwał rozmyślenia, gdyż go coś nadzwyczajnie nagle zajęło. Patrzył ze zdumieniem przez okno: oto po siedemkroć przeklęty Dziurawiec stąpa obok panny Katarzyny, powracając od wjazdowej bramy. Nie, nie stąpa! Diabelski Dziurawiec płąsa! W jednej ręce trzyma kapelusz, jak gdyby towarzyszył hiszpańskiej królowej, a w drugiej pęk nasturcji. Zwariował chłop, po prostu zwariował! Rozprawia o czymś żywo, przewraca oczami, jakby się dławiał rybią ością, a ona się uśmiecha.

“Ani chybi! - pomyślał. - Ten człowiek jest opętany. A ta straszna baba coś mu tłumaczy...

Panna Katarzyna przystanęła nad sadzawką i o czymś długo mówiła, a Dziurawiec kiwał głową na znak, że rozumie.

- Co oni knują? - mruzczał pan Wojciech. - To piekielna spółka! Co oni knują?

Patrzcie, patrzcie! Dał jej kwiaty, a ona je wzięła...

Przetarł z niedowierzaniem oczy, zamknął je i znowu otworzył: jeszcze stoją nad wodą. Panna Katarzyna oderwała kilka kwiatnych płatków i rzuciła je na wodę, jak gdyby chciała nimi nakarmić nie istniejącego karpia.

- Myślałby kto, że to podłotek! - zaśmiał Się cierpko. - A Herod przy niej nie umiałby doliczyć do trzech. Ten stary koń znowu do niej oczami zawraca. Gotów jeszcze wskoczyć do sadzawki, jak mi Bóg miły!

Dziurawiec jednak wcale nie myślał się topić, widać bowiem było wyraźnie, że jest rozradowany i bardzo czymś przejęty. Gadał obficie i ustami, i prawą ręką, którą często wyciągał w stronę czystego nieba. Obeszli wreszcie sadzawkę i zniknęli za zakrętem.

Mościrzecki głęboko się zamyślił:

- Poczekajmy. poczekajmy... Obiecała, że będzie szukać skarbu... I ona, i te dryblasy...

Dobrze, niech szuka! Jeśli ten skarb jest w piekle, to i tam go odnajdzie, bo jej nie nastraszą wszyscy diabli. Wtedy zobaczymy, kto się będzie śmiał: czy panna Mościrzecka, czy pan Mościrzecki!? Myślę, że pan Mościrzecki. Ale jak się będzie śmiał! A teraz spokojnie, tylko spokojnie... Szkoda, że pani Zofia nie posiada sprytu tej piekielnicy! Słodkie to jakieś stworzenie, a kazania gada jak ksiądz. Niech tu siedzi jak najdłużej, ale z panną Katarzyną pożegnamy się w odpowiednim czasie bez czułości i bez łez.

Tak go uradowała myśl o tym pożegnaniu, że się niemal uśmiechnął, w czym jednak nie posiadał zbytnej wprawy. Dzwonkiem wywołał z jakiegoś kąta swego famulusa.

- Idź do kucharza i powiedz mu, że jestem głodny!

- Przecie pan niedawno...

- Kto cię o to pytał? Twój brzuch czy mój?

Ponieważ nie można było zaprzeczyć, że pan Mościrzecki lepiej niż kto inny znał zwyczaj swego brzucha, famulus poszedł spełnić Żarłoczne polecenie. Pan Wojciech był poruszony, a w takich wypadkach zawsze koił serce, napełniając żołądek, tym chętniej, że już trzy godziny minęły od obiadu. Jadł zresztą z nudów jak ludzie w pociągu, a on na swoim wózku zawsze jak gdyby znajdował się w pociągu.

Cały dom ścichnął, nie było słycać żadnych głosów. Dopiero po jakiejś godzinie zaturkotała kałamaszka, popychająca końskie szkielety, które się wlokły z rezygnacją, zachęcane przez dobrego Ralfa cmokaniem i pełną słodczy namową. Zaprzęg był karawaniarsko smutny i automedon był smutny. Dawno już powiedział Szekspir: "Kochanek śpieszy do lubej wesoły jak student ze szkół, od niej - jak do szkoły!" A Ralf wracał do szkoły. Rozdarł sobie łagodne serce w chwili pożegnania na kolejowej stacyjce, a ponieważ panna Janeczka, chociaż niebywale biegła we władaniu igłą, nie mogła go zeszyć na oczach wszystkich obecnych, więc go to serce udręczone bardzo bolało. Jest to uczucie złożone, bo i bolesne, a zarazem nad wyraz przyjemne, zresztą dobrze znane Amerykanom, którym dentyści wrywają zęby, ukoivszy ich wprzódy gazem rozweselającym. Pacjent chciałby zawyc i śmieje się równocześnie. przyroda zna od dawna tę sztukę: wierci korkociągiem miłości w młodocianym sercu i równocześnie rozwesela je błogą i niebieską nadzieją. Dlatego Ralf czuł się w tej chwili na koźle wózka jak na fotelu dentysty w rodzinnym mieście Detroit.

Konie dowlokły się do stajni, a on ciężkim krokiem dowlókl się do domu.

Przywitali go zasmuceni bracia.

- Panie odjechały? - zapytał Jan.

- A co innego mogły zrobić? - bąknął Ralf.

- To dobrze... - mruknął Józef ni w pięć, ni w dziewięć.

- Czemuż to ma być dobrze? - oburzył się Ralf.

- Bo będzie spokojniej. Coś ty się zrobił taki nerwowo? Mamy przed sobą nie lada robotę, więc lepiej będzie, jeśli nas będzie mniej. Drogi Ralfie! Czy nie moglibyśmy teraz na ten temat pogadać? Mamy czas...

- Ja, niestety, nie mam czasu!

- Nie masz czasu? - zdumiał się Józef. A cóż ty masz do roboty?

- Muszę napisać list... - odparł Ralf niepewnie.

- Oh, przecie nie do panny Janiny?

Ralf stanął cały w płomieniach.

- A właśnie, że do niej! Nie widziałem jej przecie od dwóch godzin. Właśnie, że do niej!

Jan nic nie rzekł, tylko spojrzął na Józefa, a ten nieznacznie dotknął palcem czoła, co miało oznaczać niechybnie, że miły Ralf utracił resztkę rozumu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

w którym dobry pan Dziurawiec przez czary w Absalona przemienion

Przez rżyska, zasnute srebrnymi pajęczynami, przeszło wolnym. ociągającym się krokiem kilka dni, jak gdyby im żal było opuszczać ziemię i tonąć w czarnym morzu wieczności. Noce wciąż były śliczne. O takich nocach cudownie mówi Słowacki w Królu Duchu: "Niebo jak zegar jaśnieje..." Wyniosłe drzewa obok Bernardynów złościły się dukatowym złotem. a pomniejsze gorzały jak gromnice. które niedługo wiatr pogasi. Nawet marna sadzawka przed domem srebrzyła się w słońcu srebrną łuską. Z ciężkim trudem gromadziła jesień wszystkie blaski, aby przyodziać nagą ziemię przed zimowym snem, podobnym do śmierci. Niezmałony spokój otulił świat.

I w potwornej siedzibie Mościrzeckich ukoili się namiętności, jak gdyby ktoś starym Żeglarskim zwyczajem wylał kilka beczek oliwy na wzburzone fale. Jak gdyby za cichą zgodą nie wspomniano owego przykrego dnia, kiedy to pan Mościrzecki zachłannie, a tak nieopatrznie kupował części spadku. Teraz albo roztropnie ukrył rozdrażnienie, albo też doszedł do przekonania, że największy nawet chytrzec może się pomylić, bo niczego nie dawał poznać po sobie. Po dwóch dniach kazał przed swoje jowiszowe oblicze wołać Dziurawca, który wszystkim świętym pańskim, a w szczególności świętej Katarzynie duszę poleciwszy, zjawił się przed nim. O dziwo! Zjawił się, ale wcale nie pokorny, lecz z głową hardo podniesioną i jakby gotów na wszystko! To mądra Pallas Atene, panna Katarzyna, natchnęła go wzniosłą dumą, jasno mu wytłumaczywszy, że nic gorszego grozić mu nie może, jak tylko dymisja. To i cóż?! Skoro będzie musiał odejść. niech odejdzie z podniesioną głową, bo sumienie ma czyste, wszystko jednak za tym przemawia, że pan Wojciech obejść się bez niego nie może. Jeśli tak będzie - dobrze! - niech pracuje u niego dalej, ale ani się płaszcząc, ani się trwożąc. Pan Mościrzecki jest przypadkiem bogatszy od Adama Dziurawca, z czego jednak nie wynika, aby miał być od niego lepszy lub ważniejszy i żeby mógł mu ciosać kołki na głowie. Dziurawiec tak wierzył w niezglębioną mądrość panny Katarzyny, że się nie zawahał ani chwili. Jedynie z nałogu trapiły go i dręczyły niepokoje, gwałtownie jednak sycił w sobie hardość.

Skłonił się swojemu chleבודawcy z należytyim szacunkiem, patrząc w okno, i uprzejmie zapytał o zdrowie, po czym zamilknął i czekał wybuchu tego dynamitu, który pan Mościrzecki

niewątpliwie gromadził w sobie przez dwa dni. Musiał jednakże ten zapas zamknąć, bo mruknął jedynie i nie patrząc na swego ministra, rzekł:

- Czy ja mam jeszcze z czego żyć?

- Wystarczy na lat sto - odpowiedział Dziurawiec z powagą.

- To dziwne, że wystarczy przy pańskich pomysłach. Jestem zbyt znużony, żeby się teraz z panem policzyć, ale to pana nie minie!

- Jestem do usług!

- Policzymy się, skoro się ta sprawa zakończy, jeśli się w ogóle zakończy. Mówiła mi pani Zofia, jedyna szanowna i do rzeczy osoba w tym towarzystwie, że ci młodzi oberwańcy coś tam wyprawiają. Co mianowicie?

- Szukają skarbu. W tym celu udali się onegdaj rano na poszukiwanie potomków owego Żubrowskiego, o którym pisze rejent. Wracając jednak do wypowiedzianych przed chwilą słów, pozwolę sobie zauważyć z całym szacunkiem dla pani Zofii Mościrzeckiej, że i panna Katarzyna też - wyraźnie to podkreślam - t e ż Mościrzecka, godna jest najwyższej czci. I dlatego, że się wyróżnia wzniosłością ducha, i dlatego, że może olśnić każdego wspaniałym rozumem!

Mościrzecki uśmiechnął się jak najgrubszy szatan.

- I dlatego obdarza ją pan kwiatkami?

Dziurawiec wyprostował się, wypiął pierś i rzekł uroczyście:

- Godna jest wszystkich kwiatów ze wszystkich łąk i pól. Tak jest! Oddałem jej ten mizerny hołd, gdyż w ciężkiej chwili okazała mi wiele serca. Proszę, aby pan moich słów nie uważał za zuchwałość, jeśli powiem, że i pan powinien okazać jej też swoją wdzięczność.

- Za co? Czy pan jest pomyłony?

- Nie jestem bynajmniej pomyłony. Powinien jej pan okazać wdzięczność za to, że, zakasawszy rękawy, oczyszcza ten dom, w którym przez stulecia chyba nie sprzątano.

- Do diabła z porządkami! Mnie nie są one potrzebne, a jeśli jej to robi przyjemność, niech sobie sprząta.

- Panna Katarzyna - mówił sucho Dziurawiec - nie czyni tego dla własnej przyjemności. Jest to straszliwa praca! Mam zaszczyt oznajmić panu, że odnalazła prześliczne książki i całe paki starych dokumentów.

- A skarbu nie znalazła? - zapytał Mościrzecki urągliwie.

- Panna Katarzyna jest zdania, że i te książki, i dokumenty są już wielkim skarbem, który należy oddać Bibliotece Narodowej.

- Za darmo?

- Tak jest. Dla chwały nazwiska Mościrzeckich.

- Aha, dla chwały!... Tereferę!... Panie Dziurawiec! Ze zdumieniem widzę, że pana odmienił jakiś diabeł...

- Czemu nie anioł, proszę pana?

- Anioł czy diabeł, wszystko mi jedno! Słuchaj pan! Niech sobie ta pani robi porządkę, skoro się tak uwzięła, ale ja muszę wiedzieć, co i gdzie znalazła.

- Słusznie!

- Następnie proszę, aby mnie stale zawiadamiano o poczynaniach tych trzech urwipółciów, z których jeden jest mądry .bo wycygał ode mnie dziesięć tysięcy dla tej pannicy, a dwóch jest głupich, bo uczynili to, co ja uwierzyli rejentowi! Najlepiej będzie, jeśli ich do mnie przypędzi, skoro tylko wrócą.

- Przypędzać ich nie będę, bo to są goście w polskim domu - rzekł twardo niezłomny Dziurawiec - ale mogę im oznajmić, że pan tutaj ich oczekuje.

- Jak się panu podoba... Od pewnego czasu stał się pan niebywale wytworny. I to pociecha na starość... Ale, ale... Panie Dziurawiec!... Doszły mnie z boku słuchy. jakoby pan chciał mnie opuścić. Ile jest w tym prawdy?

- Dość dużo - brzmiała posępna odpowiedź. - Za trzydzieści lat mojej wiernej służby w tym domu spotkały mnie niedwuznaczne pogrożki... Nawet i przed chwilą... A przecie pan o tym doskonale wie, że chciałem jak najlepiej...

- Był taki niedźwiedz, co ciężkim kamieniem zabił muchę na czole śpiącego człowieka, a przy tej dobrej sposobności zakatrupił też człowieka. Pan mi wyrządził taką samą niedźwiedzią przysługę. Dobrze. nie mówmy o tym! Będziemy natomiast mówili o czym innym. Czy pan pamięta, co mi pan uroczyście przyrzekł w owym czasie, kiedy zostałem przykuty do tego fotela?

Dziurawiec drgnął.

- Przyrzekł mi pan - ba! przysiągł mi pan, że mnie pan nie opuści nigdy, chyba że znów odzyskam władzę w nogach. Przypomina pan sobie?

- Nigdy nie zapomniałem...

- Nie zapomniał pan, a jednak chciał pan uciec!

- W rozgoryczeniu...

- Niech będzie. że w rozgoryczeniu. Teraz jednak, kiedy to panu przypomniałem, myślę, że już się pan nie będzie rozgoryczał. Moje nogi w dalszym ciągu przypominają kłody. więc jeśli chce pan być wolny od przyrzeczenia, niech się pan żarliwie modli o moją śmierć!

Dziurawiec spojrział na niego z powagą i zaczął mówić uroczyście:

- Być może, że jestem popędliwym człowiekiem, może jestem nierozważnym człowiekiem, lecz zawsze byłem, jestem i będę człowiekiem uczciwym. Nigdy nie życzyłem śmierci nikomu, a tym mniej panu. Pamiętam o mojej obietnicy i spełnię ją. A jeśli mi się pan każe modlić, i to uczynię, ale będę błagał Boga, aby panu powrócił zdrowie. Tyle chciałem powiedzieć... Czy mogę odejść?

Mościrzecki słuchał go z napiętą uwagą, a potem długo patrzył w jego twarz. Po chwili rzekł nadspodziewanie łagodnie:

- Żegnam pana, panie Dziurawiec... Do widzenia!

Minister Przypłocia skłonił się z godnością i wyszedł powoli, bardzo z siebie rad. We drzwiach spotkał się z wchodzącą panią Zofią, która się mile do niego uśmiechnęła.

- Panna Katarzyna czeka na pana... szepnęła.

- Gdzie? Gdzie?

- Na strychu...

A on się wcale nie zdumiał, albowiem wiedział, że dzielna ciocia od wczoraj buszuje pod dachem ogromnego domiska. Znalazł ją tam w towarzystwie całego sztabu, ściągniętego z folwarku. Sztab był zdumiony i przejęty, choć w tajnych "między sobą rozmowach orzekł z sympatią, że ta zwalista pani z miasta jest z wszelką pewnością tknięta na rozumie, czy to bowiem słyszane rzeczy, aby szperać po strychach, dokąd od wieków chyba nikt nie zaglądał? Dziurawiec jednak jeszcze bardziej zaczął podziwiał jej wielki rozum, spojrzawszy na stosy potwornych rupieci, które stąd wywlekano, pomyślał bowiem ze zgrozą, że gdyby tak - nie daj Boże! - wybuchnął w tym domu pożar, miałby na samym strychu roboty i pokarmu najmniej na tydzień. A równo przez tydzień można by bez wytchnienia wyliczać te wszystkie zwalane na stos straszliwości. Była to wylęgarnia pajaków, myszy i nietoperzów. Nieustraszona panna Katarzyna urządziła kęsim temu tałatajstwu, zmęczona i przejęta.

- Niechże pani odpocznie! - zakrzyknął wzburzony Dziurawiec.

- Wkrótce będzie tu czysto jak w salonie! - odrzekła z najmiłym uśmiechem. Oczywiście, nie w waszym salonie. Niech pan patrzy, jaki prześliczny znalazłam sekretarzyk!

Niech pan spojrzy, jaki wspaniały fotel! To wszystko trzeba będzie znieść na dół. Czy pan Mościrzecki bardzo krzyczał?

- Wcale nie. Pozwala pani robić, co się pani podoba.

- Doskonale! Niech pan dźwiga sekretarzyk, a ja poniosę fotel. Ci dobrzy ludzie z resztą skończą sami.

Dziurawiec byłby nie tylko poniósł kruchy mebel, lecz na jej rozkaz usiłowałby dźwignąć cały dach, tak bardzo mu ta szcera i prosta panna Katarzyna przypadła do serca.

Zdumiewała go jej pracowitość i energia. a w zachwytyt wprawiała jej nieustraszoność nawet wobec pana Wojciecha, przed którym i on dotąd drżał, ale za jej sprawą zbył upokarzającej trwogi. Gdy po zejściu ze strychu dała się ubłagać, aby odpoczęła, zdał jej ścisły raport o niedawnej rozmowie. podczas której mu przypomniano o jego obietnicy.

- Istotnie, obiecałem i dotrzymam! - Postąpił pan pięknie, a teraz postępuje pan honorowo - mówiła z zadumą. - Wielka to szkoda, że pan Mościrzecki nie docenia tego tak, jak powinien. Wielka szkoda! Ha, trudno... Zbyt piękne byłoby życie. gdyby w nim nie było żadnych cierni. A czy on liczy jeszcze na skarb?

- Wyraźnie o tym nie mówił, żąda jedynie dokładnych sprawozdań.

- A kiedy chłopcy powrócą?

- Gdyby byli pojechali naszymi końmi, powróciliby za jakiś tydzień. ponieważ jednak powędrowali piechotą, myślę, że wrócą za jakieś dwa, trzy dni...

Panna Katarzyna uśmiechnęła się, jakby uradowana, że Dziurawiec ma poczucie humoru, co świadczy niezbitnie o dość wysokiej rasie ducha. Bardzo polubiła tego człowieka, na wskroś go przejrzawszy. Miała żal do pana Mościrzeckiego, że go jak gdyby przytępił i odrętwił, nagiął do niesłusznej pokory i do zastrachanego poczucia niższości. W Dziurawcu mieszkało wiele dobrego i szlachetnego, a że przez długie lata skazany był na nieruchawę i zrzędne towarzystwo. garnął się teraz z rozradowanym pośpiechem do ludzi z innego. nie znanego mu niemal świata. Mocno przywiędły i zwarzony szronem obojętności - (innych porównań ze względu na jego roślinne nazwisko używać nie należy) zakwitł teraz w słonecznym blasku tych przybyszów z ciepłych krajów uczuć prostych i słonecznych. Był bezgranicznie wdzięczny jej przede wszystkim, pannie Katarzynie Mościrzeckiej, że się raczyła zniżyć do tej kotlinki, w której bytował jak wiecznie zastrachany zając, i starał się tę serdeczną wdzięczność okazywać przy każdej sposobności. Ona, jak zawsze obcesowa i gł-Lmiąca prosto z mostu, śmiało patrzaca w oczy całemu światu, nie zdawała sobie nawet z tego sprawy, że zna tego człowieka zaledwie od niewielu dni. i raz poczuwszy do niego sympatię, postępowała z nim jak z odwiecznym przyjacielem. Patrząc na niego w tej chwili z uwagą, odezwała się niespodziewanie:

- Panie Adamie! Zapomnijmy o panu Mościrzeckim i o rejencie, zajmijmy się natomiast czymś przyjemniejszym. Mam do pana wielką prośbę.

Pan Adam, tak tkliwie nazwany. łypnął jednym okiem w stronę nieba. drugim w stronę ponurej ściany i rzekł - nie! nie rzekł - lecz zawołał:

- Pani... prośbę? ... Ależ ja wszystko... Niech pani rozkazuje!

- Gdzieżbym śmiała! Nie, ja chcę pana poprosić, ale o Coś bardzo dziwnego...

- Nic mnie nie zdziwi! - krzyknął on z mocą.

- A ja myślę, że jednak pana zdziwi... Bo prawdę mówiąc prośby będą dwie, a obie bardzo osobliwe. Pierwsza dotyczy pańskich włosów...

Gdyby pan Dziurawiec stał, byłby ze zdumienia padł na krzesło, ale ponieważ siedział, więc nie mógł tego uczynić.

- Moich włosów? - powtórzył ze zdumieniem i dotknął ich ręką.

- Po co je pan - do stu tysięcy! - smaruje czymś pachnącym, lepkiem i tłustym?

- Lepkiem i tłustym... - zaszemrał Dziurawiec.

- Czy to taka w tych stronach moda? mówiła z pośpiechem. - Taka małomiasteczkowa elegancja? Ma pan piękną czuprynę, której wystarczy woda i grzebień, a jeśli pan nie posiada tego dość pospolitego instrumentu, to dziesięć własnych palców! Po co to pachnące paskudztwo? Niech je pan ciśnie do sadzawki albo gdziekolwiek! Nie gniewa się pan?

- Nie, nie! - odrzekł zdławionym głosem.

- To dobrze! - zaśmiała się wesoło. - Po co muchy mają sobie urządzać towarzyskie zebrania na pańskiej głowie?

- Już nie będą siadały! - zawołał gromko. - O, panno Katarzyno, o, panno Katarzyno...

Wystarczyłaby wprowadzić jedna taka promienista apostrofa, był jednak tak głęboko wzruszony, że musiał to wykrzyknąć po dwakroć, coraz to w wyższej tonacji. Dodało to jej odwagi do wypowiedzenia drugiej prośby, pomimo bowiem nieustraszoneści, była zakłopotana. On jednakże nalegał rozentuzjasmowany, więc mu rzekła:

- Druga moja prośba jest nierównie trudniejsza do wykonania... Cierpliwością jednak można wiele dokazać...

- Zdobędę się na wszystko! Proszę rozkazywać!

- Panie Adamie - mówiła serdecznie. Pan ma dziwaczny sposób patrzenia na ludzi.

- Niemożliwe! - zdumiał się szczerze.

- Niestety tak. Zamiast patrzeć wprost w ludzkie oczy. błądzi pan spojrzeniem we wszystkie strony. Stąd to zapewne pochodzi, że pan pragnął mieć zawsze wszystko na oku. Wodni to pańskiej czujności i zmysłu obserwacyjnego, ale to nie jest miłe. Mógłby kto takiego zacnego jak pan człowieka posądzić o to, że pan unika ludzkiego spojrzenia, albo że się pan obawia, by kto z pańskich oczów nie wyczytał właściwych zamysłów.

- O Boże! Przecie ja nie mam nic do ukrywania!

- Oczywiście, ale o tym wiem ja i .wiedzą ci, co są blisko pana. Zna pan jednak ludzi! Jeden będzie się śmiał z pańskiego przyzwyczajenia, drugi natomiast pocznie węszyć i będzie

na kredyt pana oczerniał, czemu ja właśnie chcę przeszkodzić. Panie drogi! Niech mi pan spojrzy prosto w oczy.

Dziurawiec uczynił to z żarliwą chęcią, lecz uczynił niezdarnie. Prawe oko zmusił. by patrzyło jako tako, niesforne jednak oko lewe zajrzało z nawyku pod stół.

- Prosto w oczy! - prosiła z uśmiechem. Niech pan sobie wyobrazi, że pan jest u okulisty... O, tak! Coraz lepiej!

- To ja nie umiem patrzeć wprost? - jęknął pacjent. - Zapewne nie umiem. Ma pani zupełną słuszność. Staralem się zawsze patrzeć w cztery strony równocześnie, bo dobrzy ludzie kradli czasem w czterech stronach. Co robić, najszanowniejsza panno Katarzyno, co robić? Czy jest na to rada?

- Rzecz prosta, że jest. Oduczyć się...

- Ale jak?

- Przez ćwiczenie. Dlatego powiedziałam panu, że wiele można dokonać cierpliwością. Niech pan codziennie poświęci trochę czasu na nieruchome wpatrywanie się w jeden punkt. W byle co! W gwóźdź w ścianie albo w tarczę zegarka. Niech się pan siłą woli zmusi do tego, aby od jakiegoś drobnego przedmiotu nie odrywać spojrzenia przez pół godziny. Mógłby pan wprowadzić w ten sposób sam się uśpić, więc proszę przenosić wzrok co pewien czas z jednego przedmiotu na inny. Zrobi pan to?

- Z największą radością! Co ja pani zawdzięczam, co ja pani zawdzięczam...

- Dotąd niewiele - odrzekła tkliwie. - Ucieszy mnie pan jednak bardzo, jeśli się panu uda. Nad czym pan tak myśli?

Dziurawiec był ogromnie zakłopotany. Widać było, że pragnie coś powiedzieć, ale nie ma dość odwagi.

- Śmiało, panie Adamie, tylko śmiało!

- Boję się, że się pani oburzy... Jeśli mi pani z góry przyrzeknie przebaczenie, to powiem...

- Gadajże pan! Przebaczam z góry.

- Otóż rzecz jest taka: z największą cierpliwością będę leczył moje niesforne oczy, ale tym łatwiej mi się powie, jeśli uparcie będę patrzył w coś, co mi uczyni serdeczną przyjemność. Niech mi pani da swoją fotografię! - dokończył desperackim okrzykiem.

W tej chwili w niebie uczynił się rozruch. Aniołowie wołali zdumieni: "Patrzcie, patrzcie, wszyscy święci! Panna Katarzyna spłonęła jak zorza!"

- Moją fotografię? - szepnęła w szczęśliwym zdumieniu. - Moją fotografię? Jest pan pierwszym człowiekiem na świecie, który mnie o to prosi... Niestety! Nie posiadam swojego

wizerunku. Bardzo żałuję... Nigdy mi to na myśl nie przyszło. Jakąś odwieczną, wyblakłą fizjonomię mam w dowodzie osobistym, ale ten obrazeczek raczej by panu spłoszył oczy, niż je uradował. Tak, tak, panie Adamie... Niech pan już lepiej patrzy w zardzewiały gwóźdź!

Zaśmiała się, ale jakoś bardzo niewyraźnie. Podała mu obie ręce, które z wielką czcią ucałował, zanim odszedł na poszukiwanie gwoźdźcia.

Panna Katarzyna usiadła we wnęce okna i zadumana patrzyła na zamierający w złotym przepychu boży świat. Coś się w niej nieznośnie roztkliwiło.

- Moją fotografię... - szepnęła sama do siebie.

Z płonącego złotym ogniem drzewa przed oknem spadały wielkie liście i kołując leciały ku ziemi. Przyszło jej na myśl, że ona jest takim więdnącym drzewem, od którego odrywają się uschłe dni i kładą się na szarej ziemi jak w grobie. Już niewiele złoci się ich na gałęzi, już niewiele... Znowu jeden waży się jak złoty motyl na powietrzu i zatacza kręgi, jakby się chciał ratować.

- Jakże to mówi poeta? - przypominała sobie smutna panna Katarzyna. - Tak mówi: "Liście, o jak pięknie lecą! I w tej drodze króciutkiej z gałęzi ku ziemi umieją pięknosciami zalśnić ostatnimi, a chociaż dobrze wiedzą, że ulegną błotowi, pragną, by ten upadek miał urok polotu..."

Srebrne pajęczyny, siwe włosy jesieni, niosły się przez powietrze. Ściagała je spojrzeniem aż rozboleła. Wszystko umiera, ale przedtem uśmiecha się i lazurowo, i złociście, i srebrzyście, więc i ona uśmiechnie się do swoich myśli, które są czyste jak jesienne lazury, do swego serca, które jest złote, i do swoich siwych, przeto już srebrnych wspomnień. Uśmiechnie się, chociaż zawsze była niezmiernie samotna w życiu, z którego oddała wszystko najlepsze innym. a ani okruszyny słodczy nie wzięła dla siebie. Bardzo jest już zmęczona ta niby zwalista, ta grubokoścista, szara i zgrzebna panna Katarzyna. Ech, co tam! Uśmiechnie się i tym uśmiechem pocieszy swój dziwny smutek, o którym nikt nie wie, smutek utkany z takich samych wiotkich, srebrzystych pajęczyn, które snuje pracowity pająk: serce.

Panna Katarzyna uśmiecha się z niewysłowioną tkliwością.

Ach, cóż za diabelskie igraszki!

Panna Katarzyna uśmiecha się, a jej szare oczy napelniły się łzami. Ociera je zdumiona, a one płyną i płyną, wielkie, gorące i czyste. Zamglił się niebieski lazur, pogasły złote błyski na liściach, poczerniało srebro pajęczyn.

Tak się uśmiecha panna Katarzyna...

Tak się uśmiecha przepracowana samotność, siedem tysięcy smutków i siedem tysięcy zatajonych zgryzot. Tak się uśmiecha wymęczone serce, które nie zaznało słodczy.

Zakryła rękami twarz, aby nikt nie dojrzał tego uśmiechu, co się zamienia w łzy. Nikt nie powinien dojrzeć tej smutnej tajemnicy, która ją samą napełniła lękiem. Nie poznaje sama siebie. Sama siebie nie może zrozumieć.

Przesiedziała w tym zakątku przez długie godziny, biedna, ach, jakże biedna, stara panna Katarzyna. Nagle otrząsnęła się, jak gdyby chciała z siebie zrzucić jakiś ciężar, spojrzała przytomnie i z trudem się podniosła.

- Głupia jestem! - powiedziała głośno. Tego mi jeszcze było potrzeba...

Zatrzasnęła otwarte serce jak szkatułkę, w której się ukrywa diamenty łez, i wyszła sprężystym krokiem, już znowu "szanowna panna Katarzyna".

Spotkana po chwili pani Zofia spojrzała na nią uważnie.

- Czy ci się wydarzyło coś złego? - zapytała serdecznie.

- Nigdy w życiu nie wydarzyło mi się nic złego! - zełgała ze wspaniałą wzniosłością.

- Ale twoje oczy...

- Przesiedziałam kilka godzin na strychu odpowiedziała szybko - pośród rupieci i kurzu.

Cóż tam pan Mościrzecki?

- Pan Mościrzecki złagodniał.

- Skruszał!

- Można i tak. Bardzo jest dla mnie dobry.

- Miód w butelkach też był bardzo dobry, a została tylko woda. Może jednak coś go odmieniło, co daj, Panie Boże! Bardzo cię zamęczą?

- Nie bardzo. Trochę się zżymał, kiedy przejęłam rządy nad kucharzem, ale i to już przeszło. Teraz wciąż dopytuje się o chłopców.

- Chłopcy lada chwila powrócą i znowu się zaczną. Patrz. patrz, co Dziurawiec wyprawia!

Widok był zgoła rozczulający, bo pan Dziurawiec, zadyszany, obnosił Maciusia na ramionach, wspaniale udając konia. Maciuś śmiał się głośno i pokrzykiwał wesoło, ogromnie szczęśliwy. Ale Dziurawiec był jeszcze szczęśliwszy.

Czarny kundel ujadał z obłąkanej radości, jak gdyby wszystkie pchły rzuciły mu się na mózg.

- Trzymaj się mocno - zarżał rumak bo teraz będę skakał!

Chłopczyna wparł obie piąstki w bujną czuprynę Dziurawca i oczekiwał skoku. Panna Katarzyna spojrzała bystrze: przed kilku godzinami Maciuś nie mógłby dokazać tej sztuki, aby wplątać palce w namaszczone fryzurę. Ha! Kiedy ona dumiała we wnęce okna, dzielny Dziurawiec dokonywał pracowitych zabiegów i z pastwiska swojej głowy spędził siedem krów

tłustych. Wspanialej niż tym porównaniem wyrazić tego nie można! Może dlatego był taki szczęśliwy i rozigrany i z takim mistrzostwem udawał grzywiastego rumaka. Nawiasem powiedziawszy był to jedyny ognisty bachmat w Przypłociu!

Pani Zofia rzekła niepewnie:

- Czy mi się zdaje, czy też pan Dziurawiec jest istotnie jakiś odmieniony?

- Pozbył się oleju z głowy! - zaśmiała się ciocia Kasia.

- Oleju z głowy? Nie rozumiem... - mówiła pani Zofia, najzacniejsza, lecz mało skrzydlata.

- Bo to trudno zrozumieć. Panie Adamie!

Dość już, dość, bo pan pogubi podkowy!

Dziurawiec zadyszany, lecz radosny, oddał Maciusia pani Zofii, a potem obiema rękami począł grabić włosy, straszliwie rozmierzwione. Uczynił to z takim wdziękiem, jak gdyby zawsze miał taką niesforną czuprynę. Pani Zofia teraz dopiero zrozumiała dowcip o oleju, uśmiechnęła się życzliwie.

- Pan od wczoraj bardzo wyprzystojniał! rzekła z uznaniem.

- To dopiero początek, szanowna pani, to dopiero początek! - odpowiedział z dumnym zadowoleniem i usiłował spojrzeć porozumiewawczo wprost w oczy panny Katarzyny. Omal że mu się to udało!

Pani Zofia, która przynosiła panu Wojciechowi wieści "ze świata", nie omieszkała mu opowiedzieć o metamorfozie jego pełnomocnego ministra.

- Czemu on to zrobił? - zdumiał się pan Wojciech. - Od dwudziestu lat kleił włosy jakąś szatańską pomadą, którą wyłącznie dla niego sporządzał golibroda w miasteczku, i takie były od niego zapachy, że ludzie w pociągu wychodzili z przedziału. Bez powodu tego nie uczynił. Wie pani, co ja podejrzewam? - mówił ściszym głosem. - To jest niewątpliwie sprawka tej... tej panny Katarzyny!

- A cóż ją może obchodzi fryzura pana Dziurawca?

On przymknął znacząco jedno oko.

- Widziałem przez to okno, jak ten pomyleniec ofiarował jej kwiaty. Zaraz, zaraz! Pojęcia pani nie ma, jak stawał w jej obronie, kiedy ja zacząłem dworować na jej temat. Niech pani doda jedno do drugiego, a będziemy bliscy prawdy. Proszę tego nikomu nie mówić, ale ja jestem przekonany, niezbitnie przekonany, że ten stary muł hiszpański zakochał się w pannie Katarzynie!

- A ona? - zawołała z najwyższym zdumieniem.

- Mądry byłby ten, kto by dociekł, co ona myśli lub zamierza. Krótko ją znam, ale znam wystarczająco. Trzech diabłów i siedmiu adwokatów nie dałoby jej rady!

- Niech pan nic złego o niej nie mówi, gdyż ją bardzo kocham!

- Słusznie, słusznie... I bynajmniej się nie dziwię... O, panna Katarzyna umie zdobywać i ludzi, i serca. Nie rozumiem jednakże, po co wyprawia te sztuki z zabalsamowanym Dziurawcem?

- Odniosłam dzisiaj takie wrażenie, jak gdyby Kasia miała dzisiaj oczy czerwone od płaczu - mówiła pani Zofia w zadumie.

- Nie może być! - uradował się hucznie. Więc jednak na moje wychodzi! Ależ to teatr pierwszej klasy. Dziurawiec zmywa z głowy balsamy, a panna Katarzyna wylewa śluzy. Ha, ha!

- Co w tym śmiesznego?

- Dla pani nic, ale ja się tak dawno nie śmiałem, że korzystam z tej wybornej okazji. Wcale nie z tego się śmieję, że ona płakała, broń mnie Panie Boże! - ale ten marcowy kawaler jest wspaniale śmieszny. Muszę mu się przyjrzeć z bliska!

- Byłabym szczęśliwa, gdyby to, o czym pan mówi, okazało się prawdą. Serdecznie bym się ucieszyła!

- Ośmielam się powiedzieć, że pani tylko po to zjawiała się na tym świecie, aby się cieszyć cudzym szczęściem. Ale i ja bym się cieszył.

W tym smutnym domu nigdy się nikt nie śmieje i nigdy się w nim nie zdarzyło żadne szaleństwo, a to byłoby pierwsze!

- Oby się pan częściej śmiał...

- Byle było z czego.

Śmiał się jednak tego dnia kilkakrotnie, ile razy pomyślał o zakochanym Dziurawcu. Sam go nie chciał wzywać, ale czekał niecierpliwie na jego zjawienie. Dziurawiec jednak długo nie zjawiał się, gdyż wydostawszy się skrzydlatym duchem na nieba empirejskie, niechętnie myślał o tym, że trzeba będzie zejść od czasu do czasu na niski padół ziemski, pełen butelek po znakomitym miodzie, napełnionych stęchlą wodą. Zszedł jednak z promienistej wysokości po Jakubowej drabinie zachwycenia, lecz schodził opieszale, przystając na każdym jej szczeblu. Stanąwszy na płaskiej ziemi, zwołał hajduków i kazał im wnieść do jaskini swego władcy przedmioty znalezione na strychu przez pannę Katarzynę. Sam stąpał za nimi jak poseł, który przynosi dary sułtanowi z dalekiej ziemi.

Pan Mościrzecki przywitał go z uśmiechem, który się stawał coraz szerszy.

“Czuj duch” - pomyślał Dziurawiec.

Nie było jednak podstępu w tym szerokim uśmiechu. Spojrzał z ukosa na odmienioną głowę, lecz nic nie dał poznać po sobie. Zauważył z odrobiną zazdrości, że Dziurawiec ma czuprynę bujną i obfitą, niemal zuchwałą.

“I po co ten stary koń smarował sobie włosy?” - pomyślał. A głośno zapytał: - Z czym pan przychodzi. drogi panie?

“Drogi panie”? - zdumiał się w duchu Absalon–Dziurawiec. “Czuj duch!”.

Skłonił się i oznajmił:

- To są owe starożytności, które panna Katarzyna znalazła w zakamarkach tego domu.

Ponieważ pan mi polecił zdawanie sobie sprawy, przeto...

- Doskonale, doskonale! - zaśmiał się pan Wojciech. - Co to jest?

- Przepiękny sekretarzyk. Panna Katarzyna twierdzi, że ma ze sto lat!

- Kto? Jak pan może twierdzić, że panna Katarzyna ma sto lat? Tyle nie ma!

Dziurawiec uśmiechnął się z politowaniem.

- Cieszy mnie, że pan jest w dobrym humorze. Mówiłem, że sekretarzyk pochodzi sprzed stu lat.

- Bardzo przepraszam... A to co takiego?

- Fotel!... Zniszczony, ale przepiękny. Co za linia! Co za wygięcia! Może na tym fotelu siadywał wielki poeta. może na nim spoczął Napoleon... Kto to może wiedzieć?

Tak nadobnie marząc, dotknął ręką swej absalonowej fryzury, czemu się pan Mościrzecki przyglądał z tajoną radością.

- A po co pan to kazał tu przynieść - zapytał pogodnie.

- Bo byłem przekonany, że pan zechce zobaczyć te stare pamiątki i powie, co mam z nimi uczynić.

- Aha... Bardzo dobrze! Co pan ma z nimi uczynić? - uśmiechnął się pan Wojciech Życzliwie. - Kto to znalazł?

- Już mówiłem: panna Katarzyna.

- Panna Katarzyna jest też Mościrzecka.

Niech jej pan w moim imieniu ofiaruje i ten sekretarzyk, i ten fotel.

- Nie może być!

- Cóż pana tak dziwi? Mnie to na nic, a ona się tym, jak słyszę, zachwyca. Nie ma o czym mówić. Proszę kazać to zanieść do jej pokoju jako jej własność. I książki może zabrać, i wszystkie sprzęty, które jeszcze znajdzie.

- O, panie! - z niewysłowioną radością zakrzyknął burgrabia. - Pojąć nie mogę...

- Pan wiele nie może pojąć! Po co pan tak burzy swoją fryzurę?

- Z wielkiego wzruszenia. Panna Katarzyna będzie szczęśliwa!

- Bardzo mnie to cieszy. Zresztą te graty mogą się jej przydać, bo nigdzie nie jest powiedziane, że nie wyjdzie za mąż.

Coś załomotało nad straszliwym domem i piorun z jasnego nieba uderzył w serce Dziurawca. Spojrzał szybko w górę, chcąc się upewnić, że pułap na niego nie runął, ale pułap ani drgnął.

- Za mąż? - szepnął.

- Nic by w tym nie było dziwnego. Jest kobietą dzielną, zapobiegliwą, no i w swoim rodzaju nawet przystojną. Zdołałem to zauważyć. Co się z panem dzieje?

Dobry Dziurawiec, zapomniawszy o wszystkim, a przede wszystkim o przepaści dotąd go dzielącej od pana Mościrzeckiego, chwycił obie jego ręce i potrząsnął nimi gwałtownie. Wydawał przy tym odgłosy, przypominające radosny bełkot niemowy i gulgotanie indyka. Potem chwycił fotel, zakrzyknął ku hajdukom: "za mną!" i wybiegł.

Pan Wojciech zaczął się śmiać. Najpierw bardzo głośno, potem coraz ciszej i ciszej.

- Zdaje mi się - rzekł wreszcie sam do siebie- że po raz pierwszy w życiu uszczęśliwiłem człowieka. I to tak tanio... tak tanio...

Zamyślił się głęboko i wyglądał jak człowiek, który gada z własnym sercem.

- ...Chciałem go ośmieszyć, a tymczasem ten opętany Dziurawiec... A zresztą czy ja wiem?

Trwał długo w niemej zadumie, po czym Odpędziwszy myśli jak kuropatwy, chwycił kij i uderzył nim kilkakrotnie a mocno w stół. We drzwiach pojawił się kucharz.

Mościrzecki nie krzyknął, lecz zgoła ryknął:

- Jeść! Dawajcie jeść!

Albowiem ile razy zaszemrało w nim serce, zawsze wtedy wielki wrzask czynił żołądek, jako jego organ naczelny i najbardziej wymowny.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

w którym fałszywe ślady wiodą do piekła rozpaczy

Dwaj bratowie patrzyli na siebie wzrokiem czarnym jak smoła, muzyk na malarza, a malarz na muzykusa. W sercach mieli gorycz i zwątpienie. Od dłuższego czasu nic do siebie nie mówili, gdyż słowa jak ciernie raniłyby ich gardła. Apelles był wściekły, a Orfeusz cierpiał w tej chwili na tę samą niebezpieczną chorobę. Każde słowo testamentu rejenta padało na ich szlachetne głowy wielkim kamiennym ciężarem. Miliony. hucznie otrąbione przez tego drugiego pomyleńca, Dziurawca, rozplynęły się w mętnej mgle. Te miliony. za które muzykus miał jechać do Rzymu, pacykarz do Paryża. Żeby już nie miliony, żeby chociaż cokolwiek, a tu tymczasem nic, nie! Z grobu natomiast wylazł jakiś pan Żubrowski i śmieje się jak szatan.

W panach Mościrzeckich tak opadł duch, jak zmoczona deszczem chorągiew na wyniosłym maszcie. Nadzieje prysły jak tęczowe bańki z mydła i pozostało po nich trochę łzawej wilgoci. Nawet aptekarz - czarny, ponury, dziwaczny aptekarz - okazał się od nich mądrzejszy, a oni chcieli być mądrzejsi od całego świata. I Ralf gorąco ich namawiał. i ciocia Katarzyna najwyraźniej dawała im do poznania, że nieboszczyk rejent albo był pijany, pisząc swoją epistołę, albo miał klepki w nieporządku, albo też krwawo sobie zadzwiał z własnych potomków. A oni, przekonani, że Wojciech Mościrzecki jest finansowym geniuszem i że coś spenetrował, czego oni nie dostrzegli, uczynili to, co on: postanowili czekać na skarb. I mają teraz skarb, za który nie można by kupić pary znoszonych pludrów. Nie mogli sobie nawet czynić wzajemnych wyrzutów, bo byli w tym wypadku niezwykle jednomyślni. Mieli jednak cichy żal i do ciotki, i do tego małpoluda Ralfa, że ich mocniej nie nacisnęli. Piękną panienkę Ralf zdołał przekonać, bo się w niej kocha. O losie, o zezowaty losie!

Co teraz począć!

Siedzieli na łodzi, na którym zbyt długo siedzieć nie można, bo zimno. Trudno rozmyślać; w tak niewygodnym położeniu, a jednak zważyli, rozważyli i roztrząsnęli każde słowo rejenta. "Ciemno wszędzie, głucho wszędzie..." - Czy ten rejent sam dobrze wiedział, co pisze? A ten Dziurawiec darł się jak opętany: "Miliony! Miliony! Ja czuję miliony!" Człowiek ten ma olej na głowie, ale ani za grosz oleju w głowie, a oni go słuchali jak głupi Tylko się i płakać!

Wprawdzie już siedzieli, ale nie płakali.

- Wymyśliłeś co? - mrocznym głosem zapytał Józef.

- Tyle, co ty. Co miałem wymyśleć?
- A może skarb gdzieś przecie tkwi?
- Może tkwi. Wie o tym jeden diabeł i pan Żubrowski.
- Nie słyszałeś nigdy o żadnym Żubrowskim?
- Nigdy. Pierwszy raz słyszę.
- Co robić?
- Wracać do Warszawy i spalić portret rejenta.
- Tylko tyle wymyśliłeś?
- Wymyśl więcej!

Głosy zaczynały być niecierpliwe, a słowa zjeżone, więc przerwali gorzkie żale, nie chcąc braterskiej zwady.

Ralf najwyraźniej ich unikał. Wczoraj, zaraz po powrocie, pisał list, dzisiaj znowu pisze, długo się namyśla i gęsto wzdycha. Przeniósł się wprawdzie do pokoju po aptekarzu, ale wzdychania słychać wyraźnie przez drzwi.

- Szczęśliwy hebes! - mruknął Jan. Może wreszcie zechce z nami pogadać i coś poradzi, skoro skończy ten list.

- Nigdy go nie skończy. a jeśli nawet skończy, to zaraz zacznie pisać drugi. Czy nie lepiej będzie naradzić się z ciocią Kasią?

- Ciocia Kasia zabrała się do robienia porządków w tym prywatnym domu dla wariatów. Wciąż chodzi z miotłą w rękę, a ja ci nie radzę zaczepiać ciotki, kiedy ma miotłę. Słyszysz? Ralf śpiewa! Może skończył? Hej, Ralfie!

Co robisz?

- Cieszę się! - huknął spoza drzwi Piegowaty. - A wy?
- My się martwimy ... Czy możesz tu przyjść?
- Jestem w tak wybornym usposobieniu, że wam zrobię tę łaskę. Już idę!

Wszedł po chwili i przyjrzał im się ciekawie.

- Moje uszanowanie! Tak wyglądacie, jak gdybyście znowu spędzili niespokojną noc. Wyglądacie jak dwie połówki bardzo żółtej i bardzo wyciśniętej cytryny, co nie jest kolorem bujnej młodości.

- Przestań naigrawać się z ludzi nieszczęśliwych. Wiesz przecie, co nas trapi...
 - Słyszałem na własne uszy, jak o tym rozprawiają wszystkie wróble w Przypłociu. Niech was to pocieszy, że i Mościrzecki senior ma podobne zmartwienie. A na co właściwie ja wam jestem potrzebny?

- Mówiliśmy ci już wczoraj. Może co poradysz?

- Ja? Jestem wprawdzie niepospolicie bystry i w młodości uważano mnie z tego powodu za cudowne dziecko, ale co ja wam mogę poradzić? To głupia sprawa.

- A jednak, przyjacielu... Przede wszystkim usiądź, bo na siedząco lepiej się myśli.

- Ja bystrzej myślę stojąc, bo wtedy dotykam głową obłoków. Mogę jednak usiąść. Bardzo proszę, i cóż dalej? Co wyście wykombinowali?

- Chyba to, że rejent był pomyłony.

- To może być bliskie prawdy. mnie się jednak zdaje, że tak nie jest. Pomyłone osobistości wykazują wprawdzie wiele sprytu i zgoła szatańskiej przemyślności, ale tego nie znać w testamencie rejenta.

- A co w nim jest?

- Są same grube nici, którymi zszywał swoją zagadkę. Moim zdaniem rejent cierpiał na manię prześladowczą i obawiał się przede wszystkim bernardyna. Dlaczego właśnie tego bernardyna, Pan Bóg jeden wie! Wedle moich wiadomości dominikanie groźni byli podczas inkwizycji. bernardyni natomiast odznaczyli się jowialną łagodnością.

- Dalej, dalej!

- Owszem, ale słuchajcie pilnie, bo czasem siedmiu mędrców greckich nie dałoby mi rady, kiedy ruszę rozumem. Otóż jestem zdania, że skoro poczciwy bernardyn usiłował dociec tajemniczych praktyk rejenta, nie mogło w tym grać roli ani złoto, ani klejnoty, ani inne skarby. Bernardyni nie mają zbójceckich zwyczajów.

- Więc o co mu szło?

- Gdybym był bernardynem, odpowiedziałbym ci niechybnie, ale mało przypominam czcigodnego zakonnika. Trzeba by raz jeszcze rozważyć każde słowo testamentu. Gdzie on jest?

- Zatrzymał go pan Mościrzecki.

- To gorzej, bo ani wy, ani ja do niego nie pójdziemy. Zresztą jestem pewny, że skoro się tylko dowie o naszym zamiarze zajęcia się tą sprawą, sam nas wezwie. W tej chwili możemy zrobić jedną rzecz nad wyraz pożyteczną.

- Mów prędzej!

- Nie mogę mówić prędzej, bo wielcy mędracy nie sypią z gęby słów jak plewy. Muszę mówić rozważnie. Spokojnie, miła młodzieży! Otóż możemy we trójkę udać się na poszukiwania, już nie owego Żubrowskiego, który z wszelką pewnością śpi snem wiecznym, ale jakiejś jego rodziny, jakichś jego potomków. Rozumuję bowiem, że jeśli ten Żubrowski był takim zaufanym rejenta, tedy musiał to być sąsiad, który mieszkał w pobliżu, skoro przebywali tak często ze sobą i razem pili. Czy dobrze mówię?

- Dobrze, tylko zbyt powoli. Co dalej?

- Nic nie mówiąc panu Mościrzeckiemu, Pójdziemy sobie w trzy strony świata...

- Dlaczego nie w cztery?

- Bo jest nas trzech. Czwartą możemy zwiedzić później, skoro się w trzech nic nie znajdzie. Może natkniemy się na jakie ślady. Może ten Żubrowski pozostawił od siebie jakie pismo albo ustne zlecenie de Mościrzeckich. Rejent świadczy, o ile sobie przypominam, że tego Żubrowskiego "pewny jest jak siebie samego".

To wiele powiedziane, notabene, jeżeli rejent sam siebie był pewny. Myślę o stanie jego rozumu. Obejdziemy czy objedziemy najbliższą okolicę, Powiedzmy, że w promieniu dwudziestu kilometrów, i będziemy pytali - To dobry pomysł! - Moje pomysły jedynie przez ludzką zawiść nie zostały ogłoszone jako genialne. Wobec tego i ten uważam za znakomity, bo drugiego nie mam. Uprzedzam was jednak, że albo nam się poszczęści od razu, albo też czeka nas ciężka praca, która pochłonie dużo czasu. Ja wymawiam sobie jedno, że gdziekolwiek się znajdę, poświęcę dwie godziny na napisanie listu...

W handlowych sprawach... Przepraszam! Co znaczą wasze uśmiechy, matyły boże? Godzicie się na wszystko?

- Oczywiście - odrzekł Jan. - Szukamy więc jakiegokolwiek Żubrowskiego. Trudno Przypuścić, aby cała rodzina wymarła w czambuł, wszystko się jednak może zdarzyć. Co uczynimy, jeśli żadnego nie znajdziemy?

Ralf się zamyślił.

- Człowiek nikczemnego ducha gorzko by zapłakał, w nas jednak, a we mnie z wszelką pewnością, mieszka duch wielki! Chwycimy się innej słomki, tonąc w oceanie mroku. Pójdziemy do klasztoru Bernardynów.

- Prawda, jak mi Bóg miły! - zawołał Józef.

- Klasztor widać stąd jak na dłoni, Żadnemu jednak z was - (o ślepcy!) - nie przyszło to do głowy. Wam, Europejczykom, brak wyobraźni. Pójdziemy przeto do bernardynów, pomodlimy się oczywiście, a potem zaczniemy chytrze pytać o dawno zmarłego kwestarza Hiacynta Kiszkę. Przyznam się, że zestawienie uroczego kwiatka z krwawą kiszka razi cokolwiek mój wytworny smak literacki, ale nic na to nie poradzimy. Zacni ludzie w klasztorze będą może cośkolwiek wiedzieli o tajemniczym prześladowcy rejenta albo też powiedzą nam, czym się ten Kiszka zajmował. Może to był alchemik i chciał podpatrzeć, jak rejent fabrykuje złoto z piasku, a srebro z popiołu? W każdym razie możemy się dowiedzieć, co go doprowadziło do wojny z rejentem.

- A czyż kto może o tym pamiętać? Przecie to się działo więcej niż sto lat temu.

- W klasztorach czas płynie znacznie wolniej, a ponieważ nic wielkiego w nich się nie dzieje, najdrobniejsze nawet sprawy urastają do znaczenia niebywałych zdarzeń. Zobaczymy!

Najpierw szukajmy śladów Żubrowskiego. Idziemy na zdobywczą wędrówkę. Macie pieniądze?

Jan zwrócił się do Józefa:

- Masz pieniądze?

- Janie, a ty masz?

- Ja też nie mam. Skąd?

- Ale ja mam - przerwał Ralf. - Wszystko w porządku! Teraz musimy o naszym wspólnym zamiarze zawiadomić pana Dziurawca, bo gdybyśmy nagle zniknęli, zaczęto by szukać naszych zwłok w sadzawce. Poza tym da nam on jakieś wskazówki.

- Mamy do niego żal... - mruknął Jan.

- Wy możecie mieć! Ja "nie mam żalu do nikogo". Bardzo proszę: Mogę z nim pogadać sam, bo go zresztą bardzo lubię i mam zamiar wywiezienia go do Ameryki, aby go pokazywać za pieniądze jako człowieka, który widzi równocześnie z przodu i z tyłu, i ze wszystkich stron.

Wy tymczasem przygotujcie się do podróży, ale rozjaśnijcie cokolwiek gęby, aby po drodze ludzie przed wami nie uciekali!

Roztropny Ralf prosił przede wszystkim pana Dziurawca o mapę okolicy, wyjaśniwszy mu swój zamiar.

- Mapę? A któż tu słyszał kiedykolwiek o mapie? - zdumiał się burgrabia. - Przecie miasteczko widać z daleka, a dalej nikt nie wędruje, więc Po co komu mapa?

- Doskonale! Ale jeżeli kto pragnie zawędrować poza miasteczko, to co wtedy robi? - Wtedy pyta dobrych ludzi o drogę. Musicie iść Po omacku, ale zamiar panów jest dobry.

Pan nigdy nie słyszał o jakichś Żubrowskich?

- Nigdy w życiu, ale to niczego nie dowodzi. W miasteczku mogą coś wiedzieć. Radzę panu zasięgnąć języka w kilku miejscach. Przede wszystkim na poczcie, to raz, potem u golibrody w rynku, to dwa. Można by i u doktora, który jeździ po całej okolicy - to byłoby trzy.

- A cztery?

- Cztery? Niech pan zapyta handełesów na targowicy, bo ci będą z wszelką pewnością coś wiedzieli. Jeżeli w okolicy istnieje dotąd familia Żubrowskich, pewnie sprzedają albo zboże. albo drzewo, albo owoce, albo ryby, więc handełesy będą ich znały. Czy dać panom konie? - dodał z odrobiną trwogi.

- Nie, dziękujemy, bo nam się bardzo Śpieszy. Ach, jeszcze jedno... Drogi panie! Spodziewam się, że podczas mojej nieobecności mogą nadejść dla mnie listy od pewnego znajomego...

To taki dawny znajomy, bardzo lubi pisać...

- Rozumiem! - odparł Dziurawiec z czarującym uśmiechem. - Zachowam je pilnie, chociażbym je miał nosić na własnym sercu.

Listy od starych znajomych są bezcennymi klejnotami.

- Tak, tak! - mówił Ralf z entuzjazmem. - Bardzo panu dziękuję i do widzenia!

Niech pan wszystkich pozdrowi, a przede wszystkim niech pan powie cioci Kasi, że poszliśmy na poszukiwania.

Ponieważ nie można było mu dać przyjemniejszego polecenia, więc Dziurawiec czym prędzej pobięzał, aby je spełnić.

Trzech budrysów ("trzej jesteście i macie trzy drogi!" - zawołał w tej chwili z niebiosów Mickiewicz) przepasało biodra i powlokło się zawiłą ścieżką w stronę miasteczka. Nie bardzo byli objuczeni, gdyż za potężne pieniądze Ralfa wszystkiego mogli dostać po drodze, a jedynym godnym uwagi ciężarem była ponura troska dwóch braci. Obeszli wzgórze, którego koroną był piękny klasztor, i po niedługim czasie wkroczyli na rynek "nie bardzo podłego" miasteczka, tak podobnego do innych miasteczek, jak jedna koza podobna jest do drugiej. (W porównaniu tym dlatego została użyta koza, że mnóstwo ich wałęsało się po każdym zaułku). W jednej stronie wspaniałego rynku rozlała się błotnista sadzawka, plaża licznych gęsi i wiecznie gadających kaczek. Kilka potwornie malowanych wywieszek oznajmiało całemu światu, że w okolicznych sklepikach można kupić w dostatecznej ilości rarytasów tak niesłychanych, jak śledzie i szproty, albo tak użytecznych, jak igły, nici, nawet kalosze - słowem, czego dusza zapragnie i o czym zamarzy.

- Poszukajmy najpierw golibrody! - radził Ralf. - Figaro wie zawsze o wszystkim i umie wyciągnąć z dna duszy wiadomości od tego, którego goli, gdyż może mu w razie oporu każdej chwili zagrozić poderżnięciem gardła.

- O, tam wiszą dwa mosiężne talerze! zawołał Jan.

Golibroda spłonął z nadmiaru szczęścia, ujrawszy aż trzech od razu gości, zagasnął jednakże natychmiast, skoro się przekonał, że nie posiadają ani śladu wąsów, ani brody i że są już ostrzyżeni. Bystrooki Ralf spostrzegł od razu burzę uczuć w namydlonej duszy tego człowieka, więc rzekł wdzięcznie:

- Kochany panie, co będzie kosztowało ogolenie nas wszystkich?

Tamten wzruszył ramionami.

- Co może kosztować? Co ja będę golił, kiedy nic nie ma?
- Ale ja pytam, co by kosztowało, gdyby było?
- Po co pan pyta? Powiedzmy... dwa złote...
- Masz pan dwa złote, ale golić nas pan nie będzie.
- To czemu pan płaci?
- Jest to odszkodowanie za czas. Chcę pana o coś zapytać!
- Zapytać? - rzekł golibroda podejrzliwie. - To może kosztować więcej!
- Zobaczymy. Zwracam jednak pańską uwagę, że mogę o to samo zapytać byle kogo za tańsze pieniądze.

- No to pan pytaj!
- Chcemy się dowiedzieć, czy pan nie słyszał przypadkiem o kimś lub czy pan nie zna w najbliższej okolicy kogoś, co się nazywa Żubrowski?

“Cyrulik sewilski” przymknął jedno oko i począł się drapać w głowę, usiłując w ten sposób wygrzebać coś z przepastnej pamięci.

- Kto to ma być?
- Nie wiem... Pewnie jakiś dziedzic...
- Dziedzic? Ja znam ich wszystkich. A może to pan Niedźwiedzki?
- Żaden Niedźwiedzki, tylko Żubrowski!
- A nie mógłby być pan Mościrzecki?
- Jeżeli pan tak goli, jak pan gada, to niech pan przyjmie moje serdeczne powinszowania.

Powiadam panu, że ma być Żubrowski.

- Czeka pan! Mam, już mam! Nie!... Myślałem, że to ten, ale to nie ten, bo się nazywa Dunin.

- Żegnam pana! - wrzasnął Ralf. - Jeżeli pańskie brzytwy są tak ostre, jak pański rozum, krew nie popłynie w tym domu. Chodźmy dalej, przyjaciele!

Golibroda stał na progu nieruchomy i wciąż się jeszcze drapał w imitację głowy.

- Czegoście tak posmutnieli? - mruzczał Ralf. - Nie wie ten, może wiedzieć kto inny.
- Do kogo teraz pójdziemy?
- Byliśmy u idioty cyrulika. chodźmy do mądrego lekarza - odrzekł Ralf.
- Ale lekarzowi nie będziemy mogli płacić za wiadomości.
- Na wszystko można znaleźć sposób. Przepraszam pana! - zwrócił się nagle do przechodzącego jegomościa, na oko sądząc, rzeźnika.
- Do mnie się mówi: “panie burmistrzu”! rzekł jegomość z godnością.

- Ach, nie wiedziałem, najuprzejmiej przepraszam pana burmistrza.
- O co idzie? - spytał tamten łagodnie.
- Szukamy lekarza, a nie wiemy, gdzie Czy pan burmistrz byłby łaskaw...
- A panowie skąd?
- Z Warszawy.
- I tutaj przyjechaliście do lekarza? - zapytał burmistrz z nieopisanym zdumieniem...

Który z was jest chory?

- Ja! - odrzekł szybko Ralf.
- No, no... Szuka pan maści na piegi?
- Jakby pan zgadł! - zawołał Ralf pogodnie. - A słyszałem, że doktor w tym mieście (chytry lis nie powiedział w miasteczku!) jest nadzwyczajny!
- A któż panu o tym opowiadał? - pytał burmistrz z powątpiewaniem. - Czy jaki jego nieboszczyk?

Wzruszył ramionami i wskazał ręką mały domek.

- Traficie tam łatwo. bo jeżeli w tej chwili wyrywa komu ząb, to na dwie mile słychać, jak pacjent wyje.

Podziękowali mu uprzejmie i skierowali kroki ku siedzibie lekarza, w której panowała cisza, więc w tej chwili nie wyrywano tam zębów.

Pan doktor sam im otworzył i cokolwiek się zdumiał, ujrawszy aż trzech od razu chorych, co było zdarzeniem w tym miasteczku historycznym.

- Proszę, proszę... - mówił. - Bardzo wprawdzie jestem zajęty, ale za chwilę przyjmę panów po kolei.

- Tylko mnie jednego - odrzekł Ralf z niskim ukłonem. - Ci dwaj to tylko moja asysta.

- Aha! - zasmęcił się doktor. - Trudno...

Był to stary człowiek z mądrymi oczami, w których wiele było doświadczenia. Wprowadziwszy Ralfa do gabinetu, przyjrzał mu się bystrze.

- Pan nietutejszy?
 - Nie, ale chwilowo mieszkam w pobliskim majątku.
 - Chory pan jest?
 - Nie wiem, ale coś mi dolega... Czasem czuję taki ucisk na duszy...
 - Dusza pana boli? To ciekawe!
- Przyjrzał mu się jeszcze pilniej.
- Niech się pan rozbierze!

Ralf stropił się cokolwiek, ale ponieważ zabrnął, więc brnął dalej w gęstą wodę łgarstwa.

Lekarz począł pukać w jego chudą pierś jak dziecko, uprzejmie pytający, czy bobaski są w domu, po czym nasłuchiwał, o czym szemrze rozmiłowane serce dryblasa. Kazał mu pokazać język i zajrzał w zęby jak koniowi.

- Możesz się odziać, młodzieńcze! - rzekł sucho. - Dziesięć złotych za badanie włoży pan tu do tej puszkki na dobry cel. A teraz napiszę panu adres...

- Adres? Nie receptę?

- Napiszę panu adres tego doktora w Warszawie, co leczy wariatów. Jest pan zdrow jak dwa konie i trzy ryby. A teraz gadać mi natychmiast, co znaczy ta komedia! Przede wszystkim, jak się pan nazywa?

Ralf zawahał się, a przez szkło powiększające można było dojrzeć, że się zarumienił.

- Nazywam się Mościrzecki.

- Ho, ho! A tamci dwaj?

- Też Mościrzeccy... Bliscy krewni...

- Jesteście z Przyplócia? Czy ten gruby to wasz stryj?

- Coś jakby dziadek.

- I to on was przysłał? W jakim celu?

Wiem, że mnie znieść nie może, bo mu raz tak wygarnąłem prawdę, że mu w pięty poszło.

Długo tam szło, ale doszło... Gadaj prawdę, młody człowieku!

- Nikt nas nie przysłał, przysięgam panu, panie doktorze! Pan Mościrzecki o niczym nie wie.

Opowiedział mu pokrótce, że w ważnej sprawie szukają w okolicy kogoś z rodziny Żubrowskich, i w przekonaniu, że doktor zna wszystkich, użyli takiego niemądrego podstępu.

Doktor słuchał pilnie, patrząc mu w oczy.

- Nieskończoność - rzekł - można zmierzyć jedynie ludzką głupotą. Czy myślisz, młody panie, że gdybyś do mnie przyszedł wprost z tym pytaniem, to ja bym ci nie dał odpowiedzi? No, ale zapłaciłeś przynajmniej dziesięć złotych za szlachetny cel i zmarłeś na goło, bo tu zimno. Po co ci ten Żubrowski?

- To tajemnica!

- Pewnie nie tajemnica, tylko nowe jakieś kręctwo. Zresztą nic mnie to nie obchodzi, bo nigdy nie znałem. nie znam i znać nie chcę żadnego Żubrowskiego. Nigdy o takim nie słyszałem. a lecę w tych stronach od trzydziestu lat. Można by zapełnić ze trzy cmentarze.

Bądź zdrow, młodzieńcze! Jako lekarz powinienem ci powiedzieć: “bądź czym prędzej chory”!
- ale ty nigdy nie będziesz chory, bo twoim sercem można tłuc kamienie. Kłaniaj się panu Mościrzeckiemu i powiedz mu ode mnie, aby jadł sałatkę i szpinak, a nie baraninę. Z Panem Bogiem!

Trzej dorodni młodziankowie wyszli na rynek w złym nastroju ducha. Ralf nierad był ze swego szybko odkrytego kręactwa, a bracia smętni. że znowu się nie udało.

- I co dalej? - mruknął Jan.

- Dalej będzie zapewne tyle, co i dotychczas - odpowiedział znekany Józef. - Ten widmowy Żubrowski rozwiął się w atmosferze i nie pozostało po nim śladu. Ten Żubrowski jest mitem, fantasmagorią albo kwiatem bujnej wyobraźni. obficie podlanej miodem. Oto są skutki opilstwa dawnych szlachciców! Pradziadek ciągnął miód, a prawnuki wałęsają się z tego powodu po parszywym miasteczku i narażają się na ludzki śmiech. Wracajmy do domu!

- Pójdziemy na pocztę! - obwieścił Ralf.

- Mogę pójść do samego diabła! - bąknął Jan niechętnie.

Pocztę odnaleziono szybko, bo dla rozbagniętych umysłów nie jest ona w małym osiedlu trudna do odnalezienia. Postanowili spytać wprost, bez żadnych podstępów. poczta bowiem nie jest instytucją, wobec której należy się mieć na baczności. Naczelnik jej przyjął ich z godnością, nakazującą z góry szacunek dla przedstawiciela ministerstwa poczt, telegrafów i telefonów. Ralf wystąpił po raz trzeci jako mówca jeneralny. Pan naczelnik słuchał go, przyłożywszy rozwartą rękę do ucha, co bystrych ludzi od razu naprowadziło na myśl, że szanowny ten człowiek źle słyszy.

- Jak? - zapytał krótko, węzłowato, treściwie i donośnie.

- Żubrowski! - z krzykiem powtórzył Ralf.

Naczelnik podniósł się z trudem, podszedł do szafki podzielonej na przegródki, pełne listów i gazet, skinął głową, usiadł znowu i napisał kilka słów na karteczce, którą podał Ralfowi.

- Adres! - bąknął naczelnik i spuścił okienko jak nóż gilotyny.

- Adres! - krzyknął Ralf. - Bracia najmiłsi! Mamy Żubrowskiego! A co? Dziurawiec nie taki głupi, doskonale poradził.

Wszyscy trzej pochylili się nad karteczką, która zdawała się być zapisana złotym atramentem: “Babice Stare - dwór”.

Powtórzyli te słowa w upojeniu. Podnieśli głowy jak trzy rumaki na skwarnej pustyni, skoro poczuli wodę. Trzy uśmiechy pomazały złotym błyskiem trzy oblicza, z których jedno

piegowate. Anielskie melodie zabrzmiały cichutko w trzech sercach, z których jedno zakochane.

- Pierwszorzędna wskazówka! - zaśmiał się Ralf. - A do tego za darmo. Musimy się teraz dowiedzieć, gdzie to jest, daleko czy blisko, nisko czy wysoko? Nie musi być daleko, skoro z tych Babic przysyłają tutaj po pocztę.

Teraz dopiero przyjdzie kolej na handełesów, bo oni muszą wiedzieć, ale trzeba będzie jednak płacić.

Za dość mizerną opłatą dowiedzieli się, że Babice Stare położone są o pół mili w południowej stronie i z daleka je można dojrzeć, bo na domu jest wieża.

- Pół mili to drobiazg - rzekł Ralf szczególnie dla moich nóg. Prędko zdążymy.

Gdybyśmy mieli bęben, wybijający rytm marszu, doszlibyśmy tam za pół godziny. W drogę, bracia Polacy! Pan Żubrowski nas czeka!

- Oby z obiadem... - wtrącił Jan.

Szli rażno, bo mieli skrzydła u nóg. Przejęci wzruszeniem, nie gadali do siebie, Ralf tylko od czasu do czasu westchnął zamyślony, a Józef nucił półgłosem melodię w radosnej tonacji. Jan dumał o tym, że oto nie opodał, w Babicach Starych, mignęło jak iskierka nikłe światełko, które ich wiedzie do tajemnicy. Zaczęła w nim zakwitać nadzieja. Skoro w tych właśnie stronach istnieją Żubrowscy, w takim razie pisanie rejenta nie było majaczeniem, lecz ma związek z tym światem. Tam gdzie jest ślad po Żubrowskim, muszą się znaleźć i inne ślady, które ich zawiodą do pełnego skarbów labiryntu. A oni już zwątpili!

- Babice Nowe! - zawołał radośnie malarz, wskazując tabliczkę na skrzyżowaniu dróg.

- Blisko Nowych muszą być i Stare rzekł Ralf. - Wiejskie dzieci zazwyczaj niedaleko odchodzą od rodziców. Nie widać wieży na widnokręgu?

- Jeszcze nie.

- Albo wieża jest niska, albo zasłaniają ją wysokie drzewa. Ja jednak już czuję Babice Stare! Mam tak wysubtelnione zmysły jak pan Dziurawiec, który wyczuł miliony.

Wędrowali szybko, coraz niecierpliwiej, i niewiele minęło czasu, gdy Ralf wydał dziki okrzyk wedle mody Indian Siuksów. Jak znużone zastępy greckie zakrzyknęły radośnie: "morze! morze!" - jak zrozpaczeni żeglarze na karawelach Kolumba zawyli: "ziemia! ziemia!" - tak oni wzniesli okrzyk: "wieża! wieża!" Nie była to wprawdzie wieża we wzniosłym tego słowa znaczeniu, lecz przybudówka na dachu, będąca mieszkaniem białoskrzydłych gołębi, lecz że miała chorągiewkę blaszaną u szczytu, więc mogła się pysznić i wobec ludzi pocziwych udawać wieżę.

- Panowie! - zaczął uroczyście Ralf przystanąwszy. - Za chwilę staniemy twarzą w twarz wobec starożytnej rodziny Żubrowskich, której antenat żył w zażyłości z rejentem. Musimy ochłonąć i odsapnąć, aby spotkanie było pełne powagi i aby się odbyło w należyтым spokoju. Nie możemy w żaden sposób dać poznać po sobie, że jesteśmy panami tajemnicy, nie wiemy bowiem, co to za ~udzie. Skoro zwietrzą, że to jakieś pismo lub to jakieś żywe słowo, które mają obowiązek nam przekazać, jest złotym kluczem tajemnicy, mogą się przyczyaić i nie powiedzą nic. Musimy pytać tak ostrożnie, jak gdyby nam szło jedynie o odebranie jakiejś małoznacznej rodzinnej pamiątki, która dla nich jest bez znaczenia. Czy dobrze mówię?

- Znakomicie!

- Więc ostrożnie. młodzieży lechicka, tylko ostrożnie! Co, znowu ja mam być keryksem, czyli heroldem waszego szczęścia?

- A któż by inny? Tylko ty! - mówił Jan ściszym głosem, jak gdyby ich już w szczerym polu podsłuchiowano.

- Nigdy jeszcze nie odmówiłem pomocy ludziom upośledzonym... Dobrze! Będę mówił z panem Żubrowskim lub też z panią Żubrowską. Zastrzegam się jednak, że jeśli na widowni znajdzie się tylko panna Żubrowska, mówić nie będę!

- Dlaczego?

- Panny nic mnie nie obchodzą. Mam swoje osobiste powody... Zgoda?

- Jak chcesz... Wtedy będzie musiał jeden z nas...

- Tak... Cicho! Ktoś się zbliża...

Zbliżył się mąż zbrojny w dubeltówkę, zapewne leśniczy, który na zapytanie, czy pan dziedzic jest w domu, objaśnił ich uprzejmie, że go tam z wszelką pewnością zastaną. Wskazał im krótszą drogę przez wyrwę w płocie, przez którą przesmyknęli jak zające. Z wahaniem zbliżyli się do pięknego dworu, strzeżonego przez wyprostowaną jak na paradzie gwardię topoli, i weszli na ganek. Ktoś ich musiał dostrzec przez okno, otworzyła im bowiem, zanim zapukali, miła panienka, dorodna i wysoka.

Z tłumionym podziwem obejrzała Ralia, w którym serce zadrżało, spotkał bowiem na samym wstępie istotę płci żeńskiej, a tej jak najbardziej chciał uniknąć. Zaciął się tedy i nie przemówił słowa, serce wierne i dotrzymujące głębokich przysiąg, złożonych zapewne szeptem w mrocznym parku w Przypłociu "pewnemu staremu znajomemu". Przemówił przeto Jan, głęboko się skłoniwszy:

- Czy zastaliśmy pana dziedzica?

- W jakiej sprawie? - zapytała niskim głosem panienka.

- W bardzo osobistej...

Zaprosiła ich wdzięcznym ruchem do tak zwanej "bawialni", przytulnej i ze smakiem urządzonej, sama zaś zniknęła.

- Rzymianin by się wrócił! - mruknął Ralf. - I myśliwy też...

- Nie gadaj głupstw - przerwał mu cicho Józef. - Bardzo ładne i uprzejme stworzenie.

Ktoś tu idzie...

Wszedł wspaniały szlagon, ogromnej postawy, z płowymi wąsami jak wiechcie. Gdy przemówił, można było orzec z pewnością, że jeżeli on waży dziewięćdziesiąt kilogramów, głos jego waży najmniej dziesięć. Głos miał potężny i dźwięczny i mógłby z powodzeniem udawać organy. Zdumiał się, ujrawszy trzech smyków, którzy kłaniali mu się uprzejmie. Wskazał im szerokim ruchem wąskie krzesła, a sam zwałił się na fotel, który zaskrzypiał z przerażonej boleści.

- Z kim mam przyjemność? - zahuczał postawny mąż.

- Nazywamy się Mościrzeccy ... - zaczął Ralf.

- Mościrzeccy? Takie nazwisko obilo mi się o uszy. Prawda! Kupiłem przed laty konia od jakiegoś Mościrzeckiego, a koń po trzech dniach wyciągnął kopyta. Doskonale był pomalowany i ufryzowany, ale zdechł. Dziwiłem się, że nie miał i sztucznych zębów. Więc panowie nazywają się Mościrzeccy. Bardzo mi miło! A czy panowie zaszli do mnie przypadkiem czy też z interesem?

Ostatnie słowa wypowiedział z lekkim uśmiechem, wydało mu się to bowiem cokolwiek zabawne, że tych trzech chłopczków może mieć z nim jakąkolwiek sprawę.

- Trochę przypadkiem, ale też i w pewnym celu, proszę pana - odrzekł Ralf. Bardzo przepraszamy za najście, ale skoro pan nas zechce wysłuchać, chętnie nam pan zapewne przebaczy.

- Oczywiście, oczywiście... Gdzie panowie pozostawili konie?

- Nigdzie. Wędrujemy tak sobie... piechotą.

Przebywamy niedaleko stąd.

- A po cóż to panowie wędrują? Przecie już po wakacjach...

- Otóż to! - począł mówić szybko Ralf. Przyjechaliśmy w ważnej sprawie do rodzinnego gniazda i teraz, korzystając ze sposobności, że już tu jesteśmy, postanowiliśmy zgromadzić wszystkie rodowe pamiątki.

Potężny szlagon zaczął słuchać z zainteresowaniem.

- To ładnie! - wtrącił. - A co ja mam z tym wspólnego? - zaśmiał się rozgłośnie. Nie przyszlście chyba po skórę tej szkapy, na której mnie ocyganił jeden z Mościrzeckich?

- Pan łaskawie żartuje - mówił Ralf też ze śmiechem, ale znacznie cichszym. - Nie! My wyszukujemy i zbieramy dawne pisma, listy i książki ze sławnej kiedyś biblioteki Mościrzeckich, a gdyby się zdarzyło gdzie jakie stare malowidło...

- Zaraz, zaraz! Czy panowie chodzą tak od dworu do dworu?

- Mamy ten zamiar, przyznaję natomiast, że zaczęliśmy od pańskiego domu.

- Wielce mi miło, ale poza sprawą z tym koniem, nie miałem nigdy nic wspólnego z rodziną panów.

- A może przodkowie?

- Ani moi przodkowie. Wiem o każdym świstku papieru, który znajduje się w moim domu, i o każdym dokumencie. A starych obrazów w ogóle tu nie ma.

- Może pan sobie jednak łaskawie przypomni?

- Choćbym sobie przez rok przypominał, nic z tego nie będzie. Bardzo żałuję... - Jeszcze chwileczkę! - mówił Ralf błagalnym głosem. - Czy nie naprowadzi to pana na ślad, jeżeli się pan dowie, że w pewnych latach dziewiętnastego wieku pradziadek nasz, rejent Mościrzecki z Przypłocia, był w zażyłych stosunkach - o czym my z pewnością wiemy! z panem Żubrowskim, który niewątpliwie musiał być pańskim przodkiem? Czy nie ma jakiegoś listu, jakiegoś...

- Za pozwoleniem! Nie mogłem mieć przodka z nazwiskiem Żubrowski, bo przecie ja się wcale nie nazywam Żubrowski!

- A jak? - jęknął Ralf.

- Żebrowski, Jan Kanty Żebrowski. Oho!

Co się dzieje z tym chłopcem?

To Jan Mościrzecki tak się zachwiał na krześle, że gdyby go brat nie był podtrzymał byłby się zwałił.

- Zmęczył się drogą... - objaśnił szybko Ralf - najprzejmiej pana przepraszamy. Myśleliśmy, że zastaniemy tutaj pana Żubrowskiego, bo tak nas w miasteczku objaśnił naczelnik poczty.

- Ach, ten? Głuchy jest jak pień, więc pewnie me dosłyszał. Żubrowski czy Żebrowski to dla niego jeden i ten sam czort. Przykro mi, że się panowie trudzili... A może zostanieie na obiedzie?

- Nie, nie! - rzekł Ralf glucho. - Serdecznie dziękujemy, ale przed wieczorem chcemy być w domu.

Pożegnali się szybko i odeszli. odprowadzeni zdziwionym spojrzeniem zamyślnego pana Żebrowskiego.

Znacznie weselej szli skazańcy na stracenie, niż oni wlekli się drogą. Brat Józef podtrzymywał miłosiernie osłabionego brata Jana. Od trzech par nóg odpadły merkuriuszowe skrzydła, a zaczęły się za nimi wlec kajdany.

Ralf milczał milczeniem wielkim i stąpał ponury jak jesienna noc. Dopiero po długim czasie wyrzekł głosem tak zimnym, jak gdyby go ziębił przez dwa dni na lodzie:

- Spieszmy się, bo pocztę zamkną!

- Czego chcesz jeszcze na poczcie?

- Muszę wyrwać serce z tego naczelnika!

- Za co? Za to, że głuchy? Wyrwij z siebie serce za to, że nie krzyczałeś dość głośno.

- Musimy coś zjeść... - cichym głosem rzekł Jan. - I na Boga! Przestańcie już gadać i o rejencie, i o Żubrowskim. bo oszaleję!

Kilka rozkrzyczanych wron polatywało nad nimi, jakby na urągowisko naśmiewając się czarnym wrzaskiem. Ralf cisnął w nie grudę ziemi, ale nic mu to nie ulżyło.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

w którym zagasła nadzieja matka głupich, a kwestarz obraził rejenta

Na kość zmarznięci i głodni żołnierze Wielkiej Armii napoleońskiej wracali przez stepy w znacznie weselszym usposobieniu niżli trzej Budrysi, z których naigrawały się nawet wrony. Nie chcieli jednak wracać z niczym i naraził się niewątpliwie na jadowite szyderstwo pana Mościrzeckiego. Zacięli się w zrozpaczonym uporze jakby na złość losowi, który się na nich zawziął i wodził ich po manowcach, jak złośliwy diabeł wodzi kmiotków po bagniskach. Jedli byle co, w byle karczmie, ale nawet wyborna kielbasa, w której zawsze było więcej czosnku niż innej treści, stawała im kością w gardle. Wódz wyprawy stapał Pochmurny, a jego żołnierze szli ze Wzrokiem wbitym w ziemię, jak gdyby nieustannie szukali upiora Żubrowskiego.

Walna narada odbyła się w nastroju żywo przypominającym kwaszoną kapustę. Zawiedziony w uroczych nadziejach wzniosły duch ludzki zawsze pływa w kwaśnym kapuścianym sosie. Wesołość odleciała od trzech młodzieńców jak gołąb z arki. Czoła mieli zmarszczone, co świadczy o burzy myśli, wzrok przygasty, co Zapowiada, że nadzieja w sercach ledwie kopącym tli się płomykiem i lada chwila zgaśnie jak łojowa świeczka. A przecie był to dopiero początek, bo zaledwie rozpoczęli wędrówkę Argonautów, płynących na poszukiwanie Złotego Runa. Żeglarze ze słynnego okrętu Argos przynajmniej cośkolwiek wiedzieli - jak i gdzie. Oni nie wiedzieli nic! Postanowili jednakże z zaciekłością rozpacz, że się czegoś dowiedzą i wynajdą tego straszliwca Żubrowskiego na ziemi, w czyścicu albo w piekle, a najpewniej w piekle.

Na ostatnim Popasie postanowili się rozdzielić i zataczając kręgi po okolicy, szukać i pytać uparcie. Człowiek nie jest przecie komarem, którego bez śladu połknie żaba. Po człowieku jakiś ślad zostać musi, choćby na cmentarzu. Odwiedzili je dwa i czytali napisy na nagrobkach. I też niczego nie znaleźli. Podzielili teraz pieniądze - (Ralfa oczywiście) - i podnieciwszy w sobie zajadłość ducha, udali się we trzy strony. Za cztery dni mają się spotkać w samo południe przed bramą klasztoru Bernardynów, Jeśli - rzecz prosta - powrócą żywi, jeżeli ich gdzie psy nie zagryzą albo nie pochłonie woda. Podły los takie im płała figle, że nie wiadomo co im jeszcze wymyśli, mając do myślenia dość czasu.

Pożegnali się, wprawdzie życzliwie, lecz bez okrzyków i czułości, i poszli. Za każdym z nich poszedł Anioł Stróż, ale i Muza, spisująca dole i niedole człowieka. Dokładnie opisane dzieje tych wędrówek utworzyłyby trzy opasłe tomy, w których wszelka litera byłaby podobna

do czarnego diamentu ły. Każdy z młodzieńców wszędzie i o każdym czasie pytał każdego o niejakiego Żubrowskiego, każdego z nich każdy zapytany odsyłał po odpowiedź do diabła. Czasem odpowiadano im uprzejmie, czasem ze wzruszeniem ramion, często opryskliwie, często z rozdzierającym serce humorem. Wielkie to było szczęście, że dni wciąż jeszcze były pogodne. Więc krążyli jak głodne sępy, czatując na ochłap wieści o Żubrowskim, lecz nikt o nim nie wiedział ni wtenczas, ni potem. Można zobaczyć kamień we wodzie, o którym zwykle się mówić jako o niepowrotnie przepadłym. Żubrowskiego nie było i we wodzie. Można cierpliwie szukając znaleźć wbrew porzekadłu igłę w stogu siana. Tej zardzewiałej igły - Żubrowskiego - nie było i w sianie. Nigdzie go nie było! Może z Panem Twardowskim przebywał na księżycu i naśmiewał się patrząc, jak go szukają na ziemi.

Kiedys, kiedys, po latach, kiedy ci trzej Mościrzeczcy będą opowiadali o tych wędrownkach swoim wnukom, wnuki będą ich słuchały ze łzami w modrych oczkach, a niektórzy z nich, czulszego serca, ryknie z cicha płaczem. Kiedys, kiedys po latach, gdy sędziwa dama, ongi panna Janina, będzie odczytywała listy, które do niej pisał Ralf z każdego popasu, ciemno się jej uczyni przed oczami, bowiem z natłoku zapisanych wspomnień wychyną się dni klęski i zawodu. Nie należy nawet wspominać dłużej o pęcherzach na obolałych nogach. o nocach w brudnych karczmach, w których pchły żarłocznością przewyższając pijawki, a pająki są wielkości skorpionów. Były to mizerne drobiazgi wobec ran na sercu i duszy.

“I po cóż serce jadę wspomnień poić?” jak słusznie powiada jeden poeta.

“O czemuż mi każesz, królowo, odnawiać moje cierpienie?” - jak heksametrem i z Żalnością powiada drugi poeta.

Przeto: “Zrzućmy na to zasłonę miłosierdzia!” - tak radzi trzeci poeta.

Po upływie czterech dni, gdy “słońce, oko dnia pięknego” - (jak ślicznie mówi czwarty poeta) - stanęło u szczytu nieba, do bram bernardyńskiego klasztoru wlokły się konającym krokiem trzy monstra ludzkie, wybiedzone i wymizerowane. “O jakże odmienieni od owego czasu!” - jak woła piąty poeta. Buty ich w Żalnym były stanie, lecz co tam buty! Patrzcie na ich mołojecckie, harde głowy: zwieszane na piersi, jak gdyby myśli w ich wnętrzach nabrały wagi ołowiu. Już ich nic nie cieszy. Ani lazur niebieski, ani złocistość lejąca się z gałęzi drzew, ani ćwierkanie zawsze szczęśliwych. lekkomyślnych wróbli.

Ralf przybył pierwszy i usiadł zmęczony na niskim cmentarnym murku, opasującym bernardyńskie dzierzawy . Wyciągnął długie pedały i grzał się w południowym słońcu. Po niejakim czasie dojrzał na zakręcie drogi Jana. Drugi brat podążał od zachodniej strony.

Skoro się zesзли, podnieśli głowy i spojrzeli sobie w oczy.

- Ja nic... - mruknął Ralf. - A ty?

- Nic.

- A ty?

- Też nic.

- Nadzieja jest matką głupich. Chodźmy na obiad!

W miłym miasteczku, skąd przez przejrzystość powietrza widać było szkaradny kasztel w Przypłociu, nakarmiono ich dostatnio i obficie. Mała to była pociecha dla dusz obolałych, lecz zawsze pociecha. Przy obiedzie opowiedzieli sobie nawzajem o przygodach w obłądnej podróży, a mówili słowami, na których łyż lśniły jak rosa. Mogli nie używać soli do potraw, mając do zbytku soli łoż. Z tklwym współczuciem obejrzeni spodnie malarza, sieroce i jedyne, które z niezrozumiałą zaciętością rozerwał zębami jakiś kundel po drodze. Józef utykał nieco na lewą nogę, wykręciwszy ją na dziurawym mostku.

Użalili się nad sobą serdecznie.

- Czy warto było znieść tyle udręki? pytał Ralf. - Coraz bardziej jestem przekonany, że rejent zadrwił sobie po prostu z potomności.

- W -jakim celu?

- Czy ja wiem? Myślę, że był to wątrobiarz i śledziennik, który sam ciężką pracą zebrał majątek, chciał udzielić dotkliwej nauki tym, co go chcą zdobyć bez pracy. Skierowani przez niego na mylne tropy, będą się dręczyli, będą się męczyli torturą nadziei, będą gorączkowo szukali, aby nie znaleźć. Wtedy pomyślą: "Aha!

W ten sposób nic się nie da zrobić, więc próbujmy popracować".

Jan wzruszył ramionami.

- Po co w takim razie ten Żubrowski i ten bernardyn?

- To właśnie są mylne tropy!

- Jest jeszcze i jakiś Łobojko... - mruknął Józef.

- Łobojko był, ale tylko w początkach maligny, potem zniknął, a do końca pozostali tylko tamci dwaj. Ponieważ Żubrowski rozwiął się jak sen, wobec tego pójdziemy szukać bernardyna!

- Gdzie?

- Bernardyna można znaleźć jedynie u bernardynów, dlategośmy tu powrócili. Oh, odrobinę odpocząłem, ale wszystkie kości mnie boją.

Jako "poszukiwacz ścieżek" jestem kapcan. jak wy się czujecie?

Bracia usiłowali się uśmiechnąć, ale im się to nie udało. Przez noc jedną można osiwieć, a przez kilka czarnych dni można zapomnieć uśmiechu. Wyłysienie ze zmartwienia wymaga dłuższego czasu, więc zachowali przynajmniej włosy.

- Trzeba się będzie jako tako oporządzić rzekł Ralf - bo wyglądamy jak strachy na wróble. Widziałem tu jakiś zajazd czy hotelik, czy coś w tym rodzaju. Kupimy kołnierzyki, umyjemy się i pójdziemy do bernardynów. Jest to ostatnia nasza stawka.

- A jeżeli i z tego nic nie będzie?

- Wtedy pójdziemy płakać do cioci Marty.

Chłopcy, idźcie na zakupy i powracajcie za pół godziny.

- A ty?

- Ja muszę napisać pilny list. Czy była taka umowa?

Dotrzymano umowy i około godziny trzeciej trzej pielgrzymi, wymyjni i uczesani, zapukali do klasztornej furty. Wpuszczono ich bez najmniejszych trudności, gdyż bernardyńska brama tak jak soplicowska: "nawcięż otwarta, przechodniom ogłasza, że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza". Jakiś bladolicy braciszek, co ich wiódł przez sklepienie, zaciszne korytarze, wciąż z ukosa i z podziwem przyglądał się posturze Ralfa i jego niezwyklej twarzy, roztrząsając zapewne w bystrym rozumie, z czym tu przyszli ci dziwaczni młodzieńcy, pragnący mówić z samym przeorem.

W dziwacznych młodzieńcach serca biły też dziwacznie w rytmie spletanym i przyśpieszonym. Przejęci byli i czcigodnością miejsca, i ciepłą ciszą, śpiącą wśród grubych, pewnie odwiecznych murów, najwięcej zaś trwogą. czy stąd z tą samą nie odejdą goryczą, którą piją od dni kilku. Ralf był najdzielniejszy, więc kroczył na przedzie. niosąc naprędce połatany sztandar nadziei. tak zielony. jak chorągiew Proroka.

Przyjął ich przeor, siwiuteńki, ale prosty jeszcze i wyniosły, a tak się do nich radośnie uśmiechnął, jak gdyby od dawna na nich czekał. W izbie było białe i słonecznie, tak jak zapewne było w duszy tego staruszka, który patrzył na świat oczami tak dobrymi, jakimi patrzają zawsze ludzie wszystko rozumiejący. Kiedy tym ślicznym, dobrym uśmiechem witał cierpiących, z wszelką pewnością cierpienie ich stawało się mniejsze, gdy wchodził ktoś nieśmiały lub zatrwożony, nabierał odwagi. Któż by się trwożył srebrnego gołębia? Przeto i oni się uśmiechnęli, a najszerzej Ralf. Uczyniło mu się jakoś ciepło na duszy i jakoby rzewnie. Skłonił się nisko i rzekł:

- Moje uszanowanie...

- Na wieki wieków! - odpowiedział staruszek, lecz szybko dodał: - O! Ja ci, synku, pobożnie odpowiadam, a ty mnie wcale pobożnie nie witasz!

Ralf stropił się straszliwie.

- Bardzo przepraszam... Niech będzie pochwalony!

- Tak, teraz wszystko w porządku - zaśmiał się starowina. - Siadajcie, gdzie się da, i gadajcie: z czym, co i jak? Aleś ty wyrósł, młody panie. ha!

- Bo ja się urodziłem w Ameryce - odrzekł Ralf ni w pięć, ni w dziewięć, gdyż się zaplątał przy powitaniu.

- Co ja słyszę? - zdziwił się ksiądz przeor wesoło. - Czy tam wszyscy tak rosną? To straszny kraj! Domy wysokie, ludzie jak żyrafy ... Nie gniewaj się, młody człowieku, tak mi się tylko zgadało. A ci młodzieńcy?

- My jesteśmy z Warszawy, ale bliscy jego krewni, i nazywamy się Mościrzeczcy.

- Co takiego? Mościrzeczcy, jak ten z Przypłocia? Dobry Boże, czy to słyszane rzeczy? Mościrzeczcy przyszedli do bernardynów! Ha. to wielki dzień, wielki dzień! Pan Wojciech z Przypłocia nigdy nie raczył... A może was przysłała jako przednią straż? Panowie wiedzą zapewne.

że nasz klasztor prowadzi z Przypłociem proces o mizerną sprawę?

- Nic o tym nie wiemy. proszę księdza przeora.

- To szkoda! Myślałem w pierwszej chwili, że może pan Wojciech odmienił serce. Nie mają bernardyni szczęścia do Mościrzeczkich, i to nie od dziś.

- Właśnie, właśnie! - zawołał Ralf.

- Dlaczego "właśnie"? - z zadziwieniem zapytał staruszek. - Dlaczego wymówiłeś te słowa, młody człowieku z Ameryki?

Ralf przełknął ślinę, łypnął oczami i z nagłą determinacją począł mówić:

- Proszę księdza przeora! Zawołałem "właśnie", bo my przyszliśmy w tej właśnie sprawie.

- W jakiej sprawie?

- Ze starych rodzinnych papierów doszło do naszej wiadomości, że przed stu kilku laty bernardyn Hiacynt Kiszka miał jakieś nieporozumienie z naszym przodkiem, rejentem Mościrzeczkiem.

- Jak to? - zdumiał się przeor. - To ta historia jest zapisana?

- Jest zapisana, ale tak mętnie i niejasno, że nic z niej nie rozumiemy.

- I przyszliście do mnie po objaśnienie?

- Jeśli ksiądz przeor będzie taki dobry ...

- Ależ będę. będę! Niestychana awantura, jak mi Bóg miły!

Ksiądz przeor zaczął się tak śmiać, że aż się łzy ukazały w jego dobrych oczach. Oni patrzyli na niego ze zdumieniem. ale też uśmiechnięci, trudno bowiem było obronić się przed tym szczerym śmiechem.

- Opowiem wam to tak, jak mnie opowiedziano. My się mało kiedy śmiejemy. ale ta historia krąży w klasztorze od niepamiętnych czasów i kiedy nam bardzo smutno, to ją sobie opowiadamy po raz dziesiąty, bo to śmieszna historia, naprawdę śmieszna. Bernardyńscy kwestarze byli zawsze rozumnymi ludźmi, którzy wiedzieli, że żadnym kluczem łatwiej się nie otworzy nawet na głucho zamkniętego serca jak żartem, facecją albo zręcznym powiedzeniem.

Ignacy Chodźko wybornie o tym napisał! Toteż zdarzały się naszym kwestarzom dziwne czasem awantury, a na końcu awantury szło zawsze w stronę klasztoru kilka baranów albo jechał wóz ze zbożem. Można by bez końca opowiadać o kwestarskich facecjach. najlepsza jednak zdarzyła się owemu bernardynowi, co miał sprawę z rejentem Mościrzeckim.

- O Boże! - szepnął Jan.

- Jaka, jaka? - zapytał szybko Ralf.

. Staruszek, wciąż słonecznie roześmiany, opowiadał:

- Ów Kiszka przybył do nas z innego klasztoru, bo nasz kwestarz spadł z kałamaszki i srodze się potłukł. Ludzi okolicznych nie znając, pojechał Kiszka od razu na kwestę. Był tu i ówdzie, wreszcie po jakimś czasie zajeżdża do Przypłocia. "Jak się zwie wasz dziedzic?" pyta jakiegoś chłopka, a ten na to: "Zwie się Mościrzecki!" Zajeżdża potem przed dom, a na ganeczku czeka go już pan rejent. A kwestarz do niego wesoło: "Witam, witam, mości Rzecki!" tamtemu gościnnie uśmiech zagasnął na twarzy i powiada twardo: "Za wiele konfidencji, bracie kwestarzu!" Bernardyn zdumiał się nieco i znowu swoje: "A czemuż to, mości Rzecki?" "Bo się za mało znamy i nigdyśmy nie byli w zażyłości!" "Mości Rzecki! - kwestarz. A jakże bym ja śmiał? prosić o barana albo o cielę, a by obrażać dobrodzieja klasztoru, mości Rzecki!" A rejent pono wpadł w pasję: "Jakim prawem - począł krzyżeć - obcy człek, choćby i bernardyn, śmie do mnie gadać jak do hajduka albo do pachółka?" "Mości Rzecki! - mówił kwestarz zalękły, niczego pojąć nie mogąc - przecie i do największych panów nawet nie gada się inaczej!" "Być może, a do mnie masz brat mówić "mości Mościrzecki!"" wołał rejent w furii. Słyszycie, chłopcy? Bernardyn przeraził się nie na żarty i pyta zdumiony: "Dlaczegoż to aż podwójnie mam mościć, mości Rzecki? Błagam pokornie o barana i nigdy tu już nie powrócę, mości Rzecki. Za pozwoleniem: mości. mości Rzecki!" Rejent zatrzasnął mu drzwi przed nosem i brat kwestarz odjechał z niczym. Biedaczyna przekonany był. że rejent nazywa się Rzecki, bo była szlachta tego nazwiska, więc gadał do niego, jak należało: "mości Rzecki!" - a tamten, tego nie wiedząc, wpadł w szal. Czy to nie śmieszne, mości Mościrzecki? - zaśmiał się wesoło ksiądz przeor.

Powoli śmiech jego zamierał, gdy spojrzał na trzy młodzieńcze oblicza.

- Co się wam stało. synkowie? - zapytał stroskany. - Nie podoba się wam ta historia?

- Bardzo nam się podoba... - odrzekł Ralf z zakłopotaniem. - A czy tylko tak się skończyła?

- Prawie że tak. Opowiadają u nas, że rejent nie mógł potem znieść widoku kwestarza, a kwestarz uciekał przed rejentem jak przed diabłem.

- A czy nie opowiadają o tym kwestarzu, że wiódł jakieś dziwne życie albo że usiłował wydrzeć rejentowi jakąś tajemnicę?

Staruszek spojrzał na Ralfa ze szczerym zdumieniem.

- Nigdy o niczym takim nie słyszałem. Ten kwestarz był to pono człowiek dobry i pogodny, życie trawił na włóczędze, a w wolnych chwilach, kiedy basem nie śpiewał na chórze, fabrykował dla bernardynów tabakę, co nie jest niczym nadzwyczajnym. Odnaleźliśmy nawet jego przepis na sporządzanie tabaki, której jednak nikt z nas dzisiaj nie używa. Czy ja wiem zresztą? Rzecz się działa przed stu i coś tam laty, a kwestarze mieli swoje tajemnice. być przeto może, że i ten sponiewierany przez rejenta brat Kiszka miał coś na sumieniu. Kto tego dzisiaj dojdzie? Ja naprawdę nie wiem o niczym i nikt w klasztorze też więcej nie wie.

Wszystko, co pozostało po tym kwestarzu, to opowieść o Mościrzeckim i przepis na tabakę.

- Więc z tego wyszła cała wojna? - rzekł Ralf jakby sam do siebie.

Uśmiechnął się z przymusem i dając znak milczącym smutno braciom, zaczął serdecznie dziękować dobremu staruszkowi, który im rzekł na pożegnanie:

- A powiedzcie panu Mościrzeckiemu, że choć nas nęka procesem, my się jednak za niego modlimy, bo jest nieszczęśliwie chory!

Jasno jeszcze było na bożym świecie, a trzech śmiertelnie chorych młodzieńców otaczał gęsty mrok. Zagasnął nikły ogarek nadziei. Dowiedzieli się o tym jedynie, że kwestarz Kiszka me był wymysłem rejenta i że się pokłócił o tytułaturę. Ralf, krocząc w milczeniu, pomyślał ponadto że brat kwestarz przyrządzał tabakę, ale - jak mówią zgodnie pamiętnikarze - czynił to każdy kwestarz, a bernardyni fabrykowali sławną i poszukiwaną, gdyż po zażyciu maleńkiej szczypty kichało się trzydzieści razy.

Uśmiechnął się do swoich myśli i spojrzał z ukosa na dwóch braci których jak jeden łańcuch Lelum i Polelum, skuło jedno nieszczęście. Widok młodzieńców, do niedawna przypominających dwa rasowe rumaki, był tak żałosny, jak widok dwóch zmokłych kur. Diabłowie wzięli miliony... O każdym z tych nieszczęśników można było rzec słowami ze szkolnej czytanki: "Spadł i gruszek nie dostał, i skąpał się w wodzie... Mógł im los ohydny nie dać gruszek, ale czemu - pawian złośliwy! - kąpał ich na dodatek?"

Ralf chciał biec pędem do Przypłocia, za mu się jednak uczyniło nieszczęśników, więc włókł się jak i oni. Przez całą drogę z klasztoru do Przypłocia nie przemówili ani słowa, albowiem tylko powodzenie jest rozgadane.

Przed bramą ujrzeli Dziurawca, który zapewne dostrzegł ich z daleka, więc wyszedł na spotkanie. Ralf nie wydzierzył i skoczył ku niemu.

- Są listy? - zapytał niespokojnie.

- Są, aż cztery . Oto one! Śmiem zauważyć - dodał wesoło - że pański stary znajomy ma bardzo misterny, rzec można: paniński charakter pisma... Za pozwoleniem! Co się wam wszystkim stało?

- Nic... - mruknął Jan. - Wędrowaliśmy...

- Wciąż piechotą?

- Tak, bo wałęsając się na piechotę, można było więcej się dowiedzieć i wszędzie zajrzeć.

- I co, i co?

- I nic. Ralf wszystko panu opowie. Nieszczęście i tyle! - dodał, patrząc niechętnie na Dziurawca, który Bogu był winien ducha, nic nikomu poza tym.

- Pan Mościrzecki uprzejmie prosi, aby mu panowie zdali sprawozdanie z podróży.

- Kiedy?

- Może wieczorem?

- Proszę pomówić o tym z Ralfem. Gdzie on się podział?

- Czyta listy, ot tam, pod kasztanem. Szczęśliwy młodzieniec... Dobrze, pomówię z nim.

Niech panowie dobrze odpoczną, a ja pójde zawiadomić o waszym powrocie pannę Katarzynę.

Nie wiedzieli o tym, że Dziurawiec od dni był jej białym niewolnikiem, a ona jego usługi przyjmowała z uśmiechniętą życzliwością, udzielając mu rad dobrych i nieposporozumnych. Uprzątnęła już do połowy domisko, a teraz stała nieco bezradna, na coś w rodzaju baszty, dobudowanej ściany domu. tak sobie, bez celu, ni przyłatał. Przyszła bowiem kolej uprzątnięcie tej baszty czy też wieży.

Zawiadomiona o smętnym powrocie trzech wzruszyła ramionami.

- Spodziewałam się czegoś podobnego. Trzeba będzie zwołać ostatnią naradę.

- Odbędzie się ona dzisiaj jeszcze, wieczorem. Czy szanowna panna Katarzyna będzie łaskawa przybyć również?

- Jeżeli mnie pan Mościrzecki nie zastrzeli...

- Pan Mościrzecki jest od kilku dni w wybornym humorze!

I ja też... A wie pan czemu? Oto pan mi dzisiaj spojrział dwanaście razy prosto w oczy! Trzy razy się panu nie udało, tylko trzy razy ...

- O, droga panno Katarzyno! - zawołał gorąco. - Jestem szczęśliwy, jestem naprawdę szczęśliwy. Ha! Widzę i drugiego szczęśliwego człowieka tam pod kasztanem!

We wskazanej okolicy długonogi Ralf tańczył. Sam ze sobą. Płasał jak Dawid przed arką albo jak ów żuraw w opowieści Kiplinga, co połknął - (żuraw, oczywiście, nie Kipling) bryłę lodu, wyrzuconą z okrętu, albo jak derwisz w Bagdadzie. W tym jedynie była różnica, że Ralf tańczył z radości. Gdy się zmęczył, dobywał jakiś różowy papierek. przyciskał go do ust i znowu tańczył, jak gdyby nowych nabrał sił jak Anteusz, ziemi dotknąwszy, utraczone, odzyskiwał moce. Wreszcie w podskokach zwrócił się ku domowi.

- Tańczy, bo otrzymał cztery listy - objaśniał Dziurawiec, głęboko zamyślony. - Spotkało go czterokrotne szczęście. Strasznie go lubię, tego Ralfa! Panno Katarzyno! - rzekł z nagłym postanowieniem. - Czy ja mógłbym kiedy napisać do pani list?

Ciocia Kasia zaśmiała się dziwnie.

- Czy pan chce, abym tańczyła pod kasztanem?

- O, nie! To ja bym uczynił, gdybym dostał od pani odpowiedź.

- A po cóż, drogi panie, mamy pisać do siebie listy? Przecież mieszkamy w tej chwili w jednym domu.

- W liście jakoś łatwiej...

- Powiedzieć też łatwo.

- Kiedy ja nie śmiem, kiedy ja nie śmiem! - zawołał z rozpaczą i wybiegł bez najmniejszego powodu.

Ciocia Kasia, patrząc z tkliwym uśmiechem na drzwi, szepnęła:

- Biedny pan Adam...

Potem westchnęła. Głęboki znawca dusz ludzkich stwierdziłby niezbitcie, że było to westchnienie z gatunku szczęśliwych. Tego samego zdania byłby i ten, który wyrzekł mądre słowa:

“Bez kobiety dwa końce ludzkiego żywota byłyby bez opieki, a środek życia bez szczęścia”.

Nieśmiały Dziurawiec zapukał po długim namyśle do komnaty braci Mościrzeckich, w której szczęśliwie zastał tylko malarza, a szukał właśnie jego. Józef leżał na łożu i szklanym wzrokiem patrzył w powałę.

- Głowa do góry, panie Józefie! - rzekł gość serdecznie. - Jeszcze się wszystko dobrze skończy!

- Aha... - bąknął malarz.

- Niech pan zapomni na chwilę o nieprzyjemnych sprawach. Po co się truć? Może pana zajmie moja prośba... Czy naprawdę panu nie przeszkadzam?

- Ani trochę. Leżę i odpoczywam.

- Czy przyjąłby pan małe zamówienie?

Malarz podniósł się powoli i usiadłszy na łóżku, spojrział na niego ze zdziwieniem. - Zamówienie? A cóż można u mnie zamówić?

- Obrazek... Powiedzmy: maleńki portrecik, chociażby ołówkiem... Z największą radością zapłacę sto złotych za maleńki portrecik. A może to za mało?

- Czyj to ma być portret?

- Szanownej ciotki pańskiej... panny Katarzyny - odparł Dziurawiec cichutko.

- Cioci Kasi? A wolno wiedzieć, dla kogo jest przeznaczony?

- Dla mnie... Bo widzi pan, to jest zawiła sprawa... Panna Katarzyna jest najszlachetniejszą kobietą na świecie. Już dotąd wiele jej zawdzięczam.

Mimowolnym ruchem dotknął bujnych kędziorów, a Józef teraz dopiero dojrzał ich zuchwałość i chociaż mu było bardzo smutno, nieznacznie się uśmiechnął.

- ...Pragnę przeto mieć pamiątkę. Chciałbym się czasem wpatrzeć w tę twarz...

- Będzie pan miał portret! Jutro będzie gotów, ale pod jednym warunkiem.

- Z góry przyjmuję!

- Portrecik ten przyjmie pan ode mnie w podarunku. Przyjął pan z góry i nie ma o czym mówić! Z całego serca życzę panu powodzenia.

Dziurawiec objął go gorącym uściskiem i szepnął:

- Czym ja się wam wszystkim odwdzięczę? Miły Boże; Jacy wy jesteście dobrzy i kochani! Nie wiem, dlaczego życzy mi pani powodzenia, ale z całej duszy dziękuję!

“To byłoby nawet dobrze - myślał malarz po odejściu Dziurawca. - Bardzo nawet dobrze. Wszystko można wyczytać z jego twarzy, a on pyta, czemu mu życzę powodzenia! Nie zrobiłby, biedaczysko, kariery jako dyplomata”.

Zadowolony był, że niezmiernie chytry pomysł Dziurawca Kędzierzawego oderwał go od smętnych rozmyślań. Namaluje mu ten portrecik, przyjrząwszy się dzisiaj wieczorem bardzo dokładnie jasnemu obliczu cioci Kasi.

On tylko i pan Adam wiedzieli, w czym rzecz. kiedy podczas kolacji. przy stole, na prośbę Ina l arza rześiście oświetlonym, ciocia Kasia zapytała niespodzianie:

- Józiu, kochanie, czemu się tak we mnie wpatrujesz?

Dziurawiec, straszliwy spiskowiec, drgnął nieznacznie, a malarz odrzekł:

- Bo w tym złotym oświetleniu wygląda ciocia o dwadzieścia lat młodsza!

- Świetnie, świetnie, wybornie! - szepnął Dziurawiec.

- Młodsza? - mówiła zamyślona panna Katarzyna. - Tak, przy świecach...

- Ciocia powinna wyjść za mąż! - zawołał nagle Ralf, tak bardzo szczęśliwy, że zapragnął szczęścia dla całego świata.

Widelec wypadł z ręki ciotki.

- Wstawajmy! - rzekła nieswoim głosem. - Czas pójść do pana Mościrzeckiego...

Pan Wojciech, dokładnie uprzedzony, oczekiwał ich niecierpliwie. Przywitał ich niemalże uprzejmie i szerokim ruchem prosił o zajęcie miejsc. Spojrzał spod oka na pannę Katarzynę, która przed posiedzeniem sejmu rzekła głosemomalże nie jedwabistym:

- Nie miałam dotąd sposobności podziękowania panu za śliczny podarunek.

- Mówić o tym nie warto. Niczego więcej pani nie znalazła?

- Dotąd nie, ale zdaje mi się, że w baszcie znajduje się tyle gratów, że można by nimi napelnić cały dom.

- Powiedział ktoś - mówił pan Wojciech zmrużywszy dziwnie oczy - że "dom nie spoczywa na ziemi, lecz na kobiecej głowie". Wobec tego proszę szukać. Przepraszam, że przerwałem. Posłuchajmy teraz, co nam opowiedzą młodzi panowie. Gdzież tedy byli i co robili?

- Ralfie, gadaj! - szepnął Jan.

Dryblas podniósł się z krzesła i oparł jedną rękę na jego poręcz, jak prelegent.

- Postanowiliśmy we trójkę, nie zawiadamiając nawet pana, odszukać za wszelką cenę ślad po Żubrowskim, o którym tyle pisze rejent.

Przemierzyliśmy całą najbliższą okolicę i przetrząsnęliśmy każdy niemal dwór. Wydało się nam prawdopodobnym, że ów Żubrowski musiał być dość bliskim sąsiadem rejenta. pytaliśmy księży, lekarzy, urzędników, chłopów, Żydów, pytaliśmy wszystkich. Wszystko na nic. W tej okolicy nikt nigdy nie słyszał o rodzinie Żubrowskich. Nie ma o nich wzmianki ani w dokumentach kościelnych, ani w spisach hipotecznych. Zwiedzaliśmy nawet cmentarze szukając nagrobków.

- Z tego wynika - przerwał chmurnie pan Wojciech - że rejent wszystko zmyślił. - Bynajmniej! W klasztorze bernardynów przechowuje się dotąd pamięć o tym kwestarzu, o którym rejent wspomina.

- Byliście u bernardynów? I przyjęto was?

- Bardzo gościnnie!

- Zmyśliliście jakieś nazwiska?

- W jakim celu? Broń Boże! Rozmawiał z nami sam przeor i opowiedział nam, co wedle krążącej w klasztorze legendy zaszło pomiędzy rejentem i kwestarzem.

Ralf powtórzył, jak umiał najdokładniej, wesołą opowieść księdza przeora.

- I tylko o to im poszło? - zdumiał się pan Mościrzecki zawiedziony. - Nic więcej nie wiedzą o tym kwestarzu?

- Nic więcej prócz tego, że się pogniewali z rejentem i że ten kwestarz fabrykował tabakę.

- Coś powiedział? - zawołała ciocia Kasia. - Co fabrykował?

- Tabakę! - powtórzył głośniejszym głosem Ralf. I to jest cała historia. Ach, żebym nie zapomniał.

Ksiądz przeor kazał pana uprzejmie pozdrowić i powiedzieć, że chociaż między klasztorem i Przypłociem toczy się jakiś proces, bernardyni modlą się na intencję pańskiego wyzdrowienia.

- Czy ja dobrze słyszę? - zapytał pan Wojciech cicho. - Oni się za mnie modlą?

- Tak powiedział przeor, a to bardzo czcigodny człowiek.

Pan Mościrzecki zmarszczył czoło, ale już nic nie powiedział, więc Ralf ciągnął dalej swoją orację:

- Z tego wszystkiego moim zdaniem wynika, że pismo rejenta mieści w sobie jakieś ziarnko prawdy i że nie jest całkowitym zmyśleniem. Z wszelką pewnością istniał kwestarz dokładnie wspomniany z imienia i z nazwiska: tak samo jak jakiś Łobjko imieniem Jacek. Wobec tego dziwnym mi się wydaje, że rejent wspomniał Żubrowskiego jedynie z nazwiska, a ani razu nie podał jego imienia.

- Może zapomniał? - wtrącił Dziurawiec.

- Czy słyszał pan o tym, aby rejent jakkolwiek kiedykolwiek czegokolwiek zapomniał?

I do tego w tak ważnej sprawie? Nie, to nie jest możliwe! Wymyślił nazwisko, a imię wydało mu się zbędne. W tym coś jest!

- Ale co, u Boga Ojca? - zniecierpliwiła się ciocia Kasia.

- Rozmyślałem nad tym podczas wędrówki i dzisiaj jeszcze. Nie wiem, może się mylę, ale tak mi się coś wydaje, jakoby ów tajemniczy Żubrowski był figurą podstawioną, nie istniejącą, jednak oznaczającą kogoś lub coś. Pisze się "Żubrowski", a czyta się zapewne inaczej. Skoro rejent układał misterną zagadkę, myślał zapewne tak: "Jeżeli znajdziecie Żubrowskiego, którego nie ma, znajdziecie skarb!" - To dla mnie zbyt mądre! - wtrącił pan Wojciech.

- Dla nas wszystkich jest to zbyt mądre.

Czy pan ma dokument?

- Proszę, tam leży!

Ralf zbliżył się do światła. odczytywał cicho niektóre ustępy, wreszcie rzekł:

- Ten Żubrowski to jakaś przedziwna figura, z nieprawdziwego zdarzenia figura! Proszę posłuchać raz jeszcze, co pisze rejent: "Zdrowie ma żelazne, a że to jeszcze młokos, więc dożyje. Wrzący to zawalidroga i gwałtownik...!. Niech mi teraz kto powie, jak to być może, żeby rejent, stateczny człowiek na poważnym urzędzie, zadawał się z młokosem, a do tego zawalidrogą i gwałtownikiem? Jak to? I takiemu będzie powierzał skarb?"

- Słusznie, słusznie! - wołał pan Wojciech z ożywieniem.

- A teraz dalej. Pisze rejent, że ów wrzący zawalidroga. do którego przepijał miodem, czuje abominację do mocnych napojów. A cóż to za zawalidroga sprzed stu lat, co się bał miodu? przypuśćmy jednak rzecz niesłychaną, że się taki znalazł. Cóż jednak znaczą słowa. że "się w domu moim chował?". Czy to był krewny? O tym nie ma wzmianki. Jest natomiast wzmianka o "przyjacielskiej życzliwości" owego warchoła. Przyjaciel?

Dwudziestoletni może zawalidroga miałby być przyjacielem rejenta? Coś się tutaj nie trzyma razem kupy. Ach, i jeszcze jedno! Ów Żubrowski wedle zapowiedzi rejenta: "będzie milczał *ac cadaver*". - Cadaver znaczy trup.

Jakże więc? I młokos, i zawalidroga, i gwałtownik, a taki równocześnie stateczny, że się da zabić, a nie piśnie ani słowa?

- To naprawdę ciekawe, o czym mówisz, Ralfie! - przerwała ciocia Kasia. - Co wedle ciebie znaczy to wszystko?

Ralf się zamyślił.

- To znaczy, droga ciociu, że nigdy nie było Żubrowskiego, któregośmy na próżno szukali.

- A kto był?

- Trup! - zakrzyknął Ralf.

- Matko Święta! - zakwiliła pani Zofia.

- Nie taki zwyczajny trup - zaśmiał się Ralf. - Rejent moim zdaniem chciał powiedzieć, że skarb powierzył czemuś, co jest martwe, nieruchome, co nie pije i nie gada, a najważniejsze, że jest to coś, "co się chowa w tym domu". Nazwał tego kadawra Żubrowskim, ale dlaczego tak właśnie, to Bóg raczy wiedzieć!

Jeżeli kwestarz Kiszka nie jest mitem, w takim razie i ten Żubrowski istnieje pod jakąś postacią. A ja się założę, o co kto chce, że istnieje nie gdzie indziej, tylko pod tym dachem.

- Pod dachem wszystko wyczyściłam!

- Więc nie dosłownie pod dachem, w tym domu. Musimy szukać! I musimy pamiętać, że należy szukać “młokosa, zawalidrogi i gwałtownika”. A do tego wszystkiego niemowy!

- Łatwo powiedzieć... - rzekł nieśmiało Jan.

- A trudno znaleźć. Oczywiście! A nie takie już rozwiązywano zagadki. Ja bym szukał nie daleko, lecz tutaj.

- Panie Mościrzecki! - wielkim głosem odezwała się panna Katarzyna. - Ja wywrócę ten dom do góry nogami!

- Dobrze pani robi, bo jest szkaradny.

Proszę mnie jednak uprzedzić, abym miał czas do ucieczki! - zaśmiał się pan Wojciech i dodał, zwróciwszy się do Ralfa: - Mądrze to wywiodłeś, młody człowieku. Bardzo ci wszyscy dziękujemy. Jesteś niezwykle sprytny!

W ciąż zamyślona ciocia Kasia drgnęła niespodzianie i rzekła:

- Tak. Ralf jest niezwykle sprytny, ale był tu pośród nas ktoś jeszcze sprytniejszy.

- Któż taki?

- Alojzy Mościrzecki... Aptekarz!

Wszyscy spojrzeli na nią w wielkim zdumieniu, ale uwierzył jej jedynie wierny pan Adam Dziurawiec.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

w którym tak niesłychane dzieją się sprawy, że ich z góry wyjawiać nie należy

Przez cały poranek następnego dnia panna Katarzyna czyniła wielkie przygotowania do wymiatania z brzucha “baszty” rupieci sprzed lat stu. Zwoływała pospolite ruszenie wszystkich chętnych i wydawała rozkazy krótkie, zwarte, treściwe, napoleońskie. Trzeba było wreszcie zażądać klucza od burgrabiego Dziurawca, którego - o dziwo! - nie widziała jeszcze w tym dniu. Ponieważ tak znikł bez śladu, jak Żubrowski, przeto o południu postanowiła go odnaleźć w jego prywatnych apartamentach, w lewym skrzydle rozłożystej arki Mościrzeckich. Droga wiodła przez zawile korytarze, przez komnaty większe i mniejsze, a wszystkie tak zimne, jak serce samoluba. Wreszcie ominąwszy brzuchate wory, zapewne z nasionami zbóż, dojrzała otwarte drzwi, a w głębi obszernej komnaty, wcale przytulnie urządzonej, pana Adama we własnej osobie, siedzącego przy stole. Oparł głowę na rękach i jak sroka w kość wpatrywał się uporczywie w coś, czego z oddalenia nie można było dojrzeć.

“Jakiś obrazek czy fotografia...” - pomyślała.

Chcąc zaskoczyć bardzo skłonnego do żartów pana Adama, zbliżyła się cichutko. Nagle przestało w niej bić serce, więc położyła na nim rękę, a ono, poczuwszy miękki dotyk, zaczęło bić znowu, .ale gwałtownie i jakby z radosnym szaleństwem. Pan Adam nie był obecny na tym świecie, niczego nie słyszał i o niczym nie wiedział: wpatrywał się w jej portrecik, śmiało narysowany, może niezbyt podobny, ale tylko dlatego, że wypiękniony. Obok portreciku, opartego o położone jedna na drugą książki, stał po lewej stronie wazonik z kwiatami. Pan Adam odbywał ćwiczenia i prostował swoje spojrzenia. Jest to czynność niecierpliwiąca, on jednak miał zachwyty na obliczu. Patrzył, patrzył, patrzył. Dokoła mogła wyc burza i mogły trzaskać pioruny. Pan Adam patrzył, patrzył, patrzył.

Panna Katarzyna, oparta o odrzwia, uciszała serce. Oto znalazł się ktoś na świecie, co się z zachwytem wpatruje w jej wizerunek. Skąd go wziął, na Boga?! Tak, to pewnie Józef... Dlatego studiował wczoraj wieczorem jej twarz. Dobry chłopak... Upiększył ją... A ten drugi dobry - nie, to zbyt skąpo powiedziane! - a ten drugi najlepszy przystroił ją kwiatami, ją, starą pannę, Katarzynę Mościrzecką, nauczycielkę. Szczęśliwy uśmiech zamigotał w jej szarych, mądrych oczach, które w tej chwili nie były zbyt mądre, bo się zaczęły szklić, tak jak niedawno, kiedy rozmyślała we wnęce okna. Co robić, co teraz robić, poradź, miłosierny Boże! Chciała zawrócić z drogi i pozostawić tego zacnego człowieka z jego tajemnicą, lecz wrosła w ziemię,

jakby się chciała przyglądać najdłużej swemu wielkiemu szczęściu. Myślała o tym, że może jest śmieszna, skoro ją wzrusza ten obrzęd, śmieszna sama przed sobą, bo jakżeż to mądra kobieta ze srebrnymi nitkami we włosach ma słuchać podszeptów serca? Panna Katarzyna słyszała kiedyś dawno o tym, że serce jest mądrzejsze od wszystkich rozumów, ale tak się zapewne tylko mówi w serdecznych książkach. A ona w tej chwili temu wierzy... Nie może się ruszyć, nie jest w stanie uczynić kroku, więc jedno jej chyba pozostało: obrócić wszystko w żart. Ciężki to będzie żart, ale cóż zrobić, cóż czynić?

Przymknęła oczy, aby w nich zachować jak najdroższą pamiątkę to, co widzi, otwarła je po chwili i rzekła dziwnym, nieswoim głosem:

- Panie Adamie kochany! Po co pan patrzy w obraz, skoro oryginał stoi za panem?

W zacisznej komnacie uczynił się wielki rumor. Pan Adam krzyknął zduszonym głosem, zerwał się z krzesła i spojrzał na nią - o, jakże prosto! - nieprzytomnym wzrokiem. A potem, sam chyba nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, postąpił, zataczając się, kilka kroków i upadł przed nią na kolana.

- Panno Katarzyno! - mówił tak, jakby łkał. - Panno Katarzyno!

- Co, panie Adamie? - zapytała cicho.

- Sam Bóg chyba tutaj panią sprowadził...

Do tej mojej nory ... Do bardzo samotnego człowieka... Do bardzo biednego człowieka...

- Niech pan wstanie!

- Nie, nie! Niech mi pani pozwoli klęczeć.

Będę panią tak długo na kolanach prosił o łaskę, aż się pani nade mną zlituje. Stary jestem, lecz...

- I ja nie jestem młoda...

- Uwielbiam panią! Niech mnie pani raczy wysłuchać. Tylko że ja nie śmiem, tylko że ja nie śmiem...

- Pan mnie prosi - mówiła, nie słysząc własnego głosu - abym została pańską żoną?

- O, Boże jedyny! Tak, tak!

Pan Adam wyraźnie szlochał bez łez.

- Czy nie będzie pan tego żałował?

- Nigdy, przenigdy!

- A czy pan zna przysłowie O kobietach? Mówią, że "kobieta potrafi być chora przez trzynaście miesięcy w roku".

- Brednie!

- ...Że “śmieje się, kiedy może, a płacze, kiedy zechce”.

- Niech się śmieje, niech sobie płacze! O, droga, najdroższa panno Katarzyno!

Panna Katarzyna miękkiem ruchem położyła rękę na głowie pana Adama i mówiła urwanym, bardzo wzruszonym głosem:

- Panie Adamie... Jeśli Bóg tego chce... będę dla pana... dobrą żoną.

Pochyliła się i ucałowała go w czoło, a on ją począł całować po rękach i coś bełkotał.

- Nie mówmy przez jakiś czas o tym nikomu, drogi panie Adamie. Dość, dość!

Łagodnie wysunęła ręce z jego rąk i pozostawiwszy go rozmodlonego na klęczkach, odeszła, szła jednak jakoś dziwnie, czasem od ściany do ściany, lub często przystawała. Gdyby ją kto był spotkał w tej chwili, byłby usłyszał wyraźnie, jak jej serce śpiewa. Gdyby kto mógł zobaczyć jej duszę, ujrzalby niezawodnie, że jest rozjaśniona słonecznym blaskiem.

Szczęśliwy Dziurawiec, honorowy człowiek, dotrzymał tajemnicy, lecz tylko w połowie. Nikomu nie rzekł ani słowa, lecz zaszedłszy po jakimś czasie do braci Mościrzeckich, u których zastał i Ralfa, zaczął ni stąd, ni zowąd wszystkich trzech całować i ścisnąć ku ich niebotycznemu zdumieniu. Ralf zrozumiał go pierwszy, albowiem sam był w malignie. Obejrzel go z ciekawością i ujrzeli białego kruka: człowieka szczęśliwego. Zrozumieli, że coś się stało, co oczywiście ma związek z cicią Kasią, ale ponieważ on o niczym nie mówił, więc i oni nie chcieli pytać. Uściskali go gorąco i tylko Jan szepnął mu do ucha:

- Ja będę grał na organach podczas ślubu.

Dziurawiec uśmiechnął się raz jeszcze, nieludzko szczęśliwy, i położywszy palec na ustach na znak, że są zamknięte na siedem pieczęci, wybiegł, aby o swoim szczęściu opowiedzieć drzewom i wodzie, słońcu i niebiosom.

Chłopcy patrzyli za nim z żywym zajęciem.

Po wielkim wczorajszym wywodzie Ralfa byli nieco weselsi i ufność jak złota jaszczurka przemknęła przed ich mrocznymi oczami.

- Ciocia Kasia to mądra kobieta! - rzekł Ralf z uznaniem. - A Dziurawiec zapaleniec, ale z kośćcami poczciwe chłopisko.

Józef opowiedział o namalowanym przez siebie portreciku, co jeszcze bardziej wzmogło ich życzliwość.

- Daj im Boże wszystko najlepsze! - mówił Ralf. - I im, i wszystkim, co nie mają wymarłych serc. Wracajmy jednak do rzeczy.

O czym to mówiłeś, Jasiu, w chwili kiedy wszedł Dziurawiec?

- Mówiłem, że wlałeś w nas odrobinę otuchy. Rzecz najtrudniejsza jest wprowadzić przed nami, wiele już jednak znaczy ta niemal pewność, że to, czego szukamy, ukryte jest gdzieś blisko. Odpada też jedna obawa, ta mianowicie, że skarb mógł zostać zabrany i wyniesiony przez owego Żubrowskiego, skoro - jak twierdzisz Żubrowski nigdy nie istniał.

- Ja nie twierdzę, ja tylko przypuszczam.

Przypuszczam, że to wymyślony przez rejenta symbol. Ciocia Kasia zupełnie słusznie chce wyrwać do góry nogami ten dom, w którym jest więcej schowków niż w labiryncie. Tak! Jeśli ten skarb istnieje, ukryty jest w tym domu. Rejent się z niego nie oddala i patrzy jedynie, jak kwestarz krąży dookoła. Przyznaję jednak, że ten kwestarz mnie niepokoi.

- Czemu? Nie uważam bernardyńskiego kwestarza za figurę niebezpieczną - rzekł Józef.

- I ja też nie. Idzie mi jedynie o rodzaj skarbu. Jeżeli to było złoto lub kosztowności, w takim razie kwestarz nie ma tu nic do roboty, gdyż z wszelką pewnością na takie skarby nie dybał.

- A kto wie?!

- Nie, mój kochany. "Czucie i wiara silniej mówią do mnie..." Bernardyński braciszek, jakiś pocziwina, *simplex servus Dei*, nie będzie się skradał jak wilk po nocy, aby obrabować rejenta. Ten tajemniczy skarb musiał być osobliwego rodzaju. Przypomnijcie sobie słowa rejenta, który mówi o skarbie, że się nie tylko nigdy nie wyczerpie, ale cudownym jakimś sposobem będzie się pomnażał. Cóż to za niezmierny skarb, który się nigdy nie wyczerpie? Cóż to za bogactwo, które się wciąż będzie pomnażało, ale pod warunkiem, że nigdy nikt nikomu nie odkryje jego tajemnicy? To mnie właśnie niepokoi. Po co jednak łamiemy sobie głowy przed czasem? Czekajmy cierpliwie, aż ciocia Kasia ukończy robienie porządków. Wiecie co? Idźcie jej pomóc.

- A ty?

- Ja? Ja muszę napisać bardzo pilny list.

- Do starego znajomego?

- Tak, albo co?

- Nic... Myślę tylko, że pisanie listów jest rzeczą bardzo trudną. O czym tu pisać do starego znajomego?

- Toteż łatwo mi to nie przychodzi.

- Wiesz co, Ralfie! Napisz mu krótko jedno przepiękne zdanie, które gdzieś kiedyś wyczytałem.

- Cóż to za zdanie? - zapytał Ralf z powątpiewaniem.

- "Kocham cię dzisiaj więcej niż wczoraj, a mniej niż jutro!"

- Jak, jak? Powtórz! - zawołał Ralf, szukając po kieszeniach ołówka i notesu. - Powtórz!

Jan powtarzał miłosne zaklęcie, a Piegowaty pisał gorączkowo.

- Twój stary znajomy bardzo się tym ucieszy... - bąknął Józef.

- Całuj psa w nos! - zawołał Ralf wybiegając, aby popełnić plagiat.

Chłopcy poszli na poszukiwanie cioci Kasi. Przeszli przed frontem domu i skłonili się z szacunkiem panu Mościrzeckiemu, który kazał wytoczyć swój wózek na terasę przed wejściem i wygrzewał się na słońcu. Przyjrzał im się przez zmrużone powieki, bo zdaje się drzemał. Tuż obok niego na rozpostartej chuście siedział Maciuś i gładził bujne futro czarnego kundla, przytulonego do niego miłośnie. Nie odstępował chłopczyny i nauczył się go prowadzić. Otrzymał w tym celu obrozę, do której uwiązano sznurek, a jego pętlę Maciuś owinął sobie dokoła prawej rączki. Szczebiotął wciąż i wciąż coś tłumaczył mądrymu psu, który w odpowiedzi mruczał ze szczęśliwym zadowoleniem.

Z oddalenia, gdzieś od folwarcznych zabudowań, słychać było podniesiony głos Dziurawca, nawołującego jakąś opieszalność do rozwagi i zastanowienia się nad sobą. Na brzegu sadzawki srebrzącej się w słońcu przysiadł śmieszny ptaszek i merdał ogonkiem. Dookoła pusto było i cicho, a dom wyglądał jak zmarły.

Pan Mościrzecki lekko drzemiąc rozmyślał, z niepojętą dla niego samego przyjemnością przysłuchując się szczebiotowi nieszczęśliwego dziecka, wybuchającego raz po raz perlistym śmiechem, ile razy kundel w obłędnej pieszczocie polizał szorstkim, lecz niekłamliwym ozorem jego twarzyczkę. Jakaś słodka, ciepła kropelka tkliwości, jak kropla ciepłego majowego deszczu, spadła na zmarszczone, wyschnięte jak ziemia, stare serce pana Mościrzeckiego. To dziecko jest niewysłowienie nieszczęśliwe, a jednak się śmieje. Są to czarujące i olśniewające tajemnice Życia, które śmiać się każe nawet cierpieniu. Oni wszyscy, co się tutaj u niego zjawili, znają tajemnicę uśmiechu, bo przecież i ten dragon, panna Katarzyna, taką czasem magiczną sztukę umie zrobić ze swoim obliczem, że się musi na nie patrzeć ze zdumionym zachwytem. Ba! Nie tylko sami znają tę czarnoksięską magię, ale nauczyli jej nawet Dziurawca, nawet Dziurawca! Do niedawna nijaki, szary, posłuszny, we dwoje zgięty, ot, taki sobie Dziurawiec, odmłodził, stał się niemalże wytworny, a przed chwilą, zmierzając na folwark, podśpiewywał sobie jak szczęśliwy młokos.

"Tylko ja... tylko ja... - myślał z rozżaleniem najstarszy z rodu Mościrzeckich - pozostałem taki sam i żadne bernardyńskie modły mi nie pomogą!"

W tej chwili w zakątku serca zrodziła się obawa, że będzie mu jeszcze gorzej, skoro wyjadą, tak jak przyjechali. Taił tę obawę przed samym sobą, a ona wracała wciąż. Gdyby

chciał, gdyby umiał, toby ich poprosił, aby go me opuszczali. Niechby ktoś z nich pozostał w tym strasznym, pustym domu, w tych mrocznych katakumbach, żeby choć od czasu do czasu mógł posłuchać ludzkiego głosu albo ludzkiego Śmiechu. Zgodziłby się nawet na Pannę Katarzynę, która wyraźnie nic sobie nie robiła z jego opasłej dostojności. Niechajby chociaż ona, bo chodzi z hałasem, buszuje po tym zakisłym domu i wieje po nim jak wichr. O pozostaniu dobrej i ślicznej pani Zofii nawet marzyć nie można... Mogliby może zostać chłopcy. Przyjemne są to dryblasy, a Amerykanin ma nawet dobrze urządzoną głowę. Nie, nie! Nikt nie zostanie. Po co? Na co? Czym się im odplaci? Radością za radość? Przecie on się nie umie po ludzku radować. Śmiechem za śmiech? Przecie on już zapomniał śmiechu, a jeśli się kiedy i uśmiechnie, to złośliwie i jadownicie.

Opadły go czarne zwątpienia jak rój komarów pijących krew. Znowu zbliża się jesień, przyjdą ulewy i bezgwiazdne, wichrem rozplakane, długie noce. Będą mijaly dni, a jeden tak do drugiego podobny, jak nieszczęście do nieszczęścia i rozpacz do rozpacz. A na całą pociechę pozostanie mu odmieniony wprawdzie, ale tylko Dziurawiec.

Dojrzał go na drodze wiodącej od gospodarskich zabudowań ku domowi, równocześnie zaś posłyszał głosy od strony parku, przymknął więc szybko oczy, udając, że drzemie. Głosy te, a wśród nich zapewne i głos matczyny, najczulszym słuchem usłyszał i Maciuś, bo się poruszył i słycać było kroki jego na żwirze. Dziurawiec był daleko, a głosy też nieblisko.

Wtem rozległ się plusk wody i równocześnie cienki, zrozpaczony krzyk dziecka.

Pan Mościrzecki otworzył oczy.

- Jezus, Maria! - krzyknął rozgłośnie.

Nie wiadomo, jakim sposobem ślepy chłopczyna zmylił drogę i wpadł do głębokiej sadzawki, pociągnawszy za sobą psa, który zaplątał się w sznurek i miotał się jak oszalały.

- Ratunku! - wołał pan Mościrzecki. Ratunku!

Głos jego zdławiony był przez rozpacz.

Nikt go może nie usłyszał, więc ze straszliwym wysiłkiem wpił obie ręce w poręczę fotela, jak gdyby chciał stanąć na bezwładnych nogach. Żyły na jego czole nabrzmiały do grubości postronków. Oczy jak gdyby wyskoczyły z oprawy. Twarz nagle z czerwonej stała się sina: przez krótką chwilę coś się w nim zmagalo w rozpaczliwej walce z niemocą. Spojrzenie starego człowieka było okropne, jak gdyby ujrzał własną śmierć. Coś się w nim dzieje straszego: opiera się o poręczę, podnosi się, znowu opada i znowu się podnosi na zmartwiałych nogach.

O Chryste Panie! Jeszcze chwila, a chłopiec utonie! Nie! Stary pan podnosi się z takim wysiłkiem, że lada moment serce jego rozprysnie się jak granat.

Podniósł się.

Zachwiał się jak błędny i idzie...

Idzie! Uczynił dwa kroki. Przystanął i zachwiał się. Znowu idzie, ale już prędzej. Dalej, dalej! Prędzej, na Boga, prędzej! Ze Śmiertelnym trudem przebył te kilka kroków, które go dzieliły od sadzawki. Słysząc było świszczący jego oddech. Pochylił się z głębokim jękiem i ręką chwycił za kołnierz chłopięcej kurtki. O, Boże miłosierny! Ciągnie... ciągnie... wyciągnął!

Wyprostował się, wielki, ogromny, zwałisty jak kolos. Podniósł chłopczynę i zmoczonego przycisnął do szerokiej piersi. Dyszał ciężko i miał takie uczucie, że jeszcze chwila, a krew rwącą strugą rzuci mu się do gardła.

Ujrzał to z daleka Dziurawiec i nadbiegł przerażony.

Ujrzała to wyszedłszy spoza domu gromadka zmierzająca pod dowództwem panny Katarzyny. Matka Maciusia biegła jak sarna, krzycząc i płacząc, i wyciągając ręce. Pan Mościrzecki, straszny na twarzy, lecz - nikt by temu nie uwierzył, kto tego nie widział! - uśmiechał się. Dziwaczny ten uśmiech był płataniną mijającego przerażenia, wędnącej szybko rozpacz i nadludzkiego szczęścia. Oddał Maciusia w ręce matki, a sam stał twardo, jakby wrósł w ziemię. Z dziecinną niemal ciekawością patrzył na swoje nogi, przed kilkoma minutami jeszcze nieruchome. Mrużył szybko oczy i równie szybko je otwierał, jak gdyby się chciał przekonać, czy nie śpi. Nie spał jednak: widzi, jak pani Zofia, nie chcąc przyjąć niczyjej pomocy, niesie dziecko w ramionach i spieszy ku domowi. a za nią bieży zmoczony kundel, co się sam wygramolił z wody. Widzi gromadkę znanych twarzy wpatrujących się w niego z nabożnym podziwem.

O, Boże! Więc się podniósł, szedł i doszedł!

Straszliwy wysiłek dokonał rzeczy wprost niesłychanej: Mościrzecki stoi na własnych nogach. Gnany rozpaczą, uczynił kilka kroków w jedną stronę, lecz czy go te tragiczne nogi poniosą z powrotem? Bał się poruszyć. Na czole, już pobladłym, ukazały się wielkie krople zimnego potu. Zmaganie się musiało być straszne. Trzeba spróbować iść, trzeba spróbować za wszelką cenę! Patrzyli na niego skamieniali, a on ruszył. Uczynił krok, zachwiał się, ale nie upadł. Nogi miał odrętwiałe i czuł biegające po nich mrówki. Mogły się każdej chwili załamać.

Ruszył i znowu przystanął, ciężko dysząc.

Wtedy poczuł czyjeś ramię pod swoim ramieniem: ach, to panna Katarzyna podbiegła z pomocą.

- Niech się pan nie wysila, drogi panie! mówiła głosem ciepłym i tkliwym. - Powoli, powoli! Niech się pan na mnie oprze... Tak, tak. A teraz śmiało!

On, na poły tylko przytomny, niewiele rozumiał z tych słów, lecz czuł, że go prowadzi ktoś silny i rozważny. Znowu uczynił krok.

- Dalej! dalej! - zachęcał go głos.

Jeszcze jeden krok... Idzie! O, Boże Wszechmogący! Idzie! Zrobił pięć kroków, całych pięć kroków po raz pierwszy od lat pięciu, za każdy rok krok jeden. W głowie mu szumiało, usta drgały. Panna Katarzyna wolną ręką otarła pot z jego czoła. Wtedy, spojrzawszy przytomniej, dojrzał z bliska jej zatroskane oczy i uśmiechnął się ledwie widocznym uśmiechem, a kiedy ścierała krople potu z jego twarzy i rozdrzanymi ustami dotknął jej ręki.

- Chodzę!... - szepnął.

- Tak, tak! - I będzie pan chodził... Panie Adamie, prędko krzesło! Nie tę maszynę na kółkach, lecz zwykłe krzesło. Chłopcy, pędźcie pomóc Zosi!

Dziurawiec postawił krzesło na tarasie.

- Może do domu? - zapytał cicho.

- Nie, nie! Panu będzie najlepiej na słońcu! Prawda?

Pan Wojciech skinął głową. Z pomocą panny Katarzyny postąpił jeszcze o dwa kroki, po czym, usadowiony na krześle, ciężko oddychał.

Znowu spojrzął ze zdumieniem na swoje nogi.

Wysunął jedną przed siebie - udało się. Wysunął ostrożnie drugą - udało się! Znacznie już oprzytomniawszy, spojrzął na nich i szepnął:

- Bóg jest dobry...

- O tak, o tak! - odpowiedziała panna Katarzyna.

- To cud, to jawny cud! - wołał z zapalem Dziurawiec.

Mościrzecki przytknął oczy, lecz je szybko otworzył.

- Co Maciuś?...

Właśnie nadbiegł Ralf z wiadomością.

- Co z Maciusiem, Ralfie? Mów prędko!

- Wszystko dobrze. Nic mu nie będzie, tylko się bardzo przestraszył. Już leży w łóżku, ale i on pytał...

- O co pytał?

- Pytał, czy dziadzio, który go wyratował, o czym się dowiedział od matki, jest też zdrow - opowiadał Ralf uszczęśliwiony.

Mościrzecki słuchał tych słów uważnie i jakiś tkliwy uśmiech jak pszczoła zaczął krążyć dookoła jego zbiegających warg. Ciężkie, mleczone mgły poczęły opadać z jego

świadomości, rzednąc i niknąc. Czuwano przy nim troskliwie, a po niejakiem czasie panna Katarzyna, po cichej naradzie z Dziurawcem, powiedziała wesoło:

- Drogi panie! Trzeba pójść do domu. Słyszysz pan: pójść!

- Dobrze... - odpowiedział łagodnie.

Mocno o nią wsparty, podniósł się i szedł, szedł, szedł.

Prędzej natomiast szła wieść o jego niemal cudownym uzdrowieniu. Na folwarku wywołała wstrząsające wrażenie. Szybko dotarła do miasteczka, wreszcie zapukała do drzwi doktora.

- Pan znowu tu? - zdumiał się lekarz ujrawszy Ralfa.

- Jako poseł! - zaśmiał się Piegowaty. Mam pana doktora zabrać natychmiast do Przypłocia. Zdarzyły się tam niesłychane rzeczy!

Lekarz słuchał niedowierzająco.

- Zawsze mówiłem - mruknął wreszcie Że pan Mościrzecki mógłby być chodzić, ale był za leniwy i za ciężki, i po prostu mu się nie chciało. Ano zobaczymy.

Toteż zobaczył pana Mościrzeckiego, który groził ongi, że odgryzie ucho lekarzowi, jeśli mu je zechce przyłożyć do piersi, cichego i łagodnego. Patrzył na lekarza z tłumionym niepokojem, pozwalając badać się cierpliwie.

- Panie drogi! - rzekł lekarz. - Jest to wypadek, który powinien zostać opisany we wszystkich medycznych pismach. Pański organizm zrobił najlepszy dowcip, o jakim zdarzyło mi się słyszeć przez trzydzieści kilka lat praktyki. Pan wyratował me tylko tonące dziecko, pan wyratował samego siebie. Ha! Z tego widać, że czasem opłaca się nawet bohaterstwo. Podziwiam pana, szczerze pana podziwiam, a pan zapewne wie o tym, że dotąd mało byłem bliski tego uczucia.

Pan Mościrzecki ścisnął jego rękę i śmiał się.

Lekarz odbył długą naradę z panną Katarzyną i z panią Zofią i nakazał przede wszystkim sprowadzić z Warszawy biegłego masażystę, który miał nogi pacjenta nauczyć nowego szaleństwa. Posiedział potem przez całą godzinę przy Maciusiu, z którym nie chciał się rozstać, zapytał Ralfa wesoło, czy już mu się zagoiły rany w duszy, wreszcie zaczął się żegnać niechętnie, tak mu się podobali ci obcy ludzie.

Z najwyższym podziwem przyjrzał się fryzurze Dziurawca, którego dobrze znał, i odjeżdżał zadumany, nie mogąc pojąć tych wszystkich cudów, które się ryczałtem wydarzyły w ponurym i zatęchłym Przypłociu.

Ponurość wyniosła się z tego domu sama, bez niczyjej namowy, a stęchliznę zaczęła miotłą wyganiać ciocia Kasia. Zawsze jednak znalazła chwilę czasu, aby zajrzeć do pana

Wojciecha, przy którym na odmianę czuwali chłopcy. Brali go ostrożnie pod ramiona i uczyli niezbyt złożonej i niezbyt wymyślnej sztuki chodzenia, w której nadludzko szczęśliwy uczeń czynił znakomite postępy. Ralf wyprawiał przy tej sposobności najdziwniejsze awantury, tak że w pokoju pana Wojciecha panował ustawiczny rozgardiasz, co się staremu człowiekowi nadzwyczaj podobało.

Gdy jednego dnia pozostał sam z Ralfem, rzekł cicho:

- Chłopcze złoty, mam do ciebie wielką prośbę... Ale nikomu nic nie mów!

- Chybaby mi wydarto serce! - odrzekł Ralf, podnosząc dwa palce jak do przysięgi.

- Podyktuję ci pewien list... Potem go podpiszę... A ty będziesz tak dobry, zaniesiesz ten list...

- Daleko?

- Niedaleko... Do klasztoru...

Ralf spojrzał na niego uważnie i z powagą.

- Uczynię to z największą radością. Proszę dyktować!

Mościrzecki długo się zastanawiał i pracowicie dobierając słów, dyktował uniżony, ale i wzruszający list do przeora. Pisał w nim, że dożył niezmiernej bożej łaski i pod koniec twardego a mało pożytecznego życia spotkało go niezasłużone szczęście. Dziękował za modlitwy, których nie był godzien. Teraz dopiero rozumie, rozmyślając o dobroci Boga i ludzi, dlaczego go ogarnia i wielki żal, i wielki wstyd. Żałuje niezmiernie, że żył tak, jak żył. Niech mu ksiądz przeor zechce przebaczyć. I niech mu i to przebaczy, że gnębił klasztor procesem, który natychmiast zostanie przerwany, gdyż się wreszcie przekonał, że istnieją na świecie ważniejsze sprawy niż posiadanie jeszcze jednego kawałka ziemi.

- Chłopcze, co robisz? - zapytał cicho.

- Dziękuję panu za ten list! - mówił Ralf głęboko wzruszony, całując starczą jego rękę.

- Ach, dziecko, dziecko!... Poczciwy chłopcze!... Daj list, niech podpiszę...

Głos jego drżał i drżała ręka.

- Idź z tym prędko i nikomu ani słowa.

Dziękuję ci, najmilszy chłopcze!

Najmilszy chłopiec odbył wspaniały bieg do klasztoru i zdyszany wręczył list zdziwionemu staruszkowi. Ze szczęśliwym uśmiechem patrzył w jego twarz, która mieniła się podczas czytania. Przeor przecierał czasem oczy, jak gdyby im nie dowierzał, a czasem wydawał radosne okrzyki.

- Młodzieńcze! - zawołał. - Dawno nie miałem tak szczęśliwego dnia. Ależ to są niesłychane rzeczy. Opowiedz mi, jak to się wszystko stało?

Ralf gadał długo z zapalem i kwieciscie, a staruszek sluchal wniebowziety .

- Powiedz panu Mościrzeckiemu, ze jest zacnym czlowiekiem. Sam mu to zreszta powiem, bo go natychmiast odwiedzę, skoro mi dacie znać, ze go moje odwiedziny nie zmęczą.

Nie zapomnij mu powiedziec, ze mnie uszczęśliwil. Nie tym, ze przerwie proces, bo co tam marny proces! Tym mnie uszczęśliwil, ze odnalazł własną duszę.

Ralf powtórzył panu Mościrzeckiemu każde słowo przeora, a on, sluchając, nie spuścił z niego oka, jakby - zachłannie ciekawy - chcial wpierv ujrzeć słowa, zanim powoli do niego dotrą. Rad był niezmiernie z zapowiedzi odwiedzin.

- A potem ja do niego pójde! Prawda, Ralfie, ze pójde?

- Ani przez chwile o tym nie wąpię! zaśmiał się Ralf.

Wszyscy zaczęli w to wierzyć, ze pan Wojciech będzie chodzie na własnych nogach. Masażysta męczył go i dręczył, miętosił, szczypał i naciskał, tak ze daleko rozchodziły się ciężkie, obolałe westchnienia, miało to jednak skutek przedziwny, a doktor, codziennie się zjawiający, promieniał.

- Nie widziałem czegoś podobnego! - mrucał zadowolony i szedł na pogawędkę do Maciusia, którego sobie ponad wszystkich upodobał.

Wypytywał panią Zofię, od kiedy i dlaczego chłopczyk jest niewidomy, i wyliczał jej nazwiska wszystkich słynnych specjalistów, które ona skrzętnie notowała.

- Może sobie jeszcze którego przypomnę i powiem pani jutro, a teraz idę na poszukiwanie Dziurawca, aby mu zrobić awanturę!

- A potrafi pan doktor? - śmiała się pani Zofia.

- Czy potrafię? Proszę pani! Ja potrafię uderzyć nawet pięścią w stół! - zakrzyknął groźnie. - Maciusiu, a ty czemu się śmiejesz?

- Bo pan tak śmiesznie krzyczy - odrzekł Maciuś. - Ale ja się pana wcale nie boję! - Nie boisz się? - A wolno wiedziec, dlaczego?

- Bo pan jest strasznie kochany.

Doktor łypnął oczami, ramionami z politowaniem wzruszył i wyszedł, aż do jutra głęboko obrażony.

- Hej, kowboju! - wołał ujrzawszy Ralfa. - Gdzie może być w tej chwili niejaki Dziurawiec?

- Tam gdzie ciocia Kasia - odrzekł Ralf, który się bardzo spieszył, bo szedł pisać dwudziesty piąty list jubileuszowy.

- Tam gdzie ciocia Kasia! - gadał doktor sam do siebie. - Co to ma znaczyć? Czy ten młokos żarty sobie stroi?

Usłuchał jednak rady i znalazłszy pannę Katarzynę, znalazł i Dziurawca. Przyjrzał się jego wniebowziętej minie, przyjrzał się cioci Kasi i coś mu zaczęło świtać w głowie.

“Zdaje się, że Jankes coś wie” - pomyślał.

Potem gwałtownie natarł na Dziurawca:

- Proszę pana! Co to wszystko znaczy?

- Co ma coś znaczyć? - zapytał Dziurawiec, patrząc mu prosto w oczy.

- Przed trzema dniami przysłał mi pan dwa indyki, przed dwoma dniami trzy gęsi i trzy kaczkę, wczoraj cielaka, a dzisiaj kopiasty wóz z drzewem.

- To z polecenia pana Mościrzeckiego. Ralf twierdzi, że w mieszkaniu pana doktora jest zimno, więc posłaliśmy panu drzewo, a pan Mościrzecki twierdzi, że pan mizernie wygląda, więc kazał posłać rozmaite pożywne stworzenia.

- Panie Adamie! Zapomniał pan o rybach - przerwała ciocia Kasia.

- Ach, prawda! Jutro pošlę ryby.

Doktor potarł ręką czoło i rzekł z goryczą:

- O obecnych się nie mówi, ale mam wrażenie, że w tym domu wszyscy powariowali!

- Może pan mówić i o obecnych! - zaśmiała się ciocia Kasia. - A wie pan, czemu powariowali? Z wielkiej radości!

- I pani też?

- I ja też.

- Moje uszanowanie państwu! - zakrzyknął doktor, pognębiony tego dnia po raz drugi.

Skwapliwie jednak powracał co dnia z wiecznym zamiarem urządzenia “piekielnej awantury”, mizerne atoli byłoby to piekło, w którym tylko takie działyby się awantury. Pan Mościrzecki witał go coraz weselszy i począł stroić żarty. Chodził coraz lepiej. Oparty na dwóch laskach, stąpał powoli i dochodził aż do terasy, na której odpoczywał.

- Dwie laski to przesada! - burknął lekarz.

- I mnie się tak zdaje! - zaśmiał się pan Wojciech i cisnął jedną laskę daleko od siebie.

Był to wielki dzień - “dzień jednej laski” a każdy następny nowo rodził wzruszenia. Gdyby pan Mościrzecki znał płomienną, miłosną apostrofę podszeptaną Ralfowi przez Jana, mógłby, odmieniwszy ją cokolwiek, powiedzieć:

“Chodzę dziś lepiej niż wczoraj, a gorzej niż jutro”!

Wreszcie i masażysta odjechał, a lekarz zjawiał się coraz rzadziej. Pan Wojciech, na jednej tylko wsparty lasce, w towarzystwie któregoś z chłopców, odbywał coraz dłuższe wędrówki. Dnia jednego obszedł dokoła sadzawkę, przystanąwszy jedynie na dłuższą chwilę w tym miejscu, w którym wyciągnął z wody Maciusia.

Nie było już na Bożej ziemi dawnego Mościrzeckiego. Umarł i pogrzebion w niepamięci. A ten nowy, z ostrożną stąpający powagą, miał twarz jasną i spojrzenie dla wszystkich Życzliwe. Gdy Maciusia wypuszczono z łóżka i przyprowadzono do niego, aby mu podziękował, nowy Mościrzecki wziął go na kolana i przytuliwszy do serca, gorąco ścisnął.

- Nie on mnie powinien dziękować, lecz ja jemu. Niech cię Bóg błogosławi, dziecko najdroższe... Obym dożył tej chwili, w której ty... w której ty...

Pani Zofia, przez łzy na nich patrząca, położyła ostrzegawczo palec na ustach. Nie należy wspominać o zamartwych oczach.

Tego dnia przy obiedzie - a teraz jadano wspólnie w pokoju pana Wojciecha - rzekł donośnym głosem:

- Musicie tu wszyscy pozostać!

Spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Mój dom jest waszym domem, mój chleb jest waszym chlebem. Uczynicie mi tę wielką łaskę...

Patrzył na nich błagalnym wzrokiem i na każdej twarzy ujrzał wzruszenie.

- Ja zostanę! - zawołał radośnie Maciuś.

- Cudownie! - mówił gorąco pan Wojciech. - Tam gdzie zostanie Maciuś, zostanie i pani Zofia.

Zaczęła mówić powoli panna Katarzyna:

- Wszyscy zapewne radzi by tu zostać z serca i z duszy, ale nie każdy będzie mógł. Ralf będzie musiał powrócić do Ameryki.

- Ciociu! Sądząc z tego, co mi piszą rodzice, nie ja wrócę do Ameryki, ale oni wrócą do Polski. Przez jakieś plotki dowiedzieli się o mnie rozmaitych dziwnych rzeczy i chcą koniecznie zobaczyć... Ale mniejsza o to! Mnie jest tu tak dobrze, jak nigdzie na świecie, i mam tu...

- Wiem, wiem! Starych znajomych...

- Skąd ciocia wie?

- Też przez plotki. Byłoby to ślicznie, drogi chłopcze, gdybyś z nami pozostał. A inni? Chłopcy będą musieli wrócić do nauki, ale mogą pana często odwiedzać.

- A pani, droga panno Katarzyno?

- Ja? - mówiła z tajemniczym uśmiechem. - Ja pozostanę z wszelką pewnością albo tutaj, w pańskim domu, albo w pobliżu.

Jan trącił nieznaczenie w bok Józefa, Józef Ralfa, a Ralf Dziurawca.

- Dobrze będzie i tak! - rzekł pan Wojciech. - O jedno tylko proszę z całego serca: pamiętajcie, że was uczciwie pokochałem i że to, co jest moje, jest i wasze!

Zdaje się, że te słowa zostały uwiecznione w urzędowym dokumencie, albowiem we dwa dni później Dziurawiec przywiózł ze stacji kolejowej w wielkiej tajemnicy jakiegoś poważnego pana, który piastował pod pachą skórzaną teczkę. Z panem tym zamknął się Mościrzecki na długie godziny, po czym wezwano Dziurawca i poproszono obecnego właśnie doktora, aby i oni mieli niewątpliwą przyjemność pogadania z panem ze stolicy i położenia swych podpisów na dokumencie. Jedna ciocia Kasia wiedziała po upływie godziny, że gość ten był rejentem, drugim w tym domu, lecz nie tak złośliwym, jak ów z zamierzchłej przeszłości. Dziurawiec nie miał tajemnic przed panną Katarzyną.

Podczas poufnej z nią rozmowy przypomniał jej z żarliwą skwapliwością o układzie z Mościrzeckim, że tak długo będzie trwał na wiecznej u niego służbie, jak długo Mościrzecki nogi będzie miał zmartwiałe. Stał się nieoczekiwany cud i oto on, Dziurawiec, wolny jest od wszelkiego przyrzeczenia. Jest wolny i teraz pójdzie szukać własnego szczęścia z nią, najdroższą, jedyną, uwielbianą, promienistą, niezrównaną Katarzyną!

Panna Mościrzecka zamyśliła się głęboko.

Nie panna Katarzyna ani ciocia Kasia, lecz wyraźnie panna Mościrzecka ze starego rodu tego nazwiska.

- Najmilszy panie Adamie! - mówiła z głębokim namysłem. - Trzeba tę sprawę raz jeszcze rozważyć. Tyle zmian zaszło w tym domu, że nie należy postępować zbyt pochopnie. Zaczynam myśleć o tym, czy nie moglibyśmy oboje pozostać w tym domu. Z dawnym Mościrzeckim nie wytrzymałabym nawet miesiąca, lecz z tym nowym, z tym dziwnie nowym, możemy przeżyć nawet lata. Niech mi pan wierzy, Adamie, że będzie nam tu dobrze. Nasz domek, nasz, panie Adamie, będzie na nas czekał cierpliwie, chyba że miasteczko spłonie. A my tu we dwoje będziemy wspierać i podierać pana Wojciecha.

Czy dobrze mówię?

On spoglądał na nią z zachwytem i chciał znowu paść na kolana, ale ona objęła go i położyła mądrą głowę na jego ramieniu.

Wyglądali prześlicznie: jak Eros i psyche, tylko że już w późniejszym wieku.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

**w którym w którym zjawia się straszliwy Żubrowski, a Mościrzecki na ucztę
wszystkich prosi, prócz autora tej książki**

Pan Wojciech używał teraz w obfitości takich słów jak: - “pójdźmy” - “chodźmy” - “już trzeba iść” - “na przechadzkę, chodźmy na przechadzkę!” - jak gdyby każde słowo na własnych chodziło nogach. Wyrazami określającymi bezruch, siadanie lub leżenie pogardzał.

Wszystko go zaczęło interesować. Z żywym zajęciem przyglądał się malowaniu Józefa lub słuchał opowieści Ralfa o Ameryce. Mogło się zdawać, że przez lat kilka spał w letargu, a teraz dowiaduje się łakomie, co się przez ten czas wydarzyło na świecie. Z wesołym naigraniem się rozprawiał o ponurym kuzynie, aptekarzu Alojzym, i rad o tym wspominał, że nieszczęśnik ten spłacił długi jego pieniędzmi.

- A wiesz, Ralfie - mówił jednego razu - że ja jestem brzydkim kłamcą?

- Nic, co ludzkiego, nie jest mi obce! odrzekł Ralf z powagą. - Ja też czasem zelżę.

Ale pan?!

- Udawałem przed wami głodomora, a jadłem jak żarłok.

- No to i co? - zaśmiał się Ralf. - Nie tylko, żeśmy wiedzieli. ale też jedliśmy zdrowo.

Łgarstwo jest pospolitym grzechem całej ludzkości. Pan Dziurawiec też łgał, kiedy kazał panu powiedzieć, że zastrzelony kozioł przywałęsał się z lasu sąsiada.

- Nie może być! - uradował się Mościrzecki. - A cóż to za chytry człowiek!

- To nie on wymyślił, to wymyśliła ciocia Kasia.

- I ona kłamie? Nie do wiary!

- Filozofowie twierdzą, że kobiety umieją to lepiej niż mężczyźni.

- A pani Zofia nigdy nie kłamie!

- Przeciwnie. Czyni to częściej niż my rzekł Ralf, nagle zasmucony. - Niech pan kiedy posłucha, jak pani Zofia zmyśla, rozmawiając z Maciusiem. Często się śmieje, a właśnie wtedy ma w oczach łzy. Zapewnia swoje najdroższe dziecko, że na świecie jest zupełnie ciemno, chociaż dzień jest promienisty, aby go pocieszyć. Zmyśla, że deszcz pada, kiedy Maciuś jest zaziębiony i trzeba go przetrzymać w łóżku.

O, jak jeszcze i jak bohatercko kłamie pani Zofia!

- Mój Boże, mój Boże! - szeptał Mościrzecki. - Ralfie złoty ... Może w Ameryce są tacy doktorzy, co by potrafili przywrócić mu wzrok?

- Po co szukać w Ameryce? Znajdziemy ich w Polsce!

- Oddałbym cały majątek - mówił pan Wojciech gorąco. - Razem ze skarbem rejenta!

Milczeli przez czas długi, rozmyślając o nieszczęściu Maciusia, gdy wtem posłyszeli podniesione głosy.

- Co się stało? - zapytał niespokojnie Ralf.

- Chodźmy do nich czym prędzej! To gdzieś koło baszty.

Ralf podał mu laskę i jak tylko można było najszybciej, poszli w tamtą stronę.

- Pali się? - wołał Ralf.

- Nie! - odkrzyknął Jan. - Ciocia Kasia gada o czymś przez okno.

Wszyscy niemal zebrani byli pod basztą.

- Ciociu Kasiu! - wrzasnął Ralf. - Co się cioci stało?

- Mnie nic! Ale znalazłam...

- Co?

- Żubrowskiego! - odkrzyknęła ciocia. Zaraz schodzę.

Po chwili zjawiała się zakurzona i umorusana.

- Żubrowski jest w baszcie!

- Trup? - jęknęła pani Zofia.

- Nie trup, ale szczątki.

- Chodźmy tam! - rzekł wzruszony pan Wojciech.

- Nie ma po co. Chłopcy! Idźcie na górę i znieście go tutaj. położyłam go na śmieciach, tuż koło drzwi, więc łatwo znaleźć.

- Na śmieciach? Zwłoki! Kasiu! jak mogłaś? - rzekła pani Zofia z rozżaleniem.

Dla Mościrzeckiego ustawiono krzesło w dolnej izbie baszty.

W tej chwili nadbiegł zdyszany Dziurawiec, powitany uśmiechem zakurzonej oblubienicy. - Chłopcy przyniosą zaraz Żubrowskiego...

Oto już są!

Ralf, skacząc przez cztery stopnie, zbiegł pierwszy.

- Ciociu, co to znaczy? Przecież to tylko...

Proszę patrzeć!

Jan i Józef nieśli drewnianą tarczę, do której przymocowane były dwa kręte, straszliwe rogi zubra. Na tarczy widniał napis, jakim zawsze myśliwi uwieczniają swoje zdobycze: "Białowieża - grudzień 1801 roku".

- To tylko rogi! - zawołał Mościrzecki, stwierdzając niewątpliwą oczywistość.

- To jest ów nieszczęsny Żubrowski! - zaśmiała się panna Katarzyna. - Proszę spojrzeć... o tu.

Pochyliły się liczne głowy nad napisem, wrytym ostrym nożem na odwrotnej stronie deski. Ralf czytał głośno:

“Jestem Żubrowski, choć już bez brody i już bez garbu, Ale rogami strzec będę skarbu!”

- Co to znaczy? - jęknął Jan.

- To znaczy, że skarb jest w tych rogach.

- Niemożliwe... Przecież to niewielkie rogi... To jest tylko myśliwska pamiątka.

- Zaraz zobaczymy. Panie Adamie! Niech pan znajdzie jakieś żelazne narzędzie. Trzeba je odciąć od deski!

- Obejdzie się bez narzędzi - zawołał Ralf. - Te rogi się odkręcają!

Obiema rękami chwycił jeden, a Dziurawiec drugi.

- Już! W środku są pełne.

- Dukaty? - szepnął Józef.

- Nie wiem... Coś miękkiego... A cóż u licha!

Wydobył najpierw papier, a potem niewielkie zawiniątko i nagle począł kichać przeraźliwie, a w ślad za Ralfem Dziurawiec. Kichnęła ciocia Kasia zapewne z miłości do Dziurawca, kichnął potężnie Mościrzecki.

Ralf rzucił na stół jedno zawiniątko, a Dziurawiec drugie, dobyte z drugiego rogu. Bracia patrzyli jak urzeczeni.

- Czytać, czytać! - zawołała ciocia Kasia. - Ja już wiem, co jest w tych paczuszkach, ale list będzie zabawny. Dawajcie papier!

Pisanie było obszerne. Nieboszczyk rejent oznajmiał na początku, że uczynił wielki wynalazek, a oni po wielu latach powinni na tym wynalazku zrobić ogromny majątek. Niech tylko pilnie trzymają się tego przepisu, który dołącza do listu. Bernardyn Kiszka też uczynił odkrycie, ale gdzie tej tępej pale do jego rozumu! Więc go kwestarz szpieguje, więc ze skóry wyłazi, aby podpatrzeć, czego rejent używa do swojej fabrykacji. Dlatego rejent użył podstępny i w rogi tego żubra, niezmiernie chytrze nazwanego Żubrowskim, wkłada to, co w chwili obecnej jest może niczym, lecz za lat pięćdziesiąt będzie rarytatem.

- Niech ktoś czyta dalej! - rzekła ciocia Kasia - bo ja znowu zacznę kichać!

Znowu ją, jak niedawno, zastąpił Ralf. Czytał:

“...Bernardyński wyrób nie jest wart funta kłaków! Bernardyni myślą, że co oni potrafią, tego nie zdoła wymyśleć nikt inny, a ja przecież wymyśliłem. A wy, najmilszi potomkowie, korzystajcie z tego w całej pełni. Załóżcie wielką fabrykę i zalejcie cały kraj!

Nigdy i nikomu pod żadnym pozorem nie zdradzajcie recepty tej najwyborniejszej miszkulancji, którą można będzie sprzedawać na wagę złota. W rogach imci Żubrowskiego zostawiam dwie paczki, abyście się mogli przekonać, że to, co ja sporządziłem, ani przez pół wieku nie traci zapachu ni mocy...

- Na zdrowie! - zawołała wesoło ciocia Kasia, bo Ralf kichnął.

- Dziękuję. Słuchajcie dalej:

“...Takiej tabaki, jak moja, nie ma w żadnym bernardyńskim klasztorze!”

- Czego? - wrzasnął Jan.

- Tabaki! - z anielskim uśmiechem odrzekł Ralf. - Czy dopiero teraz pojąłeś, człowieku, ciemny jak tabaka w rogu? Nie przeszkadzaj! Czytam dalej:

“...Dlatego chciałem użyć wszelkich sposobów, aby jej spróbował sam wielki Napolion! A robi się ją tak: Z liści tytoniu powymyj wszystkie żyłki i włóż one liście w sos, którego się składa z wody, wina czerwonego i z winnego kamienia. Jeśli ten sos będzie gorący, tabaka czarna będzie. Pamiętajcie o tym! I o tym też, że wino czerwone moim jest wymysłem, o czym bernardyński klecha najbardziej dowiedzieć się pragnął. Złóżcie potem liście namoczone, aby wyschły, zaczem masę tę wysuszoną mleć należy na proszek, przesypać solą i raz jeszcze poddać fermentacji. Ale najważniejsze teraz dopiero uczynić należy! Długo szukałem, nim odkryłem, że aby tabaka moja najwyborniejsza była na świecie, trzeba do owego gotowego już proszku domieszać na jeden łut trzy ziarenka kawy dobrze upalanej i utłuczonej w młódku. Nie dostoi jej wtedy ani francuska rappa, ani angielska, ani żadna! Wtedy nic jej nie dorówna, gdyby zaś dla delikatnych dam przeznaczona być miała, należy ją uczynić pachnącą, dodawszy szczyptę macierzanki tartej lub innego pachnącego zioła.

- Oto jest skarb ponad wielkie skarby! To jest majątek niewyczerpany, które wam, o potomkowie, z całego serca oddaję i niczego innego za to nie żądam, jeno szczerej, wdzięcznej modlitwy za niegodną i grzeszną moją duszę!”

- To koniec? - krzyknął Jan.

- Mało ci? Już koniec! Co się panu stało? dodał z niepokojem.

Wszyscy spojrzeli na pana Mościrzeckiego, - przelękli w pierwszej chwili, lecz natychmiast odetchnęli: pan Mościrzecki śmiał się! Śmiał się twarzą, rękami i brzuchem. Drgał w ogromnym napadzie radości, ryczał i huczał. A śmiech ten był tak zaraźliwy, że powoli zaczęli się śmiać wszyscy, cicho z początku, a wnet z radosną wrzawą.

- Czego stoicie jak struci? - rzekł Ralf do braci.

- Dobrze ci się śmiać... - mruknął Jan.

- Ładny skarb! - wrzasnął Józef. - To istotnie śmiechu warte!

Wobec takiego oświadczenia zaśmiał się i on, tak jakoś wykrzywiwszy oblicze, jakby go zęby bolały, ale przy dobrych chęciach można było te szatańskie grymasy uważać za śmiech osobliwego rodzaju. Jan był twardszy i bardziej zawzięty, ale i on zapowiadał grymasami sympatycznej gęby, że się niedługo roześmieje.

Rzecz dziwna! Z chwilą, gdy spodziewane miliony okazały się dwiema paczkami tabaki, ze wszystkich udręczonych dotąd serc spadły kamienie i potoczyły się po ziemi. Wszystkim uczyniło się lżej. Miliony są - z tego sądząc wielkim i nieznośnym ciężarem dla serc prostych i zdrowych. Panna Katarzyna i Ralf, jakby przeczuciem wiedzeni, zrezygnowali z nich od razu. Marzyli o nich dwaj bratowie, a pożądał ich najbardziej pan Mościrzecki, a on w tej chwili śmiał się najgłośniej, jak gdyby był szczerze rad, że ich nie dostał.

Nadszedł na niego nowy atak śmiechu.

- Panno Katarzyno złota! - mówił, Śmiechem opryskując każde słowo. - Powiedziała pani niedawno, że aptekarz był z nas wszystkich najsprytniejszy. Czy ten czarny człowiek czegoś się domyślił?

- Wszystkiego się domyślił! Ja domyślałam się również, lecz nie byłam pewna, a on więcej wyczytał w tamtym liście niżli my wszyscy.

Dodał bernardyna do Napoleona, z których jeden kwestarskim zwyczajem fabrykował tabakę, a drugi namiętnie ją zażywał, i już był na tropie. Kiedy zaś, zbliżywszy nosy do pisma rejenta, zaczęliśmy wszyscy kichać, dowiedział się jeszcze więcej. Musiały go zapewne uderzyć słowa o "bogactwie, co się nie wyczerpie nigdy", i o nakazie zachowania tajemnicy. Szybko myślał i dobrze myślał! Do licha z tą tabaką! W życiu moim nie kichnęłam tyle razy, co dzisiaj. Chodźmy stąd!

- Chodźmy! - powtórzył z radością Mościrzecki. - Panie Adamie!

- Słucham pana...

- Niech pan porozmawia z kucharzem. Dzisiaj wieczorem chodzący na własnych nogach Wojciech Mościrzecki urządza wielką ucztę z powodu odnalezienia rodzinnego skarbu. Niech kucharz stanie na głowie, bo przyjęcie ma być pierwszorzędne! Śmiem prosić wszystkich tu obecnych, aby zechcieli zaszczyścić mnie dzisiaj wieczorem swoim przybyciem. A niech pan łaskawie nie zapomni o winie! Kochany pan ma klucz od piwnicy?

Dziurawiec oblał się ciemną chmurą.

- Klucz mam, ale w piwnicy niczego nie znajduję. Są tam wprawdzie omszałe butelki, ale w butelkach jest woda!

- Skąd pan wie o tym?

- Bo i ja chciałem, w pańskim imieniu oczywiście, urządzać małe przyjęcie...

- Aha! - nowym śmiechem wybuchnął pan Wojciech. - Tak, tak, istotnie! Ale ja chciałem kucharza nauczyć picia wody. Niech pan nie szuka w piwnicy! Wszystkie uczciwe butelki są już od dawna w izbie za moim pokojem, bo je tam przed laty chyłkiem przeniosłem.

- Ja się tym zajmę! - zawołał z wielką skwapliwością Ralf.

- Ci dwaj młodzieńcy mi pomogą.

W powrotnym pochodzie zatabaczone zastępy wiódł sam Mościrzecki. Długo się potem stroił, miłego Ralfa wezwawszy na pomoc, po czym Ralf, wezwawszy dwóch asystentów, zajął się przyozdobieniem biesiadnego stołu.

- Nie martwcie się, pawiany, bo wszystko będzie dobrze! - szepnęły im w przelocie, a oni spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

Cały dom wrzał i huczał.

O godzinie siódmej zabrzmiał przeraźliwy gong, w który Ralf bił z taką mocą, jak gdyby chciał w nim wybić dziurę. Bracia zapalali woskowe świece i ustawiali je na stole, na którym na bieli obrusa krwawiły się pęki jarzębin. Twórcą tych niebywałych dekoracji był malarz Józef, muzyk natomiast buszował po obszernym mieszkaniu pana Wojciecha, który używał jednego tylko pokoju, z kilku innych poczyniwszy składy zapasów win i miodów, aby wszystkie smakowite rzeczy mieć pod ręką. Dziewicza ta puszcza czekała na swego Stanleya, na ciocię Kasię, która i tutaj wjedzie kiedyś na swojej triumfalnej miotle! Muzyk pomyślał, że Mościrzecki mógłby z największą łatwością wytrzymać rok obłężenia. Starannie dobierał butelki pełne potężnej treści dla rodzaju męskiego, a inne, napełnione złotą, słoneczną słodyczą, dla dam. Obaj bracia tak byli zajęci przygotowywaniem uczyty, że zapomnieli o sromotnej klęsce i o pomyłonym rejencie.

Tuż obok Mościrzecki gadał z Ralfem, wciąż wybuchając śmiechem, cud bowiem dokonał się w takich rozmiarach, że nikt inny, tylko on, był najweselszym człowiekiem w Przypłociu z okolicą. Odział się dostojnie, czarno, wąsy przystrzygł starannie, a szeroką pierś osłonił puklerzem rozłożystego krawata, w który wpiął iskrzący się brylant. Oparty na lasce, stał u drzwi i witał gości. Weszła zatroskana i zamyślona pani Zofia z Maciusiem, za czym Dziurawiec niezwykle starannie odziany, wreszcie panna Katarzyna, jesienna panna Katarzyna, lecz taka jakoś urocza, że miło było na nią spojrzeć. Dusza jej musiała zapłonąć słonecznym blaskiem, bo przez szybki oczów przeglądała łagodna jasność. Mościrzecki, do niedawna niezbyt nią oczarowany, patrzył na nią w tej chwili z nie tajoną przyjemnością.

Szerokim ruchem ręki wskazywał im miejsca, a sam, jako patriarcha rodu, zajął naczelne. Był zgoła szczęśliwy i promieniał. W jego mrocznej jaskini było jasno, złociście jasno, gdyż płonął cały las złotych, woskowych świec, było ciepło i przytulnie, a dokoła zebrali

się ludzie dobrzy, życzliwi i przezacni. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy mu w życiu było tak dobrze. Chyba nigdy. Najpierw wałęsał się długo po świecie, chwytając w łapczywe ręce wszystko, co się tylko dało pochwycić, a potem, zdruzgotany, kwaślił się i kisił w bezsilnej goryczy.

Wszystkim im było dobrze, wszyscy mieli twarze pogodne, tylko panią Zofię coś dręczyło.

- Co ci jest? - szepnęła Kasia.

- Ja muszę oddać pieniądze... - odrzekła cichutko.

- Oddasz jutro. Dzisiaj o tym nie wspominaj.

Uczta rozpoczęła się w skupionym milczeniu, które tając poczęło po chwili jak cienki lód w słońcu. Kucharz musiał wiele wypić, bo widać było, że tworzył w natchnieniu. Trzeba by być Słowackim, który opisał święcone u Radziwiłła Sierotki, aby godnie wysławić ucztę u Mościrzeckiego Sierotki. Wspaniałe wino rozpogodziło umysły i wywiało z nich resztki mgieł troski czy zawodu. Zaczęli gadać bujnie i wesoło, a Ralf, który tuż przed ucztą otrzymał wonny jak wiosna list od starego znajomego, szalał jak żrebię na łące. Ślepy chłopczyzna zaśmiewał się z jego obłąkanych konceptów, a Mościrzecki spoglądał na niego z zachwytem.

A z miłością patrzył na wszystkich. Serdecznie uśmiechnięty, przepił do Dziurawca, a po jakimś czasie zaczął mówić donośnie:

- Moi kochani! - Nie, to za mało... Moi drodzy! Kiedy dzisiaj najmilsza nasza panna Katarzyna odnalazła tajemniczy skarb rejeta, myślałem przez chwilę, że umrę ze śmiechu.

Potem jednak poważniejsze myśli zjawiły się w starej mojej głowie. Pomyślałem mianowicie, że ten wesoły skarb stał się dla mnie największym szczęściem życia, bo gdyby nie ten pomysł rejeta, nigdy nie byłbym poznał was, nigdy nie przybylibyście do tego domu. Nigdy nie zdarzyłoby się w nim to, co się zdarzyło. Moi drodzy! Błogosławię te dwie paczki tabaki i oświadczam uroczyście, że je uważam za wielki skarb!

Tak jest! Szukając tej tabaki, znalazłem najprawdziwsze złoto: waszą przyjaźń, o którą śmiem pokornie prosić, waszą życzliwość i może... Boże drogi!... może nawet odrobinę miłości...

- Kocham pana! - oznajmiła radośnie panna Katarzyna.

- I my, i my! - Z całego serca dziękuję... - mówił dalej, głęboko rozrzuwiony. - Z całego serca... Tym śmielej powiem teraz o tym, co mnie dręczy.-, Otóż, drodzy moi, sprawa z tym skarbem nie jest jeszcze skończona. Kto jest jego właścicielem? Ja i ci dwaj młodzieńcy. Uczciwie kupiłem od innych ich części, oświadczam jednak, że kupiłem zbyt tanio, że zapłaciłem za mało!

- Za tabakę? - wtrąciła nieśmiało pani Zofia.

- Powiedziałem już, że dla mnie jest to złoto, i wedle mnie rację miał rejent pisząc, że nam przekazuje niewyczerpane bogactwo! Czy można wyczerpać bezdenną studnię ludzkiego serca? Pani Zofio! Uważam sprawę kupna za skończoną i tym tylko będę się trapił, że was obdarłem ze skóry.

- Pańskie zdrowie! - huknęła panna Katarzyna.

- Dziękuję! Nie załatwiłem jednak sprawy z Janem i Józefem, więc ich teraz proszę, aby mi odsprzedali swoje części. Chłopcy kochani! Jestem złym człowiekiem i będę się targował. Za odstąpienie mi waszej części skarbu ofiaruję każdemu z was trzy lata pobytu za granicą, z tym jednak warunkiem, że wakacje będziecie spędzać u mnie! Zgoda?

Bracia spojrzeli na niego nieufnie, podejrzewając, że wino było zbyt mocne.

- Klękajcie, dryblasy, przed tym człowiekiem! - krzyknęła niemal z pasją ciocia Kasia. - Drogi panie, niech pan więcej nie mówi, bo się rozbeczę... Jeszczeście nie uklękli?

Oszołomieni chłopcy niemalże chcieli to uczynić, lecz Mościrzecki, rozrzewniony, uściskał ich i ucałował dwie czupryny. Otarł krople potu z czoła, potem zwrócił się do Dziurawca:

- Panie Adamie! Przyrzekł pan, że tak długo pozostanie ze mną, jak długo nogi moje będą bezsilne. Przyrzeczenie to było bohaterstwem z pańskiej strony, znaczyło bowiem, że będzie pan skuty ze mną aż do mojej śmierci.

Stało się jednak to, czego się nikt z nas nie spodziewał, i oto z najgłębszym smutkiem oznajmiam panu, że jest pan wolny. Wiele lat złych i dobrych spędziliśmy razem. Więcej złych niż dobrych. Ja byłem przykry, a pan był anielsko cierpliwy. Był pan zawsze wiernym, uczciwym i szlachetnym człowiekiem... Jutro załatwimy nasze sprawy... Dzisiaj niech pan przyjmie ten skromny upominek...

Wyciągnął wspaniałą brylantową szpilkę z krawata i drżącymi rękami wpiął ją w krawat pana Adama. A pan Adam patrzył na swego niedawnego tyrana z rozrzewnieniem.

- Będzie mi bardzo smutno bez pana dodał Mościrzecki. - Dobrze i to przynajmniej, że będzie pan niedaleko.

- Pan Adam nigdzie nie wyjedzie, ani daleko, ani blisko! - odezwała się mocnym głosem panna Katarzyna. - Omówiłam już z nim tę sprawę i pan Adam będzie szczęśliwy, jeśli zostanie w tym domu.

- Cudownie! - zawołał Mościrzecki, patrząc na nią z zachwytem.

- I ja w nim pozostanę - dodała, ale ciszej. - Jeżeli, oczywiście, pan się na to zgodzi.

Bo w najbliższym czasie odbędzie się u bernardynów ślub Adama Dziurawca z Katarzyną Mościrzecką... - zakończyła niemal ze łzami.

Płomienie świec zadrgały, taki radosny podniósł się wrzask. I Maciuś pisał z uciechy, choć niewiele z tego rozumiał. Radość trysnęła jak fontanna rozperlona i rozszumiana. Panie rzuciły się sobie w objęcia, a pan Mościrzecki ścisnął Dziurawca. Ralf wydawał dzikie okrzyki, a bracia uderzali się rękami po plecach.

- Ralfie, wina! - wielkim głosem wołał pan Wojciech. - Panie i panowie! Musimy uczcić pamięć rejenta. Niech mu Pan Bóg da ciepły kącik w niebie, byle daleko od kwestarza Kiszki! Ani przypuszczał pan rejent, ile nam przekaże radości w dwóch rogach Żubrowskiego.

Pragnąłbym, abyś się, mości rejencie, zjawił w tej chwili pośród nas i ujrział swoje wielkie dzieło! Pragnąłbym...

Kiedy Mościrzecki radośnie wzywał rejenta z zaświatów, stało się coś dziwnego: drzwi rozwarły się z traskiem, a nagły przeciąg zgasił połowę świec.

Mościrzecki przerwał orację, a wszyscy struchleli.

Wtem Maciuś, najczulszym obdarzony słuchem, obwieścił ciekawym głosem:

- Ktoś idzie!

Wstrzymali w piersiach oddechy: w pustej, ciemnej sieni słychać było powolne, ostrożne kroki.

- Rejent! - krzyknęła rozpaczliwie pani Zofia.

We drzwiach stało widmo.

- Doktor! - zawołała panna Katarzyna.

- Przejeżdżałem tędy - mówił doktor i widzę, że w oknach iluminacja. Krzyki słychać aż u bramy, więc wstąpiłem. A wam co się stało? Czemu jesteście tacy bladzi?

Mościrzecki zaczął się znowu śmiać tak serdecznie, że łzy pociekły mu z oczów.

- Ralfie! - wołał - wina, wina dla doktora!

- I okład z lodu na wszystkie głowy! - rzekł doktor, chwytając indyczą nogę.

- A lej do szklanki, nakrapiany młodzińcze, kieliszki są dla małych dzieci!

OD AUTORA

Książka ta miała się ukazać w grudniu 1939 roku. Ocalała ona jedyna z pięciu, napisanych podczas wojny. Z innych pozostały strzępy, wzgardzone przez “szabrowników”. Niech ich diabli porwą, tak jak oni porwali moje rękopisy!

W tej chwili zastanawiam się: wydać tę książkę czy nie wydać? Na świecie stały się straszliwe rzeczy, wobec których wszystko wysnute z wyobraźni wygląda blado, mizernie i przeraźliwie nikle. Pomyślałem sobie jednak, że w lichej tej książeczynie jest odrobina radości i pogody, a tego przede wszystkim trzeba będzie tym wspaniałym, mocnym i twardym ludziom, co pazurami będą wygrzebywali nową Polskę z gruzów. Może promień uśmiechu przyda się im w chwili odpoczynku, kiedy będą śmiertelnie znużeni. Dlatego ważę się na to, by uczynić młodzieży polskiej podarunek z tej książki i z tej maleńkiej radości, co się po niej wałęsa. Czynię to z wielką miłością i z całego serca!

K. M.

rok 1946